

Robert E. Howard

Conan Wojownik



Robert E. Howard

Conan wojownik

Conan wojownik

Tłumaczenie: Zbigniew A. Królicki
Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda
Ilustracja na okładce: Margaret Brundage
Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

ISBN 978-83-65074-03-4

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39
02-495 Warszawa
<http://www.bookrage.org>

SKARBY Gwahlura

Romans Conana z Valerią nie trwał długo. Być może miał z tym coś wspólnego fakt, że każde z nich pragnęło zostać wodzem. W każdym razie rozstali się.

Valeria, by wrócić na morze, Conan, by próbować szczęścia w Czarnych Królestwach. Słyszac o „Zębach Gwahlura” — starożytnych klejnotach, ukrytych gdzieś w Keshanie, Cymmerianin proponuje swoje usługi popędliwemu władcy tego kraju, aby — jak twierdził — przygotować jego armie do wojny z sąsiadującym Królestwem Puntu.

1. ŚCIEŻKI I INTRYGI

Nad dżunglą wznosiły się pionowe ściany skalne. Wyniosłe szańce z kamienia lśniły błękitnie i karmazynowo w wschodzącym słońcu, by potem zniknąć gdzieś daleko na wschodzie i zachodzie, górując nad falującym, szmaragdowym oceanem liści. Ta gigantyczna palisada o ścianach z twardej skały, w której okruchy kwarcu odbijały słoneczny blask, zdała się być niezdołana. A jednak pnący się ku górze człowiek znajdował się już w połowie drogi na szczycie.

Pochodził z rasy górali, przyzwyczajonych do wspinaczki po niedostępnych turniach, poza tym był mężczyzną niezwyklej siły i zręczności. Jego jedynym odzieniem była para krótkich spodni z czerwonego jedwabiu. Sandały miał przywiązane na plecach, wraz z mieczem i sztyletem, co zapewniało mu większą swobodę ruchów. Był to człowiek silnie zbudowany, gibki jak pantera, o skórze zbrązowiełej od słońca, z prosto przyciętą czarną grzywą włosów, przytrzymywanych na skroniach srebrną opaską. Żelazne mięśnie, sokoli wzrok i pewne nogi dobrze mu służyły przy wspinaczce, na drodze jakby stworzonej do sprawdzania zalet prawdziwego mężczyzny. Sto pięćdziesiąt stóp niżej falowała dżungla, tyleż powyżej grań wbijała się w niebo poranka.

Zachowywał się jak ktoś wiedziony pośpiechem, lecz mimo to musiał poruszać się w żółtym tempie. Przywierając do ściany jak mucha, macając na oślep rękami i nogami wyszukiwał wgłębienia i uchwyty w najlepszym razie ryzykowne, a czasami dosłownie zawisał na czubkach palców. Mimo to szedł w górę, nieledwie zębami i pazurami walcząc o każdą stopę. Chwilami zatrzymywał się, dając odpocząć obolałym mięśniom i strząsając pot zalewający oczy, odwracał głowę, aby spojrzeć badawczo na rozciągającą się w dole dżunglę, szukając w zielonej przestrzeni śladu ludzkiego życia czy jakiegoś ruchu.

Był już blisko szczytu, gdy spostrzegł, że kilka stóp nad nim w pionowej ścianie skały znajduje się wyłom. W chwilę później dotarł do małej groty tuż przed krawędzią grani. Wspierając się na łokciach zajrzał do wnętrza. Jęknął. Grota była niewielka, zaledwie nieco większa od

niszy wyciętej w skale, ale miała mieszkańca.

W pieczarze siedziała mumia; brązowa, pomarszczona, ze skrzyżowanymi nogami, rękami założonymi na zapadniętej piersi, z pochyloną głową. Niewyprawione rzemienie, które teraz zamieniły się w przegniłe włókna, przytrzymały kończyny mumii w pierwotnej pozycji. Jeśli postać ta była kiedyś odziana, to wpływ czasu już dawno zamienił jej strój w proch.

Jednak wciśnięty między skrzyżowane ramiona a wyschniętą pierś zwój pergaminu, pożółkły z wiekiem na kolor starej kości słoniowej tkwił na swoim miejscu. Wspinacz sięgnął ramieniem i wyszarpnął rulon. Nie oglądając wepchnął go za pas i podciągnął ciało aż stanął na skraju grotu. Podskoczył i chwyciwszy krawędź grani osiągnął szczyt niemal jednym skokiem.

Staął, dysząc ciężko. Spojrzał przed siebie.

Poczuł się tak, jakby zajrzał do wnętrza ogromnej czary o ścianach z granitu. Jej dno porastały drzewa i gęste zarośla, nigdzie jednak nie osiągające gęstości porównywalnej z dżunglą, rozpościerającą się na zewnątrz. Ściany skalne otaczały dolinę jednolitym pierścieniem. Był to wybryk natury, nie mający chyba równego sobie na całym świecie: z wnętrzem jak naturalny amfiteatr, z owalnym skrawkiem leśnej równiny o średnicy trzech czy czterech mil, odcięty od reszty świata, otoczony pierścieniem skał jak palisadą. Jednak mężczyzna na grani nie dał się porwać zachwytowi. Z napiętą uwagą wpatrywał się w wierzchołki drzew i wydał głębokie westchnienie ulgi, gdy wśród migoczącej zieleni uchwycił błyski marmurowych kopuł. A zatem to nie był tylko mit — pod nim leżał słynny i opuszczony pałac Alkmeenonu.

Conan Cymmerianin, niegdyś mieszkaniec Wysp Baracha, Czarnego Wybrzeża i wielu innych krain, gdzie życie toczy się burzliwie, przybył do Królestwa Keshanu zwabiony legendarnym skarbem, zaćmiewającym ponoć skarby królów Turanu.

Keshan był barbarzyńskim królestwem Wschodu, leżał w głębi kraju Kush, gdzie rozległe pastwiska zlewały się z napływającymi od południa lasami. Jego lud stanowiła prawdziwa mieszanina ras: smagli arystokraci zarządzili społecznością składającą się głównie z Murzynów, a będący u władzy książęta i arcykapłani utrzymywali, iż wywodzą się z rasy białej, rządzącej w mitycznych czasach królestwem, którego stolicą był

Alkmeenon. Sprzeczne legendy próbowały wyjaśnić przyczynę ostatecznego upadku państwa i opuszczenia miasta przez ocalałych. Równie mgliste były opowieści o Zębach Gwahlura — skarbie Alkmeenonu. Jednakże te owiane mgłą legendy wystarczyły, by przez rozległe równiny, góry i pociętą rzekami dżunglę przywieść Conana do Keshanu.

Odnalazł Keshan, który sam w sobie był uważany za mityczny przez wiele ludów północy i zachodu, a w podróży usłyszał dość, by potwierdzić plotki o skarbie zwanym przez ludzi Zębami Gwahlura. Nie zdołał jednak dowiedzieć się, gdzie ukryto bogactwa, toteż stanął wobec konieczności wyjaśnienia swojej obecności w Keshanie. Przybysze bez zajęcia nie byli tam mile widziani.

Nie przejął się tym. Z chłodną pewnością siebie zaoferował usługi majestatycznym, przybranym w pióra i podejrzliwym grandom wspaniałego, barbarzyńskiego dworu. Był zawodowym wojownikiem. Przybył do Keshanu (tak powiedział) w poszukiwaniu zajęcia. Za pieniądze mógłby wyćwiczyć armię królestwa i poprowadzić je przeciw odwiecznym wrogom — Puntjczykom, których ostatnie sukcesy w polu wywołały wściekłość skorego do gniewu króla Keshanu.

Propozycja ta nie była tak bezczelna, jak mogłoby się wydawać. Sława Conana poprzedziła go nawet w odległym Keshanie; jego czyny jako wodza czarnych korsarzy, tych wilków południowych wybrzeży, uczyniły to imię znanym, podziwianym i siejącym strach na ziemiach Czarnych Królestw. Nie wymawiał się od sprawdzianów, obmyślonych przez smagłych panów. Nieustanne potyczki na granicach dostarczyły Cymmerianinowi mnóstwo sposobności do zademonstrowania zręczności w walce wręcz. Jego dzikie zuchwalstwo wywarło wielkie wrażenie na panach Keshanu, którzy zdali sobie sprawę, że umiejętność dowodzenia nie jest obca Cymmerianinowi. Wszystko zaczęło się układać po jego myśli, jako że pragnął tej jednej, jedynej rzeczy — pracy, dającej pretekst do pozostania w Keshanie wystarczająco długo, by odnaleźć miejsce ukrycia Zębów Gwahlura. Wkrótce jednak pojawiły się pierwsze przeszkody. Na czele misji dyplomatycznej z Zembabwei przybył do Keshanu Thutmekri.

Stygijczyk Thutmekri — awanturnik i łajdak, którego spryt stał się rekomendacją dla obu królów wielkiego, kupieckiego państwa, leżącego

o wiele dni marszu na wschód. Znali się z Cymmerianinem od dawna, nie żywiąc do siebie przyjaznych uczuć. Thutmekri uczynił podobną propozycję władcy Keshanu, również dotyczącą podboju Puntu, które to królestwo — nawiasem mówiąc, leżące na wschód od Keshanu wypędziło kupców Zembabwei i spaliło ich fortece. Jego oferta przeważała nawet prestiż Conana. Stygijczyk ofiarowywał się bowiem najechać na Punt ze wschodu z chmarą czarnych oszczepników, shemickich łuczników oraz zbrojnych w miecze najemników, a następnie pomóc władcy Keshanu w podboju wrogiego królestwa. Dobroduszni królowie Zembabwei pragnęli jedynie monopolu na handel z Keshanem i jego lennikami oraz — jako świadectwa dobrej woli — nieco Zębów Gwahlura. Bynajmniej nie w celach użytkowych, pospieszył wyjaśnić podejrzliwym wodzom Thutmekri; byłyby one umieszczone w świątyni Zembabwei obok przysadzistych, złotych posągów Dagona i Derkety, jako czcigodni goście w najświętszym miejscu królestwa, dla przypieczętowania ugody między Keshanem a Zembabwei. To oświadczenie wykrzywiło wargi Conana w grymas szyderstwa. Cymmerianin nie próbował mierzyć się sprytem i talentem do intryg z Thutmekrim oraz jego shemickim partnerem — Zarghebą. Wiedział, że jeśli Thutmekri wygra w tym przetargu, będzie należał, by natychmiast wygnać rywala. Conan mógł zrobić tylko jedno: znaleźć klejnoty, zanim władca Keshanu podejmie decyzję i uciec. Był już przekonany, że kamieni nie ukryto w Keshii, królewskim mieście będącym kupą krytych strzechą chat, stłoczonych wokół glinianej ściany, otaczającej pałac z błota, kamieni i bambusa.

Kiedy Conan płonął z niecierpliwości, najwyższy kapłan Gorulga oznajmił, że zanim zostanie powzięta jakakolwiek decyzja należy się upewnić, co o propozycji sojuszu z Zembabwei sądzą bogowie. W końcu przedmioty, które zamierzano ofiarować przyszłym sprzymierzeńcom, stanowią własność niebios, są święte i nienaruszalne. Należy wysłuchać wyroczni Alkmeenonu.

Ta straszliwa wieść wywołała niekończącą się gadaninę zarówno w pałacu jak i w chatach. Od stu z górą lat kapłani nie odwiedzali wymarłego miasta. Wyrocznia, mówili ludzie, to księżniczka Yelaya — ostatnia władczyni Alkmeenonu, zmarła w kwiecie lat, tak piękna, że jej ciało oparło się nawet brzydocie pośmiertnego rozkładu. W dawnych

czasach kapłani odkryli drogę do nawiedzonego miasta i ona nauczyła ich mądrości. Lecz ostatni kapłan, który udał się do wyroczni, był niegodziwcem, próbującym ukraść przedziwnie szlifowane klejnoty. Przeznaczenie jednak dopadło go w opuszczonym pałacu, a jego pomocnicy, którzy uszli z życiem, opowiadali tak przerażające historie, że przez następne stulecie nikt nie odważył się zbliżyć ani do miasta, ani do samej wyroczni.

Gorulga, obecny arcykapłan, przekonany o swej uczciwości oznajmił, że wyruszy z gromadą wyznawców, by wskrzesić starodawny obyczaj. W powszechnym podnieceniu mielono językami i Conan uchwycił ślad, którego szukał od wielu tygodni — zasłyszany szept jednego z niższych kapłanów sprawił, że Cymmerianin wymknął się z Keshii nim nadszedł świt, a kapłani wyruszyli w drogę. Jadąc najszybciej jak mógł dwie noce i jeden dzień przybył wczesnym rankiem do skał Alkmeenonu, leżącego w południowo — zachodnim krańcu królestwa, pośród niezamieszkałej dżungli, która dla zwykłych śmiertelników stanowiła tabu. Nikt prócz kapłanów nie ośmielał się zbliżyć do nawiedzonej doliny, a od stu lat nawet oni nie wchodzili do Alkmeenonu. Żaden człowiek nie zdołał przebyć tych skalnych ścian, mówiły legendy, i oprócz kapłanów nie znał sekretnego wejścia do doliny. Conan nie tracił więc czasu na szukanie drogi. Urwiska odstraszające czarnych ludzi — jeźdźców i mieszkańców równin leśnych nie były nie do pokonania dla człowieka urodzonego wśród wzgórz Cymmerii.

Teraz spoglądał ze szczytu skał na owalną dolinę i zastanawiał się, jaka to zaraza, wojna czy przesąd wywiodły ludzi tej dawnej białej rasy z ich warowni tak, że mieszała się i zostali wchłonięci przez czarne szczepy, które ich otaczały.

Ta dolina była ich cytadelą. Tutaj stał pałac, gdzie mieszkała rodzina królewska i jej dwór. Samo miasto znajdowało się na zewnątrz skalnego pierścienia. Dżunglą skrywała jego ruiny gęstwiną roślinności. Lecz w samym sercu doliny błyszczały wśród listowia kopuły nietkniętych Zrębem czasu wież królewskiego pałacu Alkmeenonu.

Conan przerzucił nogę przez grań i zaczął sprawnie schodzić w dół. Wewnętrzne ściany skalne były bardziej poszarpane, nie tak strome. Cymmerianin opuścił się na pokryte murawą dno doliny w czasie niemal o połowę krótszym od tego, jaki był mu potrzebny do wdrapania się na

urwisko.

Z dłonią opartą na rękojeści miecza rozejrzał się bacznie. Nie miał wprawdzie powodu, by podejrzewać o kłamstwo ludzi mówiących, że Alkmeenon jest pusty, opuszczony i nawiedzany tylko przez duchy martwej przeszłości, ale podejrzliwość i czujność leżały już w jego naturze. Cisza zdawała się tu być odwieczną nawet liść nie drgnął na gałęzi. Kiedy pochylił się, by zajrzeć pod drzewa, nie ujrzał nic prócz szeregów pni, ginących w niebieskawym mroku głębokiego lasu. Mimo to szedł czujnie, stąpając sprężysto, bezgłośnie.

Dokoła widział ślady dawnej cywilizacji; marmurowe fontanny, ciche i kruszejące stały w kręgach mniejszych drzew o kształtach zbyt symetrycznych, by uznać je za dzieło natury.

Gęstwina lasu i krzaków zalała dokładnie wytyczone aleje, ale ich zarysy dawały się jeszcze dostrzec. Pod drzewami biegły szerokie chodniki, teraz popękane, z trawą wyrastającą ze szczelin. Dojrzał też ściany ze zdobnymi okapami; kratownice wykute w kamieniu, które onegdaj były murami pawilonów wypoczynkowych. Przed nim zaś, za drzewami, lśniły marmurowe kopuły i w miarę, jak się zbliżał, ogrom podtrzymującej je konstrukcji stawał się coraz bardziej widoczny. Przepychając się przez zasłonę oplatanych winoroślą gałęzi, dotarł do niemal otwartej przestrzeni, gdzie krzaki rosły mniej gęste, a drzewa rozstępowały się.

Ujrzał przed sobą szeroki, podparty filarami portyk pałacu. Wchodząc po wielkich marmurowych stopniach zauważył, że budynek zachował się w daleko lepszym stanie niż pomniejsze budowle, które widział wśród krzewów. Grube mury i masywne filary były najwidoczniej zbyt potężne, by skruszeć pod ciosami czasu i żywiołów. Zawisła tu jednak ta sama co w gęstwinie, niemal magiczna cisza. Nawet powolne stąpanie obutych w sandały stóp Cymmerianina zdało się niepokojąco głośnie w panującym bezruchu. Gdzieś w tym pałacu znajdował się wizerunek lub posąg, który w dawnych czasach służył kapłanom Keshanu za wyrocznię. Gdzieś w pałacu — chyba że niedyskretny kapłan plótł głupstwa — był też ukryty skarb zapomnianych władców Alkmeenonu.

Conan wszedł do szerokiej i wyniosłej sali pełnej kolumn, między którymi rozwierały się łukowate otwory po dawno zbutwiałych drzwiach. Minął mroczny przedsionek i przeszedł przez wielkie

dwuskrzydłowe wrota z brązu. Były półotwarte, jakby niedomknięte jeszcze przed wiekami. Znalazł się w rozległej, kopulastej komnacie, która musiała służyć królom Alkmeenonu jako sala posłuchań.

Sala miała kształt ośmiokąta, a wielka kopuła, wieńcząca wyniosłe sklepienie, została najwidoczniej zręcznie opatrzona niewidocznymi lunetami, gdyż w komnacie było znacznie jaśniej niż w przedsionku, który do niej prowadził. W odległym końcu wielkiej sali wznosiło się podium, na które wiodły szerokie stopnie z lapis — lazuli, a na nim stał masywny fotel ze zdobnymi poręczami i wysokim oparciem. To nad nim zwieszał się kiedyś złotem przetykany baldachim.

Conan mruknął coś pod nosem, rozbłysły mu oczy. Stał przed nim znany z niezliczonych legend złoty tron Alkmeenonu i Cymerianin ocenił jego wagę doświadczonym okiem. Sam tron stanowiłby już fortunę, gdyby tylko zdołał go stąd wytaszczyć. Przepych rozpałał wyobraźnię Conana i sprawił, że Cymmerianin zapłonął z niecierpliwości. Swędziały go palce i już widział, jak zanurza je w klejnotach opisywanych przez bazarzy na placach targowych Keshii. Przekupnie powtarzali opowieści podawane z ust do ust już od stuleci — o kamieniach tak pięknych, że równych im nigdzie nie znajdziesz: o rubinach, szmaragdach, diamentach, opalach, szafirach — całym bogactwie starożytnego świata.

Conan spodziewał się, że znajdzie posąg bogini siedzącej na tronie, lecz skoro go tam nie ujrzał, uznał, że wyrocznie umieszczono w innej części pałacu — o ile oczywiście w ogóle istniał jakiś jej posąg czy wizerunek. Ponieważ jednak od chwili, gdy zwrócił twarz ku Keshanowi, tak wiele mitów okazało się rzeczywistością, nie wątpił, że znajdzie jakiś wizerunek lub rzeźbę.

Za tronem znajdowały się wąskie, łukowate drzwi, które w czasach, gdy Alkmeenon tętnił życiem, były niewątpliwie ukryte za grubymi zasłonami. Conanf zajrzał tam i stwierdził, że prowadzą do pustej alkowy, z której wychodzi pod kątemprostym wąski korytarz. Odwrócił się i dostrzegł inne wejście, znajdujące się z lewej strony podium. W odróżnieniu od innych drzwi zachowały się tutaj w dobrym stanie. I nie były to zwykłe drzwi. Portal wykonano z tego samego metalu co tron, pokryto go także wieloma dziwnymi arabeskami. Pod dotknięciem ręki Conan wrota otwarły się tak gładko, jakby świeżo naoliwiono zawiasy.

Wszedł do środka, przystanął i spojrzał w głąb pomieszczenia.

Znajdował się w kwadratowej komnacie o niewielkich wymiarach; jej marmurowe ściany wznosiły się ku sufitowi inkrustowanemu złotem. U podstawy i u szczytu ścian biegły złote fryzy. Nie było innych drzwi niż te, którymi wszedł. Ten szczegół zauważył mimowolnie, bowiem całą swoją uwagę skupił na postaci leżącej przed nim na postumencie z kości słoniowej.

Spodziewał się posągu, wyrzeźbionego ze zręcznością starożytnych sztukmistrzów. Jednak żadna sztuka nie mogła tak wiernie oddać doskonałości leżącej przed nim postaci. Nie był to wizerunek z kamienia, metalu czy kości słoniowej. Było to rzeczywiste ciało kobiety i Conan nie próbował nawet zgadnąć, jaką tajemniczą sztuką zachowano je w nietkniętym stanie przez tyle wieków. Odzież, którą nosiła, również oparła się działaniu czasu. Widząc to, Conan zachmurzył się, czując podświadomy, dziwny niepokój. Sztuka, dzięki której zachowało się ciało, nie mogła działać na ubiór. Mimo to księżniczka miała na sobie parę złotych napierśników z koncentrycznymi kręgami małych klejnotów, pozłacane sandały i krótką jedwabną spódniczkę, podtrzymywaną paskiem wysadzonym kamieniami. Ani materiał, ani metal nie nosiły śladu zniszczenia.

Yelaya była w swym pięknie chłodna, nawet po śmierci. Ciało jej jak alabaster — wiotkie, lecz zmysłowe, a wielki szkarłatny kamień błyszczał na tle ciemnej fali włosów.

Conan stał przez chwilę patrząc, potem opukał mieczem postument. Przyszło mu na myśl, że może istnieje tu jakiś skarb, lecz postument dawał solidny dźwięk. Odwrócił się i niezdecydowany przemierzał komnatę. Gdzie powinien szukać najpierw? Miał zbyt mało czasu. Kapłan, którego paplaninę z kurtyzaną podsłuchał, twierdził, iż skarb jest ukryty w pałacu, co znaczyło, że obszar poszukiwań jest bardzo rozległy. Pomyślał, czy nie powinien ukryć się i poczekać, aż kapłani przyjdą i odejdą, a potem wznowić poszukiwania. Istniało jednak ryzyko, że wracając do Keshii mogą zabrać kamienie ze sobą. Cymmerianin był przekonany, że Thutmekri przekupił Gorulgę.

Znając Thutmekriego, Conan mógł przewidzieć jego plany. Wiedział, że to on zaproponował królom Zembabwei podbicie Puntu, co było zaledwie pierwszym krokiem na drodze do prawdziwego celu — przechwycenia Zębów Gwahlura. Przezorni królowie, nim cokolwiek

postanowią, muszą zażądać dowodu, że skarb naprawdę istnieje. Kamienie, jakich Thutmekrii zażądał jako rękojmi, byłyby takim dowodem. Przekonani o istnieniu skarbu, królowie Zembabwei ruszyliby do ataku. Szturm przypuszczono by jednocześnie ze wschodu i zachodu, ale Zembabwejczycy postaraliby się, żeby armie Keshanu wykonały większość roboty. Później, gdy tak Punt, jak i Keshan ległyby wyczerpane walką, Zembabwejczycy bez przeszkód mogliby zgnieść oba narody, ograbić Keshan i ukraść skarb, nawet jeśli musieliby zburzyć każdy budynek i torturować każdą żywą istotę w królestwie. Zawsze jednak istniała druga możliwość; gdyby Thutmekrii zdołał położyć ręce na skarbie, typowym dla tego człowieka byłoby oszukać swoich pracodawców, ukraść kamienie dla siebie i zwinąć manatki, zostawiając emisariuszom Zembabwei cały kłopot. Conan był przekonany, że zasięganie opinii wyroczni było tylko fortelem, by król Keshanu przychylił się do próśb Thutmekriego, gdyż ani przez chwilę nie wątpił, że Gorulga jest równie chytrym łajdakiem, jak cała reszta zamieszanych w ten wielki szwindel. Conan nie próbował porozumieć się z arcykapłanem; nie mógł zaproponować wyższej łapówki, a gdyby spróbował, byłoby to równoznaczne z odkryciem wszystkich kart przed Stygijczykiem. Gorulga wydałby Cymmerianina i upewniając lud o swej uczciwości pozbyłby się zarazem rywala Thutmekriego. Conan zastanawiał się, jak Thutmekrii przekupił kapłana i co mógł zaproponować człowiekowi, który miał w rękach największy ze skarbów. W każdym razie był pewny, że wyrocznia orzeknie, iż wolą bogów jest, by Keshan spełnił życzenia Thutmekriego, oraz że doda kilka szczegółowych wskazówek dotyczących jego, Conana, osoby. Zbyt gorąco byłoby potem Conanowi w Keshii, zresztą odjeżdżając ostatniej nocy nie miał zamiaru tam wracać.

Komnata wyroczni nie dostarczyła mu żadnej wskazówki. Ruszył do wielkiej sali posłuchań i chwycił za tron. Był ciężki, ale zdołał go odchylić. Marmurowa płyta pod spodem była jednolita. Ponownie wszedł do alkowy. Uczepił się myśli o sekretnej krypcie w pobliżu wyroczni. Zaczął starannie opukiwać ściany i wreszcie, w miejscu leżącym naprzeciw wąskiego korytarza, odpowiedział mu pusty dźwięk. Patrząc z bliska zauważył, że w tym miejscu szpary między sąsiednimi blokami są grubsze niż gdzie indziej. Włożył czubek sztyletu i nacisnął.

Blok odchylił się cicho, odsłaniając niszę w ścianie i nic więcej. Zaklął z pasją. Otwór był pusty. Nie sprawiał wrażenia, by kiedykolwiek służył za schowek. Zaglądając do środka ujrzał system małych otworów w ścianie, mniej więcej na poziomie ludzkiej twarzy. Zerknął przez nie i mruknął coś ze zrozumieniem. Ściana oddzielała alkowę od komnaty z wyrocznią. Od strony komnaty otwory były niewidoczne. Conan uśmiechnął się. To wyjaśniało tajemnicę wyroczni, chociaż w sposób mniej subtelny niż można się było spodziewać. Gorulga umieściłby w tej niszy jakiegoś zaufanego sługę lub sam osobiście przemówił przez otwory, by łatwowierni wyznawcy uznali to za prawdziwy głos Yelayi.

Nagle Cymmerianin przypomniał sobie o czymś. Wydobył zwój pergaminu zabrany mumii i rozwinął go ostrożnie — papier wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki. Barbarzyńca zachmurzył się nad wyblakłymi znakami. W swoich włóczęgach po świecie wielki awanturnik nabył wiele, powierzchownej co prawda, wiedzy, a szczególnie umiejętności czytania i mówienia w obcych językach. Wielu mędrców byłoby zdumionych zdolnościami językowymi Conana, bowiem w przygodach, które dane mu było przeżyć, znajomość języka decydowała o życiu lub śmierci.

Symbole były zagadkowe; znajome i niezrozumiałe jednocześnie. Wreszcie znalazł przyczynę. Miał przed oczami znaki pradawnego języka Pelishtów, w wielu szczegółach różniącego się od obecnie używanego, bowiem trzysta lat temu Pelishci zostali podbici przez szczepy koczowników. Stary, pozbawiony naleciałości, język rękopisu zbił go z tropu. Wyłowił powtarzający się zwrot, w którym rozpoznał słowo: Bit — Yakin. Uznał, że to imię piszącego.

Zmarszczył brwi i nieświadomie poruszył wargami, zmagając się z trudnym zadaniem. W końcu przebrnął przez manuskrypt, choć znacznej jego części w ogóle nie zdołał przetłumaczyć i niewiele zrozumiał z reszty. Założył jednak, że autor, tajemniczy Bit — Yakin, przybył z daleka ze swymi sługami i dostał się do doliny Alkmeenonu. Następna, spora część tekstu pozbawiona była dlań jakiegokolwiek znaczenia, usiana nieznanymi zwrotami i znakami. O ile mógł zrozumie chodziło o wpływ długiego okresu czasu. Imię Yelayi powtarzało się często, a pod koniec rękopisu stało się jasne, że Bit — Yakin wiedział o swej rychłej śmierci. Z lekkim wzdrygnięciem Conan uświadomił sobie, że mumia w

grocie musiała być szczątkami autora manuskryptu, tajemniczego Pelishty — Bit — Yakina. Umarł, jak przepowiadał, a słudzy umieścili ciało pana w tej otwartej krypcie na stromej ścianie skalnej, zgodnie z przedśmiertnymi wskazówkami.

Dziwne było tylko to, że o Bit — Yakinie nie wspominały żadne legendy Niewątpliwie przybył do doliny, gdy pierwotni mieszkańcy już ją opuścili — tak głosił rękopis — ale najbardziej zdumiał Cymmerianina fakt, że kapłani przychodzący by wysłuchać wyroczni, nie widzieli tego człowieka ani jego sług. Conan był pewny, że mumia i pergamin liczyły więcej niż sto lat. Bit — Yakin zamieszkiwał w pałacu w czasach, gdy kapłani pielgrzymowali do martwej Yelayi. A jednak legendy milczały o tym, mówiąc tylko o opuszczonym mieście umarłych.

Dlaczego zamieszkiwał w tym ponurym miejscu i ku jakiemu nieznanemu przeznaczeniu wyruszyli jego słudzy, złożwszy ciało pana w skalnej niszy?

Conan wzruszył ramionami, wepchnął rękopis z powrotem za pas i nagle zeszywniał, a ciarki przebiegły mu po grzbiecie. W sennej ciszy pałacu niespodziewanie rozległ się głęboki, niepokojący dźwięk wielkiego gongu!

Przyczajony jak wielki kot, Cymmerianin odwrócił się, ściskając w dłoni obnażony miecz i spojrzał w wąski korytarz, z którego zdawał się dobiegać niepokojący dźwięk. Czyżby przybyli kapłani Keshii? Wiedział, że to nieprawdopodobne; nie mieli dość czasu, by dotrzeć tak daleko. Wszakże gong bezprzecznie świadczył o ludzkiej obecności.

W zasadzie Conan był zwolennikiem prostych rozwiązań. Odrobinę subtelności nabył stykając się z bardziej przebiegłymi umysłami i zaskoczony zniecka jakimś nieoczekiwanym wydarzeniem reagował zgodnie ze swą naturą. Teraz więc, zamiast ukryć się lub oddalić w przeciwną stronę, jak zrobiłby to przeciętny człowiek, pobiegł korytarzem w kierunku skąd dochodził dźwięk. Sandały Cymmerianina nie czyniły więcej hałasu niż stąpania panter, jego oczy zwęziły się w szparki, a usta wykrzywił dziki grymas. Niespodziewany dźwięk przepoił go chwilowym lękiem, a barbarzyńca zawsze łatwo wpadał w prymitywny szal wywołany zagrożeniem. Właśnie wybiegł z zakrętu korytarza na mały dziedziniec, gdy coś błyszczącego w słońcu przykuło jego wzrok. Był to gong; wielki, złoty dysk zawieszony na złotym

ramieniu wystającym z kruszejącego muru. Spiżowy młotek leżał w pobliżu, lecz nikogo nie było widać ani słyszeć. Otaczające dziedziniec łukowate wejścia ziały pustką. Conan przyczaił się w drzwiach przez — jak mu się wydawało — długą chwilę.

Ani dźwięku, ani ruchu.

Jego cierpliwość wyczerpała się w końcu. Skradał się wokół dziedzińca, zasiadając w łukowate przejścia, gotów odskoczyć błyskawicznie, uderzyć w prawo lub lewo, jak kobra. Dotarł do gongu i zajrzał w najbliższe drzwi. Zobaczył tylko mroczną, pokrytą gruzem komnatę. Wypolerowane, marmurowe płyty wokół gongu nie nosiły śladu stóp, lecz w powietrzu unosił się jakiś zapach — słaby odór, którego nie mógł rozpoznać. Nozdrza rozdymały mu się jak dzikiemu zwierzęciu, jednak nie był w stanie zidentyfikować zapachu.

Conan ruszył ku drzwiom... a wtedy sprawiające wrażenie solidnych marmurowe płyty pękły pod jego stopami i zapadły się z przerażającą gwałtownością. Lecąc w dół zdążył jeszcze rozrzucić szeroko ramiona i uchwycić brzegi zięjącego pod nim otworu. Krawędzie rozkruszyły się jednak pod palcami.

Cymmerianin runął w dół, w kompletną ciemność, a lodowata, czarna woda wzięła go w swe objęcia i porwała z zapierającą dech szybkością.

2. PRZEBUDZENIE BOGINI

Początkowo Conan nie usiłował walczyć z unoszącym go przez ciemność prądem. Utrzymawał się na powierzchni ściskając zębami miecz, którego nie postradał nawet w czasie upadku i nie próbował zgadywać, jaki czeka go los. Nagle w mroku błysnął promień światła. Ujrzał rozkołysaną, czarną kipieli, jakby wzburzoną przez jakieś monstrum oraz niskie sklepienie, utworzone przez zgięte w łuk ściany kanału. Po obu stronach tuż pod sufitem biegł wąski występ, ale był o wiele za wysoko, by mógł go dosięgnąć. W jednym miejscu strop był przedziurawiony, prawdopodobnie nie zawałił się, i przez ten właśnie otwór sączyło się światło. Poza tą niewielką, jasną plamą panowała zupełna ciemność i panika ogarnęła Conana na myśl, że zostanie uniesiony dalej, w niezgłębiony mrok. Wtedy zobaczył coś jeszcze; mosiężne drabinki opuszczające się w regularnych odstępach z półek ku powierzchni wody — właśnie zbliżał się do jednej z nich. Natychmiast popłynął w jej kierunku, walcząc z prądem trzymającym go na środku nurtu. Miał uczucie, że przytrzymuje go mnóstwo żywych, małych rąk, lecz desperacko mocując się z rwącymi falami przybliżał się do brzegu, walcząc zaciekle o każdy cal. Wreszcie dotarł do drabinki, uczepił się kurczowo ostatniego szczebla i zawisł na niej bez tchu.

W chwilę później wygramolił się z wodnej kipieli, niechętnie powierzając swój ciężar wątlým szczeblom. Wykrzywiały się i zginały, ostatecznie jednak wdrapał się na wąski występ, biegnący wzdłuż ściany i odległy ledwie na wysokość człowieka od wygiętego sklepienia, tak że stojąc musiał schylić głowę. U szczytu drabinki dostrzegł ciężkie drzwi z brązu. Spluwając krwią włożył miecz do pochwy — ostrze przecięło mu wargi podczas zacieklej walki z rzeką — i skierował uwagę ku dziurawemu sklepieniu.

Zdołał sięgnąć rękami otworu i złapać krawędzie, zaś ostrożne badanie upewniło go, że kamień wytrzyma ciężar. W chwilę później podciągnął się przez otwór. Znalazł się w obszernej, zupełnie zrujnowanej komnacie. Większość sufitu zarwała się, podobnie jak spora

część podłogi, stanowiącej sklepienie podziemnego kanału. Spękane przejście otwierało drogę do innych sal i korytarzy. Conan był przekonany, że wciąż znajduje się w pałacu. Niespokojnie rozmyślał, jak wiele komnat w tym pałacu stoi nad podziemną rzeką i kiedy stare płyty znów ustąpią mu pod nogami, strącając go w lodowatą kąpiel. Zastanawiał się również, w jakim stopniu ten ostatni upadek można uznać za zbieg okoliczności. Czy zmurszałe płyty przypadkiem załamały się pod jego ciężarem czy raczej należy się doszukiwać bardziej złowieszczych powodów? Jedno przynajmniej nie ulegało wątpliwości: nie był jedyną żywą istotą w pałacu. Gong nie zabrzmiał sam z siebie, niezależnie od tego, czy jego dźwięk miał zwabić go w śmiertelną pułapkę, czy nie. Cisza w pałacu wydała mu się nagle złowroga, brzemienne czyhającą gdzieś groźbą.

Może ktoś usiłuje zrobić mu konkurencję? Nagle przyszedł mu na myśl tajemniczy Bit — Yakin. Czyżby ten człowiek znalazł Zęby Gwahlura, a jego słudzy odchodząc zabrali je ze sobą? Myśl, że uganiania się za błędnym ognikiem rozwścieczyła Cymmerianina.

Ruszył pospiesznie, wybierając korytarz, który jak sądził, wiódł z powrotem do tej części pałacu, gdzie spoczywa Yelaya. Tym razem, pamiętając o rozfalowanej, kipiącej gdzieś pod stopami czarnej rzece, stawiał stopy ostrożnie.

Myślami wrócił ku komnacie wyroczni i jej tajemniczej mieszkanke. Gdzieś w pobliżu musiał być klucz do tajemnicy skarbu, o ile klejnoty nadal pozostawały w tym samym miejscu, gdzie ukryto je przed wiekami.

Wielki pałac leżał pogrążony w odwiecznej ciszy, zakłócaney jedynie szybkim stukotem sandałów Conana. Komnaty i korytarze, które mijał, były zrujnowane, ale w miarę jak kroczył, ślady zniszczenia stawały się mniej widoczne. Zafrapowało go, jakiemu celowi służyły drabinki, schodzące z występów nad podziemną rzeką, lecz zbył tę myśl wzruszeniem ramion. Mało go interesowały akademickie rozważania nad dziwnymi problemami starożytnych. Właśnie zaczynał się zastanawiać, jak daleko może być jeszcze do komnaty wyroczni, gdy korytarz zawiódł go do wielkiej sali tronowej. Uznał, że błądzenie po pałacu w poszukiwaniu skarbu nie ma sensu. Powinien się gdzieś ukryć, poczekać, aż przybędą kapłani Keshanu, a kiedy już odprawią całą farsę z zasięganiem rady wyroczni, podążać za nimi do miejsca ukrycia

klejnotów, gdzie — jak sądził — w końcu i oni skierują swe kroki. Może wezmą ze sobą tylko kilka kamieni? Jeśli tak, on zadowolony się resztą.

Wiedziony niezdrową fascynacją, ponownie wszedł do komnaty wyroczeni i jeszcze raz spojrzął na nieruchomą postać księżniczki. Jej mroźne piękno urzekło go. Jaką przedziwną tajemnicę kryła ta pięknie ukształtowana postać?

Drgnął gwałtownie. Przez zęby wciągnął powietrze. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Ciało bogini nadal leżało w tej samej, co uprzednio pozycji; ciche, nieruchome, w napierśnikach ze złota, jedwabnej spódnicy i pozłacanych sandałów. Jednak teraz nastąpiła w nim delikatna zmiana. Smukłe kończyny nie były sztywne, policzki tryskały brzoskwiniową świeżością, wargi pokryły się czerwienią.

Conan wyszarpnął miecz.

— Na Croma! Ona żyje! — szepnął, ogarnięty lękiem.

Na jego słowa uniosły się długie, ciemne rzęsy. Niezgłębione, ciemne, tajemniczo błyszczące oczy otworzyły się i spojrzały na intruza. Patrzył w nie bez słowa, zmrożony trwogą.

Usiadła prężąc mięśnie, ciągle przykuwając jego wzrok. Oblizął suche wargi i przypomniał sobie, do czego służy język.

— Jesteś... Jesteś Yelaya? — wyjąkał.

— Jestem Yelaya! — głęboki, melodyjny głos napełnił go nowym zdziwieniem. — Nie lękaj się. Nie uczynię ci krzywdy, jeśli usłuchasz mego rozkazu.

— Jak martwa kobieta może wrócić do życia po tylu wiekach — dopytywał się, nie wierząc własnym zmysłom. W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

Majestatycznie uniosła ramiona.

— Jestem boginią. Tysiąc lat temu spadło na mnie przekleństwo potężniejszych bogów — bogów ciemności, żyjących poza granicami światła. Umarłam jako istota śmiertelna — jako bogini nie umrę nigdy. Spoczywam tu, od wielu wieków, by budzić się co dzień po zachodzie słońca i królować na mym dworze jak ongiś, wśród widm przywiedzionych z cieni przeszłości. Człowieku, jeśli nie chcesz ujrzyć tego, co na zawsze zniszczyłoby twoją duszę — oddal się stąd szybko! Nakazuję ci! Idź!

Głos stał się władczy, a drobne ramię uniosło się w rozkazującym

geście.

Conan, z oczami jak płonące szparki, wolno schował miecz do pochwy, ale nie posłuchał rozkazu. Podeszedł bliżej, jakby wiedziony potężnym nakazem — i bez najlżejszego ostrzeżenia pochwycił ją w niedźwiedzi uścisk. Wrzasnęła wcale nie jak bogini, gdy z odgłosem rozrywanego jedwabiu, jednym bezlitosnym szarpnięciem zdarł z niej spódniczkę.

— Bogini! Ha! — parsknął ze złością i wzgardą nie zwracając uwagi na gorączkowe próby odzyskania wolności.

— To dziwne, by księżniczka Alkmeenonu przemawiała z korynckim akcentem! Gdy tylko zebrałem myśli przypomniałem sobie, że gdzieś cię już widziałem! Jesteś Muriela, koryncka tancerka Zargheby. Dowodzi tego znamię w kształcie półksiężyca, które nosisz na biodrze. Widziałem je, gdy Zargheba cię chłostał. Bogini! Ba! — ze wzgardą i głośnym plaśnięciem klepnął zdradliwe biodro. Dziewczyna zaskomliła żałością.

Cała władczość opuściła ją. Nie była już tajemniczą postacią z przeszłości, lecz przerażoną i pokorną tancerką, jaką można kupić na prawie każdym shemickim targowisku. Zaniósła się żalnym płaczem. Conan spoglądał na nią z tryumfem i złością.

— Bogini! Ha! To ty byłaś jedną z tych zawołowanych kobiet, które Zargheba przywiózł ze sobą do Keshii. Czy sądziłaś, że zdołasz mnie oszukać, mała idiotko? Widziałem cię rok temu w Akbitanie z tym wieprzem, Zargheba, a wiedz, że ja nie zapominam twarzy ani kobiecych sylwetek. Myślę, że...

Wijąc się w uścisku zarzuciła mu swe drobne ramiona na potężny kark; łzy spływały jej po policzkach, a w trzęsącym nią szlochu brzmiała nuta hysterii.

— Och, proszę, nie rób mi krzywdy! Nie! Musiałam to zrobić! Zargheba przyprowadził mnie tu, bym udawała wyrocznię!

— Cóż to, świętokradcze małe ladaco! — zagrzemiał Conan — Czy nie obawiasz się bogów? Na Croma! Czy już nigdzie nie ma uczciwości?

— Och, proszę! — błagała, drżąc w skrajnym przerażeniu. — Nie mogłam nie usłuchać Zargheby. Och, co ja zrobię? Będę przeklęta przez tych pogańskich bogów!

— Jak myślisz, co zrobią z tobą kapłani, gdy poznają, że jesteś oszustką? — dociekał.

Na tę myśl nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na ziemię, chwytając Conana za kolana, przepłatając błagania o litość żałosnymi zapewnieniami o niewinności i braku złych intencji. Zmiana, w porównaniu z pozą starożytniej księżniczki była nagła, ale nie zdumiewająca. Strach, który przedtem dodał jej sił, teraz zupełnie ją rozłożył.

— Gdzie jest Zargheba? — dopytywał się Cymmerianin. — Przestań lamentować, do diabła, i odpowiadaj!

— Na zewnątrz — skamlała — patrzy, czy nadchodzą kapłani.

— Ilu ma ludzi?

— Nikogo. Przyszliśmy sami.

— Ha! — zabrzmiało to, jak zadowolony pomruk polującego lwa — Musieliście opuścić Keshię kilka godzin po mnie. Wspinaliście się na skały?

Potrząsnęła przecząco głową, zbyt zapłakana, by powiedzieć coś zrozumiałe. Z przekleństwem pochwycił jej szczupłe ramiona i potrząsnął, aż zaparło jej dech.

— Przestań beczeć i odpowiadaj! Jak dostaliście się tutaj?

— Zargheba znał sekretne przejście — odparła bez tchu. — Kapłan Gawrunga zdradził drogę jemu i Thutmekriemu. Po południowej stronie doliny u podnóża skał, jest sadzawka. Pod powierzchnią wody znajduje się niewidoczne dla niewtajemniczonych wejście do jaskini. Zanurkowaliśmy i weszliśmy. Jaskinia szybko wznosi się nad poziom wody i prowadzi przez skały. Wyjście po tej stronie maskują krzaki.

— A ja wspinałem się na skały po wschodniej stronie — wymamrotał. — I co dalej?

— Dotarliśmy do pałacu. Zargheba poszedł szukać komnaty wyroczni, a ja pozostałam ukryta w zaroślach. Sądzę, że niezupełnie wierzył Gawrundze. Kiedy odszedł, wydawało mi się, że słyszę dźwięk gongu, ale nie byłam pewna. Później Zargheba wrócił, zabrał mnie i przyprowadził tutaj. Bogini Yelaya leżała na postumencie. Rozebrał ciało, po czym ubrał mnie w jej szaty i ozdoby. Potem odszedł ukryć ciało i wypatrywać kapłanów. Bałam się. Kiedy wszedłeś, chciałam skoczyć i prosić cię, byś mnie stąd zabrał, ale obawiałam się Zargheby. Kiedy odkryłeś, że jestem żywa, myślałam, że zdołam cię odstraszyć.

— Co miałeś powiedzieć jako wyrocznia? — zapytał.

— Miałam kazać kapłanom, by wzięli Zęby Gwahlura i dali kilka z nich Thutmerkiemu jako rękojmię, tak jak chciał, a resztę umieścili w pałacu w Keshii. Miałam im powiedzieć, że straszliwy los grozi Keshanowi, jeżeli nie zgodzi się na propozycję Thutmekriego. Och, tak, miałam im też powiedzieć, że masz być obdarty żywcem ze skóry.

— Thutmekri chciał, by skarb był w miejscu, gdzie on lub Zembabweiczycy mogą łatwo położyć na nim ręce — mruknął Conan, nie zwracając uwagi na dotyczącą go wzmiankę. — Jeszcze wyrwę mu wątrobę... Gorulga oczywiście też uczestniczy w tym szachrajstwie?

— Nie. On wierzy w swoich bogów i jest nieprzekupny. Nic o tym nie wie. Posłucha wyroczni. To był plan Thutmekriego. Wiedząc, że Keshanijczycy zasięgną rady wyroczni, kazał Zarghebie przywieźć mnie razem z misją z Zembabwei, szczelnie zawoalowaną i odosobnioną.

— O, niech to diabli! — wymruczał Conan — Kapłan, który naprawdę wierzy w swoją wyrocznię i jest nieprzekupny. Na Croma! Zastanawiam się, czy to Zargheba uderzył w gong. Czy on wiedział, że tu jestem? Czy mógł wiedzieć o tych zmurszałych płytach? Gdzie on teraz jest, dziewczyno?

— Ukrył się w gęstwinie lotosu, przy starodawnej drodze, wiodącej od ścian skalnych do pałacu — odpowiedziała.

— Och, Conanie, miej dla mnie litość! — wznowiła usilne błagania. — Boję się tego miejsca. Jestem pewna, że słyszałam wokół ciche, skradające się kroki. Och Conanie, zabierz mnie ze sobą! Zargheba zabije mnie, kiedy już mu nie będę potrzebna — wiem o tym! Kapłani również zabiją mnie, jeśli odkryją moje oszustwa. To diabeł! Kupił mnie od handlarza niewolników, który wykradł mnie z karawany zdążającej przez południowy Koth. Zrobił mnie narzędziem swoich intryg. Zabierz mnie od niego! Nie możesz być tak okrutny jak on. Nie pozwól, by mnie tu zabito! Proszę! Proszę! — klęczała, obejmując nogi Conana, unosząc ku niemu piękną, oblaną łzami twarz z ciemnymi, jedwabistymi włosami rozsypanymi w nieładzie na białych ramionach. Conan podniósł ją i posadził sobie na kolanie.

— Posłuchaj. Obronię cię przez Zargheba. Kapłani nie dowiedzą się o waszej perfidii — ale musisz zrobić to, co ci każe.

Wyjąkała obietnice absolutnego posłuszeństwa, ściskając jego żylasty kark, przez ten dotyk mogła znaleźć rękojmię bezpieczeństwa.

— Dobrze. Gdy nadejdą kapłani odegrasz rolę Yelayi, jak zaplanował Zargheba — będzie ciemno, a przy świetle świec nie zauważą oszustwa. Powiesz do nich tak: Wołają bogów jest, aby Stygijczyka i jego shemickie psy wypędzono z Keshanu. To złodzieje i zdrajcy spiskujący, by obrabować bogów. Niechaj Zęby Gwahlura będą oddane w opiekę generałowi Conanowi. Niech on, ulubieniec bogów, poprowadzi armie Keshanu.

Drżąca, z twarzą powleczoną rozpaczą, zgodziła się na wszystko.

— A Zargheba? — zawołała — Zabije mnie!

— Nie przejmuj się nim — mruknął — Zajmę się tym psem. Zrób jak mówię. No, Ułóż znów swoje włosy, rozsypały się po ramionach. I klejnot z nich wypadł — sam umieścił wielki błyszczący kamień na właściwym miejscu, kiwając głową z aprobatą.

— Ten jeden jest wart armii niewolników. Załóż z powrotem spódniczkę. Jest rozdarta na boku, ale kapłani tego nie zauważą. Wytrzymaj twarz. Bogini nie płacze jak zrugana uczennica. Na Croma, ty naprawdę wyglądasz jak Yelaya. Twarz, włosy, figura, wszystko! Jeżeli przed kapłanami odegrasz boginię tak dobrze, jak przede mną, sukces murowany!

— Spróbuję — zadygotała.

— Idę poszukać Zargheby.

Na te słowa znów wpadła w panikę. — Nie! Nie zostawiaj mnie samej! To miejsce jest nawiedzone!

— Nikt tu nie zrobi ci krzywdy — zapewnił ją niecierpliwie. Nikt oprócz Zargheby, a ja już się nim zajmę. Zaraz wracam! Będą czuwał w pobliżu podczas ceremonii, na wypadek, gdyby coś poszło nie po naszej myśli, lecz gdy zagrasz odpowiednio swoją rolę, wszystko będzie w porządku.

Obrócił się i pospiesznie wyszedł z komnaty, pozostawiając bezgranicznie nieszczęśliwą Murielę. Zapadł zmierzch. Wielkie sale i przedsionki były mroczne i pełne cieni. W półmroku słabo błyszczały miedziane fryzy. Conan kroczył przez wielkie sale cicho, jak zjawa, mając uczucie, że obserwują go niewidzialne duchy przeszłości. Nic dziwnego, że dziewczyna była zdenerwowana. Z obnażonym mieczem w dłoni skradał się po marmurowych stopniach. Cisza zawładnęła doliną, a w górze, nad granią mrugały gwiazdy. Jeśli kapłani z Keshii przybyli do

doliny, nie zdradzał tego żaden dźwięk, żaden ruch w gęstwinie. Po chwili Cymmerianin dotarł do pradawnej alei o popękany bruku, ciągnącej się na południe, zagubionej wśród skłębionej masy gałęzi i gęsto ulistnionych krzewów. Podążył nią, zachowując czujność, trzymając się skraju, gdzie gąszcz dawał głęboki cień, aż zobaczył przed sobą, majaczącą w mroku, kępę drzew lotosu niezwyklej wysokości, tak charakterystycznych dla ciemnych ziem Kushu. W tej gęstwinie, według słów dziewczyny, powinien czaić się Zargheba. Conan począł skradać się cicho jak kot. Wtopił się w gąszcz niczym aksamitnostopy cień.

Okrężną drogą dotarł do kępy lotosu, tylko czasem drgnienie liścia zdradzało jego obecność. Na skraju drzew zatrzymał się nagle, przyczajony jak podejrzliwy zwierz w gęstym buszu. Przed nim, pośród gęstych liści majaczył w niepewnym świetle blady, owalny kształt. Mógł to być jeden z wielkich, białych kwiatów zwisających gęsto wśród gałęzi. Conan jednak wiedział, że jest to ludzka twarz obrócona w jego kierunku. Cofnął się szybko w cień. Czy Zargheba go widział? Mężczyzna spoglądał prosto na Cymmerianina.

Mijały chwile. Niewyraźna twarz nie poruszała się. Conan mógł dojrzeć ciemną plamę poniżej — krótką, czarną brodę. Nagle uświadomił sobie, że w tym widoku jest coś nienaturalnego. Zargheba, jak wiedział, nie był wysokim mężczyzną. Wyprostowany, sięgał barbarzyńcy zaledwie do ramienia — teraz zaś ta twarz znajdowała się na poziomie jego twarzy. Czyżby mężczyzna stał na czymś?

Conan pochylił się, usiłując dojrzeć coś jeszcze oprócz twarzy, ale krzaki i grube pnie zasłaniały widok. Zaraz jednak zeszywniał. Przez przerwę w poszyciu leśnym ujrzał pień drzewa, pod którym, jak mu się wydawało, stał Zargheba. Twarz znajdowała się dokładnie na jednej linii z drzewem. Poniżej powinien więc zobaczyć nie pień, lecz ciało Zargheby — ale ciała tam nie było. Nagle, spięty bardziej niż tygrys skradający się do ofiary, wślizgnął się głębiej w gąszcz, a chwilę później był już przy liściastej gałęzi. Spojrzał na nieruchomą twarz, która miała się już nigdy nie poruszać z własnej woli. Miał przed sobą odciętą głowę Zargheby, zawieszoną na gałęzi za długie czarne włosy. POWRÓT WYROZNI

Conan odwrócił się zwinnie, omiatając cienie badawczym wzrokiem. Nie dostrzegł jednak śladu ciała zamordowanego, tylko wysoka, bujna trawa opodal była zdeptana, a murawa zbryzgana czymś ciemnym i

mokrym. Cymmerianin stał ledwie oddychając; wyteżał słuch. Drzewa i krzewy o wielkich, bladych kwiatach otaczały go milczące, ciemne i złowieszcze. W duszę barbarzyńcy sączył się pierwotny lęk.

Czy to dzieło kapłanów Keshanu? Jeżeli tak, to gdzie oni są? Kto uderzył w gong? Zargheba? ...

Wrócił wspomnieniami do Bit — Yakina i jego tajemniczych sług. Bit — Yakin był martwy, skurczony w bryłę pomarszczonej skóry, złożony w swej skalnej krypcie, by przez wieczność oddawać cześć wschodzącemu słońcu. Los jego sług ciągle jednak pozostawał niejasny. Conan nie miał żadnego powodu, że w ogóle opuścili dolinę.

Teraz pomyślał o Murieli, która sama i bezbronna czekała na niego w pełnym cieni pałacu. Okręcił się na pięcie. Pobiegł z powrotem zasnutą mrokiem aleją, jak biegnie podejrzliwa pantera, gotowa nawet w pełnym pędzie skręcić w lewo czy prawo, by zadać śmiertelny cios.

Pałac majaczył już groźnie wśród drzew, gdy ujrzał blask ognia, odbijający się w polerowanym marmurze. Conan zagłębił się w krzaki, prześlizgnął przez zbity gąszcz i osiągnął skraj otwartej przestrzeni przed portykiem. Posłyszał głosy. Wtem dostrzegł drgające światła pochodni, które odbijały się na błyszczących, hebanowych ramionach. Przybyli kapłani Keshanu.

Nie nadeszli szeroką, zarośniętą aleją, jak oczekiwał Zargheba. Najwidoczniej było więcej niż jedno sekretne wejście do doliny Alkmeenonu. Wkraczali po szerokich, marmurowych schodach, dzierżąc wysoko uniesione pochodnie. Na czele defilady Conan zobaczył Gorulgę jak wykuty w miedzi profil odcinał się wyraźnie na tle płonących pochodni. Orszak składał się z niższych kapłanów — ogromnych czarnych mężczyzn, których skóra w drgającym świetle była jak gdyby przepojona krwawą poświatą. Na końcu procesji posuwał się olbrzymi Murzyn z wyraźnym piętnem łotrostwa na twarzy. Na jego widok Cymmerianin zmarszczył się groźnie. Był to Gwarunga, który jak twierdziła Muriela, zdradził Zarghebie ukryte wejście przez sadzawkę. Conan zastanawiał się, jak poważnie ten człowiek był wpłątany w intrygi Stygijczyka.

Gdy kapłani odeszli, pospieszył w kierunku portyku, okrążając otwartą przestrzeń i trzymając się otaczającego ją cienia. Kapłani nie zostawili nikogo na straży u wejścia. Korowód pochodni przesuwiał się

powoli w głąb długiej, ciemnej sali. Zanim osiągnął dwuskrzydłowe drzwi na drugim końcu, Conan pokonał zewnętrzne schody i znalazł się w sali za nimi. Skradając się zręcznie między stojącymi wzdłuż ściany kolumnami dotarł do wielkich drzwi, kapłani tymczasem mijali olbrzymią salę tronową. Światło pochodni rozpraszało mroczne cienie. Nie oglądali się. Szli długim rzędem, kołysząc strusimi piórami, ich tuniki ze skór leopardów przedziwnie kontrastowały z marmurami i bogatymi zdobieniami starożytnego pałacu. Przeszli przez obszerną salę, po czym przystanęli przed złotymi drzwiami z lewej strony podium, na którym stał tron.

Głos Gorulgi zabrzmiał głucho i niesamowicie w ogromnej, pustej przestrzeni. Pełna górnolotnych fraz przemowa pozostała niezrozumiała dla ukrytego Cymmerianina. Arcykapłan otworzył złote drzwi i wszedł do komnaty wyroczni, kłaniając się kilkakrotnie w pas, a ogniki pochodni podnosiły się i opadały, gdy wierni naśladowali swego mistrza. Złote drzwi zamknęły się za nimi, odcinając obraz i dźwięk. Conan przemknął się przez salę posłuchać do alkowy za tronem, ciszej niż wiatr, wiejąc przez komnatę.

Gdy otworzył ukryte drzwi, dostrzegł, że z otworów w murze wydobywają się cienkie strumyki światła. Wślizgnął się do niszy i zerknął do środka. Muriela siedziała na postumencie, wyprostowana, z założonymi rękami, głową opartą o ścianę, kilka cali od jego oczu. Delikatny zapach jej włosów dotarł do jego nozdrzy. Oczywiście, nie mógł widzieć jej twarzy, lecz był pewny, że wyglądała jak pogrążone w transie medium, które widzi odległe otchłanie kosmosu, daleko, ponad ogolonymi głowami klęczących przed nią czarnych olbrzymów. Conan uśmiechnął się z aprobatą. Z tej małej jest naprawdę wielka aktorka — pomyślał. Wiedział, że trzęsa się z przerażenia, ale nie dawała tego po sobie poznać. W niepewnym blasku pochodni wyglądała zupełnie jak bogini, którą widział leżącą na tym samym postumencie, o ile można by ją sobie wyobrazić pełną życia i werwy.

Gorulga grmiącym głosem zaintonował jakiś psalm w nieznanym języku

— prawdopodobnie inwokację w prastarym języku Alkmeenonu, przekazywaną przez arcykapłanów z pokolenia na pokolenie. Niecierpliwący się Cymmerianin miał wrażenie, że śpiew nigdy się nie

skończy. Im dłużej to trwało, tym bardziej zdenerwowana musiała być Muriela. Jeżeli się załamie... Przesunął do przodu swój miecz i sztylet. Nie mógłby patrzeć, jak czarni ludzie torturują i zabijają małą nierządnicę.

W końcu jednak głęboki, nieopisany złowieszczy przyśpiew dobiegł końca, co podkreślił głośny krzyk aprobaty, jaki wydali ministranci. Unosząc głowę i wznosząc ramiona do cichej postaci na postumencie, Gorulga zawołał głębokim, dźwięcznym głosem, który stanowił naturalny atrybut kapłana Keshanu:

— O wielka bogini, mieszkająca z wielkimi ciemnościami, pozwól swemu sercu stopnieć, a wargom swym otworzyć się dla uszu niewolników twoich, leżących z głowami w pyle u twych stóp! Przemów, o wielka bogini świętej doliny! Ty znasz ścieżki naszego przeznaczenia; ciemność tajemna dla nas jest, jak światło słońca w południe dla ciebie. Oświeć światłem twej mądrości ścieżki sług twoich! Powiedz nam, o głosie bogów, jaka jest ich wola względem Stygijczyka Thutmekriego!

Wysoko upięta, połyskliwa masa włosów drgnęła lekko w przyćmionym miedzianym świetle pochodni. Czarni westchnęli gwałtownie, już to z podziwu, już to ze strachu. Głos Murieli doleciał wyraźnie do uszu Conana; wydał mu się zimny, obojętny i bezosobowy, zżymał go wciąż wyraźny koryncki akcent.

— Wolą bogów jest, by Stygijczyka i jego shemickie psy wypędzono z Keshanu!

— powtarzała dokładnie jego słowa. — To złodzieje i zdrajcy spiskujący, by obrabować bogów. Niechaj Zęby Gwahlura będą oddane w opiekę generałowi Conanowi. Niech on poprowadzi armie Keshanu. On jest ulubieńcem bogów.

Głos jej lekko zadrżał pod koniec i Conan zaczął cię pocić, pewien, że była bliska załamania. Jednak czarni nie zwrócili na to uwagi, ani na korycki akcent, którego nie znali. Z cichym klaśnięciem złożyli dłonie, wydając okrzyk zdumienia i podziwu. Oczy Gorulgi błyszczały fanatycznie w świetle pochodni.

— Yelaya przemówiła! — zakrzyknął podniosłym głosem — Taka jest wola bogów! Dawno temu, za dni naszych przodków, klejnoty ogłoszono tabu i ukryto na rozkaz bogów, którzy wyrwali je ze strasznej paszczy Gwahlura — króla ciemności, w dniu narodzin świata. Na rozkaz bogów Zęby Gwahlura zostały ukryte; na ich rozkaz zostaną wydobyte

ponownie. O niebiańska bogini, pozwól nam udać się do miejsca ukrycia Zębów, by zabezpieczyć je dla tego, kogo miłują bogowie!

— Zezwalam wam odejść! — odpowiedziała fałszywa bogini z władczym, odprawiającym gestem, który wywołał uśmiech Conana. Kapłani wycofali się tyłem. Strusie pióra i pochodnie wznosiły się i opadały w rytmie ich pokłonów. Złote drzwi zamknęły się, a bogini z jękiem opadła na postument.

— Conanie! — wyjęczała słabo — Conanie!

— Tss! — syknął przez otwory, obrócił się, wyslizgnął z niszy i zamknął płytę. Rzut oka przez rzeźbione drzwi ukazał mu kapłanów, wychodzących z wielkiej sali tronowej. Jednocześnie uświadomił sobie, że blask, jakim sala była wypełniona, nie pochodził od pochodni. Zaniepokoił się, ale wyjaśnienie przyszło natychmiast. Właśnie wstał wczesny księżyc i to jego światło padało przez otwory w kopule, która jakąś przedziwną sztuką miała dar wzmacniania promieni świetlnych. Świecąca kopuła Alkmeenonu nie była więc bajką. Zapewne pokryto jej wnętrze dziwnym, białawo płonącym kryształem wydobywanym tylko w górach czarnych krain. Światło wypełniało salę tronową i sączyło się do przylegających komnat. Conan ruszył w kierunku drzwi, wiodących do sali tronowej, zawrócił jednak na głos, który zdawał się dochodzić z przejścia do alkowy. Przyczał się u wejścia mając jeszcze w pamięci dźwięk gongu, który zwabił go w pułapkę. Światło kopuły sączyło się do nader skąpej części wąskiego korytarza, ukazując mu tylko pustą przestrzeń. Mimo to byłby przysiągł, że słyszał gdzieś w głębi stąpanie.

Z rozmyślań wyrwał go dochodzący z tyłu, zduszony krzyk kobiety. Wpadając w drzwi za tronem, ujrzał w krystalicznym świetle niespodziewaną scenę. Pochodnie kapłanów zniknęły z wielkiej sali — ale jeden z nich pozostał w pałacu — Gwarunga. Z twarzą wykrzywioną furią ścisnął przerażoną Murielę za gardło, dławiąc jej krzyk, a na domiar złego brutalnie nią potrząsał.

— Zdrajczyń! — z jego czerwonych warg wydobył się syk iście węzowy — Co to za gra? Czy Zargheba nie powiedział ci, co masz mówić? Zdradzasz swojego pana, czy też on za twoim pośrednictwem wystawia do wiatru współników? Dziwko! Ukręcę ci ten fałszywy łeb, ale najpierw...

Śliczne oczy schwytej rozszerzyły się, gdy spojrzała mu przez

ramię i to ostrzegło olbrzymiego Murzyna. Puścił ją i obrócił się akurat wtedy, gdy miecz Conana opadał na jego głowę. Silny cios rozciągnął go na marmurowej posadzce, gdzie legł drgając, z krwią sączącą się z poszarpanej rany. Conan ruszył ku niemu, by dokończyć dzieła, widząc, że wskutek nagłego ruchu Murzyna ostrze uderzyło go na płask — ale Muriela konwulsyjnie objęła go ramionami.

— Zrobiłam, jak kazałeś! — dyszała histerycznie — Zabierz mnie stąd! Och, proszę, zabierz mnie stąd!

— Nie możemy jeszcze odejść — mruknął. — Chcę wyśledzić, skąd kapłani wezmą klejnoty. Może jest tam więcej ukrytych łupów. Jeśli chcesz, idź ze mną. Gdzie jest ten kamień, który miałaś we włosach?

— Musiał mi wypaść na postumencie — wyjąkała, dotykając włosów. — Byłam taka przestraszona... Kiedy kapłani odeszli, wybiegłam, aby cię szukać, lecz ten wielki brutal został i złapał mnie...

— Dobrze, poszukaj kamienia, a ja pozbędę się tej padliny — nakazał.

— Ruszaj! Ten klejnot sam w sobie jest wart fortunę.

Zastanowiła się, niechętnie myśląc o powrocie do tajemniczej komnaty, wreszcie, gdy Conan chwycił Gwarungę za pas i powlókł do alkowy, odwróciła się i weszła do środka. Awanturnik rzucił z łomotem nieprzytomnego kapłana na posadzkę i wzniosł miecz. Cymmerianin żył zbyt długo w dzikich stronach świata, by mieć jakieś złudzenia. Dobry wróg, to wróg bez głowy — taką dewizę wyznawał. Lecz zanim zadał cios, wstrząsający krzyk zatrzymał podniesione ostrze. Krzyk dobiegał z komnaty wyroczni.

— Conanie! Conanie! Ona wróciła! — wrzask zakończył bulgot i odgłosy szamotaniny.

Szybko wybiegł z alkowy z przekleństwem na ustach. Przebiegł przez podium i wpadł do komnaty wyroczni, nim echo przebrzmiało. Stał w progu, patrząc z niedowierzaniem. Sądząc z pozorów, na postumencie, z oczami zamkniętymi jak we śnie, leżała uśpiona Muriela.

— Co robisz do pioruna? — rzucił kwaśnym tonem. — Nie czas na głupie żarty... Urwał nagle. Jego spojrzenie pobiegło ku dopasowanej, jedwabnej spódniczce okrywającej uda dziewczyny. Spódniczka powinna być rozdarta od pasa do skraju. Był tego pewien, bo sam to zrobił, bezlitośnie zdzierając tę część odzieży z wyrywającej się tancerki. Jednak materiał nie nosił śladu uszkodzeń. Jednym skokiem znalazł się przy

postumencie, położył dłoń na udzie dziewczyny i odskoczył, jakby dotknął rozpalonego żelaza, a nie chłodu śmierci.

— Na Croma! — wymamrotał, sypiąc skry ze zwężonych oczu. — To nie Muriela! To Yelaya!

Teraz rozumiał ten nagły krzyk, jaki wydarł się z gardła Murieli, gdy weszła do komnaty. Bogini wróciła. Zargheba zdjął odzienie z księżniczki, by dostarczyć kostium pretendence. Mimo to, ciało było teraz okryte jedwabiem i kosztownościami, jak Conan widział je za pierwszym razem. Cymmerianin poczuł dziwne mrowienie, przebiegające po karku.

— Muriela! — wrzasnął nagle. — Muriela! Gdzie jesteś, do diabła!

Mury szyderczo powtórzyły jego wezwanie. Nie znał innej drogi do komnaty niż złote drzwi, przez które nikt nie mógł wyjść bez jego wiedzy. Yelaya musiała być więc umieszczona na postumencie w ciągu tych kilku minut, jakie upłynęły od chwili, gdy Muriela opuściła komnatę i została pochwycona przez Gwarungę. W uszach dźwięczało mu jeszcze echo krzyku dziewczyny, lecz ona sama zniknęła, jakby rozpułnęła się w powietrzu. Po odrzuceniu hipotezy o jakichś nadnaturalnych mocach, pozostawało tylko jedno wytłumaczenie: gdzieś w komnacie znajdowały się ukryte drzwi. W chwili, gdy przyszło mu to na myśl, zobaczył je.

W bloku marmuru, sprawiającym wrażenie monolitu, zauważył cienkie, prostokątne pęknięcie, w którym tkwił strzęp jedwabiu. Strzęp pochodził z rozdartej spódniczki Murieli. Wniosek był jednoznaczny. Zamykające się drzwi przytrzasnęły materiał, toteż nie mogły domknąć się do końca i dlatego powstała ta szpara.

Conan wcisnął sztylet w szczelinę i napałzył zylastym przedramieniem. Klinga wygięła się, ale ponieważ wykonano ją z niełamliwej akbitańskiej stali, marmurowe odrzwia uległy i rozstały się. Zajrzał w otwór z wzniesionym do ciosu mieczem, lecz nie dostrzegł zagrożenia. Światło sączące się z komnaty wyroczeni ukazywało schodzące w dół stopnie wycięte w marmurze. Rozwarł drzwi na całą szerokość i wepchnął sztylet w szczelinę między marmurową płytą a posadzką. Zabezpieczywszy sobie odwrót, bez namysłu ruszył po schodach. Nie dostrzegł ani nie usłyszał niczego. Kilkanaście stopni niżej schody kończyły się wąskim korytarzem, biegnącym dalej, prosto w mrok.

U stóp schodów stanął nagle, nieruchomo jak posąg, spoglądając na

pokrywające ściany freski, ledwie widoczne w przyćmionym świetle z góry. To była bez wątpienia sztuka Pelishtów; freski w takim samym stylu widział na murach Asgalunu.

Jednak przedstawione tu sceny nie miały nic wspólnego z Pelishtami poza jedną, często pojawiającą się postacią chudego, białobrodnego starca, którego rysy zdradzały przynależność do tego ludu. Freski zdawały się ukazywać różne części pałacu. Kilka scen przedstawiało pomieszczenie, w którym rozpoznał komnatę wyroczni, z postacią wyciągniętej na postumencie Yelayi otoczonej przez klęczących czarnych olbrzymów. Za ścianą, w niszy, widniał ukryty pradawny Pelishta. Były też inne postacie, krążące po opuszczonym pałacu; wykonując rozkazy Pelishty wydobywały z podziemnej rzeki trudne do określenia przedmioty. Przez kilka chwil Conan stał jak wryty. Niezrozumiałe dotąd wersy pergaminowego rękopisu rozbłysły mu w mózgu z przerażającą jasnością. Luźne fragmenty ułożyły się w całość. Tajemnica Bit — Yakina nie była już zagadką, podobnie jak tajemnica jego sług.

Obrócił się i spojrział w ciemność czując lodowaty dreszcz, pełznący mu po krzyżu. Bez chwili zwłoki ruszył korytarzem, skradając się cicho, jak kot, w mrok tym głębszy, im dalej od schodów. Powietrze przesycone było tym samym odorem, jaki czuł przy gongu.

W zupełnej ciemności usłyszał przed sobą jakiś dźwięk — szuranie bosych stóp czy szelest odzieży, trącej o mur; nie mógł tego określić. Jednak chwilę później jego wyciągnięta ręka dotknęła przeszkody, w której rozpoznał masywne drzwi z rzeźbionego metalu. Pchnął je. Ani drgnęły. Równie bezskutecznie końcem miecza szukał szczeliny. Drzwi i framugi były dopasowane do progu tak, jakby je tam wtopiono. Wyteżył wszystkie siły, zapierając się nogami w posadzkę, aż żyły wystąpiły mu na skroniach. Daremnie — może szarża słoni wstrząsnęłaby gigantycznym portalem.

Oparty o drzwi, posłyszał cichy dźwięk po drugiej stronie, a jego ucho momentalnie go rozpoznało — był to zgrzyt zardzewiałego żelastwa, coś jakby chrobot obracanej dźwigni. Zareagował tak szybko, że dźwięk, myśl i działanie były prawie jednoczesne. Kiedy olbrzymim susem odskakiwał w tył, z góry runęła ogromna masa i grzmiący huk wypełnił tunel ogłuszającym dudnieniem. Uderzyły go fruwające odłamki. Ogromny, kamienny blok — jak osądził po dźwięku — upadł na miejsce,

które właśnie opuścił. Gdyby pomyślał lub zareagował odrobinę wolniej, zostałby zmiażdżony jak mrówka.

Conan cofnął się. Gdzieś po drugiej stronie była uwięziona Muriela, o ile jeszcze żyła. Jednak drzwi okazały się przeszkodą nie do zdobycia, a im dłużej pozostawał w tunelu, tym bardziej ryzykował. Z kolejnej próby wcale nie musiał wyjść obronną ręką. Nie pomoże dziewczynie dając z siebie zrobić krwawą miazgę. Nie mógł jej dłużej szukać. Musiał wyjść na górę, poszukać jakiejś innej drogi.

Odwrócił się i pospieszył ku schodom, z westchnieniem ulgi wkraczając w lepiej oświetloną przestrzeń. Ale kiedy postawił stopę na pierwszym stopniu, światło nad nim zgasło — marmurowe drzwi zatrzęsnęły się z tysięcznym echem.

Uwięziony w ciemnym tunelu Cymmerianin był bliski paniki. Sądził, że teraz zewsząd rzucą się nań jakieś niesamowite stwory. Odwrócił się, błyskawicznie unosząc miecz i przeszywając mrok morderczym spojrzeniem. Ale w tunelu panowała cisza i bezruch. Czyżby ludzie za drzwiami — jeżeli byli to ludzie — sądzili, że pozbyli się go, zrzucając kamienny blok. Skoro tak, po co więc zatrzęsnęli drzwi do komnaty?

Porzucając rozważania, Conan wymacywał drogę pod górę, w każdej chwili spodziewając się ciosu w plecy, czując gwałtowną chęć utopienia lęku świeżo przelanej krwi. Pchnął drzwi i zaklął wściekle, kiedy okazało się, że nie ustępują. Podniósł prawe ramię, by mieczem rąbnąć w marmur, gdy nagle lewicą dotknął metalowej zasuwki. Odsunął rygiel, a wtedy drzwi ustąpiły. Wpadł do komnaty niczym uosobienie wściekłości; ze zwężonymi źrenicami i twarzą skurczoną morderczym grymasem. Płonął dzikim pragnieniem, by zetrzeć się z prześladowającym go wrogiem, kimkolwiek lub czymkolwiek był.

Nie znalazł na posadzce sztyletu. Komnata była pusta. Postument też. Yelaya znów zniknęła.

— Na Croma! — wymamrotał — Czy ona jednak żyje?

Zadziwiony powędrował do sali tronowej i tam, uderzony nagłą myślą, wszedł za tron i zajrzał do alkowy. Gładki marmur był zakrwawiony w miejscu, gdzie cisnął bezwładne ciało Gwarungi — i to wszystko. Murzyn zniknął, tak samo jak Yelaya. ZĘBY GwahlURA

Conan był wściekły i zbity z tropu. Nie miał pojęcia, gdzie szukać Murieli i Zębów Gwahlura. Przyszło mu do głowy tylko jedno — śledzić

kapłanów. Może w miejscu ukrycia skarbu znajdzie jakąś wskazówkę. Szansa była niewielka, lecz już lepsze to niż błąkać się bez celu. Gdy spieszył do portyku przez ogromną, mroczną salę spodziewał się, że przyczajone cienie nagle ożyją za jego plecami, szarpiąc kłami i pazurami. Jednak tylko szybkie bicie własnego serca towarzyszyło mu, gdy kroczył w odbijających się na marmurze drobnymi cętkami srebrnym blasku księżyca.

U stóp szerokich schodów rozejrzał się za jakimś znakiem, mogącym wskazać kierunek marszu. Znalazł go — rozrzucone na murawie płatki powiedziały mu, gdzie ramię lub odzież otarły się o ukwieconą gałąź. Trawa była zgnieciona ciężkimi stopami. Conan, który w swych rodzinnych górach tropił wilki, nie miał najmniejszego kłopotu z odnalezieniem śladów kapłanów Keshanu. Trop prowadził na zewnątrz, przez gąszcz egzotycznie pachnących krzewów o wielkich, bladych kwiatach przez zielone, splątane zarośla, których kwiecie czuł pod dotknięciem ręki. W końcu dotarł do ogromnej grupy skał, sterczących jak zamek tytanów przy gigantycznej ścianie skalnej, otaczającej dolinę. Do pałacu było blisko, lecz był on niemal niewidoczny za oplatanymi winoroślą chaszczami. Najwyraźniej niedyskretny kapłan mylił się, gdy mówił w Keshii, że Zęby Gwahlura są ukryte w pałacu. Szlak wyprowadził Cymmerianina z pałacu, ale rosło w nim przekonanie, że każda część doliny jest połączona z pałacem podziemnymi przejściami.

Czając się w głębokim, aksamitnym cieniu krzewów, obrzucił badawczym spojrzeniem spiętrzoną, olbrzymią skałę oblaną światłem księżyca. Była pokryta dziwnymi, groteskowymi rzeźbami, przedstawiającymi ludzi i zwierzęta oraz na pół zwierzęce istoty, które mogły być bogami lub demonami. Styl sztuki różnił się tak uderzająco od innych fresków, że Conan zaczął dociekać, czy to aby nie relikw z czasów zagubionych i zapomnianych nawet już w owym dniu, w którym lud Alkmeenonu odkrył i zasiedlił nawiedzoną dolinę. Wielkie wrota w stromej ścianie skalnej, na której wyrzeźbiono gigantyczny smoczy łeb stały otworem tak, że wyglądały jak rozwarta paszcza potwora. Same drzwi odlano i wyrzeźbiono w brązie — zdawało się, że ważą dobrych kilka ton. Nie zauważył żadnego zamka, lecz seria zasuw widocznych na brzegu stojącego otworem, masywnego portalu świadczyła, że istnieje jakiś system zamykania i otwierania — sposób znany jedynie kapłanom

Keschanu. Ślady wskazywały, że Gorulga i jego pomocnicy przeszli przez drzwi. Conan zawahał się. Czekać aż wyjdą oznaczało prawdopodobnie, że ujrzałby, jak zamykają mu drzwi przed nosem, a szczerze wątpił, czy umiałby je otworzyć. Z drugiej strony, gdyby poszedł za nimi, mogli wyjść i zamknąć go w jaskini. Porzucając ostrożność prześlizgnął się przez wielkie wrota. Gdzieś w jaskini byli kapłani, Zęba Gwahlura i może jakaś wskazówka co do losów Murieli. Ryzyko jeszcze nigdy nie odwiodło go od celu.

Księżyc oświetlał kilka pierwszych jardów szerokiego tunelu. Gdzieś przed sobą zobaczył słabą łunę i usłyszał echo posępnych przyśpiewów. Kapłani nie wyprzedzili go tak bardzo, jak sądził. Nim światło księżycy przestało rozjaśniać panujące ciemności, tunel rozszerzył się w rozległą komorę — pustą jaskinię o niewielkich wymiarach, lecz o wyniosłym, kopulastym, fascynującym sklepieniu. Jak Conan wiedział, było to zjawisko powszechnie spotykane w tej części świata. W upiornym półmroku dojrzał przykucnięty na ołtarzu posąg zwierzęcia i czarne paszcze sześciu czy siedmiu tuneli, wychodzących z komnaty. W najszerszym z nich — tym za przykucniętym wizerunkiem, spoglądającym w stronę wyjścia — pochwycił migocące płomienie pochodni. Przyśpiew dolatywał właśnie stamtąd.

Ruszył, na nic nie zważając. Po chwili dotarł do jaskini większej niż ta, którą dopiero opuścił. Tutaj nie było świecącego sklepienia, ale blask pochodni oświetlał jeszcze większy ołtarz oraz jeszcze bardziej sprośnego i odrażającego bożka, który przycupnął na nim jak ropucha. Przed tym obleśnym fetyszem klęczał Gorulga ze swą swiłą bijąc pokłony oraz zawodząc monotonne pieśni. Conan zrozumiał, dlaczego kapłani posuwali się tak wolno. Najwidoczniej wejście do tajemnej krypty zawierającej klejnoty, wiązało się ze skomplikowanym rytuałem. Barbarzyńca wiercił się nerwowo, czekając niecierpliwie na koniec obrzędów. Wreszcie kapłani podnieśli się z klęczek, po czym weszli w tunel za bożkiem. Pochodnie migotały w głębi krypty. Podążył za nimi. Niebezpieczeństwo czaiło się jak nocny stwór, zaś czarni kapłani byli zupełnie pochłonięci swą ceremonią. Najwyraźniej nawet nie zauważyli nieobecności Gwarungi. Wchodząc do ogromnych rozmiarów jaskini, której łagodnie wznoszące się ściany zapełniały rzędy galeryjek, kapłani na nowo rozpoczęli modły przed ołtarzem większym i bożkiem jeszcze

paskudniejszym niż dotychczas spotykane.

Cymmerianin przycałił się w ciemnej gardzieli tunelu, a spoglądając na ściany, odbijające niesamowity blask pochodni, zobaczył wycięte w kamieniu schody, prowadzące od jednego rzędu galerii do drugiego. Pułap zginął w ciemnościach.

Nagle drgnął. Przyśpiew urwał się gwałtownie. Klęczący zadarli głowy. Wysoko pod stropem rozległ się nieludzki głos. Kapłani zastygli na kolanach, unosząc ku górze upiornie zbłękitniałe twarze, gdy pod wyniosłym sklepieniem zaczęło pulsować oślepiające światło. Błysk oświetlił galerie, a powtórzony echem krzyk arcykapłana przeszył wszystkich dreszczem. W górze ukazała się im smukła postać, w bieli jedwabiu, lśniąca złotem i drogimi kamieniami. Potem blask przygasł do drgającej, pulsującej jasności, w której wszystko było niewyraźne, a smukła postać zdawała się być zaledwie jaśniejszą plamą koloru kości słoniowej.

— Yelaya! — wrzasnęła Gorulga, z twarzą barwy popiołu. — Czemu nas śledzisz? Czego żądasz?

Pod sufitem zabrzmiał podstępny nieludzki głos. Opadając z wysokości łukowatego sklepienia zwielokrotnionym echem został wzmocniony i zmieniony nie do poznania.

— Biada niedowiarkom! Biada fałszywym dzieciom Keshii! Zguba bluźniercom! Kapłani wydali okrzyk przerażenia, a oświetlony blaskiem pochodni Gorulga

wyglądał jak zszokowany sęp.

— Nie rozumiem! — wyjąkał. — Jesteśmy wierni. W komnacie wyroczni nakazałeś nam...

— Nie wierzcie w to, co usłyszeliście w komnacie wyroczni! — zagrzmiało straszliwie jak gdyby niezliczone mnóstwo głosów szeptało to samo ostrzeżenie. — Strzeżcie się fałszywych bogów i fałszywych proroków! Demon przybrał moją postać, głosząc w pałacu fałszywe proroctwo. Słuchajcie i bądźcie posłuszni, bo tylko ja jestem prawdziwą boginią i daję wam szansę ocalenia od zagłady!

Zabierzcie Zęby Gwahlura z krypty, w której je umieszczono dawno temu. Alkmeenon nie jest już świętym miejscem, bo został zbezczeszczone przez świętokradców. Złóżcie Zęby Gwahlura w ręce Thutmekriego, Stygijczyka, by umieścić je w świątyni Dagona i Derkety.

Tylko to może ocalić Keshan przed zgubą, uknutą przez demony nocy! Weźcie Zęby Gwahlura i idźcie, wracajcie niezwłocznie do Keshii. Tam dajcie klejnoty Thutmekriemu, schwytajcie cudzoziemskiego diabła Conana i obedrzyjcie go żywcem ze skóry na wielkim placu!

Posłuchano bez zastanowienia. Trzęsąc się ze strachu, kapłani ruszyli biegiem do wejścia, znajdującego się za zwierzęcym bożkiem. Gorulga biegł na czele. Kłębili się chwilę w przejściu, a w powietrzu rozlegały się wrzaski oparzonych pochodniami. Po chwili szybki tupot nóg ucichł.

Conan nie poszedł za nimi. Przepęłniało go gwałtowne pragnienie, by dowiedzieć się prawdy o tej fantastycznej aferze. Czyżby to była naprawdę Yelaya, jak mówił mu zimny pot na czole, czy też to małe ladaco Muriela okazała się podwójną zdrajczynią? Jeżeli to ona...

Nim ostatnia pochodnia zniknęła w tunelu, pędził, żądny zemsty, w górę schodów. Niebieski blask dogasał, ale nadal pozwalał dojrzeć nieruchomą postać na galerii. Serce niemal stanęło mu w gardle, ale zbliżył się bez wahania. Podszedł ze wzniesionym mieczem i stanął jak uosobienie śmiertelnej groźby.

— Yelaya! — sarknął. — Martwa jak i przed tysiącem lat!

Z ciemnego otworu korytarza wypadł ciemny kształt. Jednak czuły słuch Cymmerianina pochwycił nagły szmer bosych stóp. Uskoczył zwinnie jak kot, unikając wymierzonego w plecy, morderczego ciosu. Gdy połyskująca w ciemnej ręce stal przeszła ze świstem obok, uderzał z furią rozdrażnionego pytona. Długa, prosta klinga przebiła napastnika i wyszła między łopatkami.

— Więc to tak! — Conan wyszarpnął miecz, gdy jego ofiara padła na ziemię. Ciało zadrgało i zeszywniało. W zamierającym świetle Conan zobaczył czarną skórę i hebanowe rysy, odrażające w niebieskawej poświacie. Zabił Gwarungę. Cymmerianin odwrócił się. Postronki na wysokości kolan i piersi przytwierdzały boginę do kamiennej kolumny, przywiązane do słupa włosy nie pozwalały opaść głowie. W migotliwym świetle więzy były prawie niewidoczne już z odległości kilku jardów.

— Musiał wrócić do komnaty wyroczni, kiedy zszedłem w podziemia — mruczą; Conan. — Pewnie podejrzewał, że tam jestem. To on wyciągnął sztylet — Conan pochylił się, wyrwał broń ze sztywniejących palców i umieścił ją na swoim miejscu przy pasie — a następnie zamknął drzwi. Potem zabrał Yelayę, by oszukać tych idiotów, swoich braci. To

jego głos słyszeli przed chwilą. Nie mogli go rozpoznać, bo echo mocno go zniekształciło. I ten niebieski płomień wydawał mi się znajomy. Sztuka stygijskich kapłanów. Thutmekri musiał zdradzić tajemnice Gwarundze. Gwarunga z łatwością przedostał się do jaskini wcześniej niż inni. Najwidoczniej znał plan labiryntu ze słyszenia lub z map posiadanych przez kapłanów. Wszedł za innymi niosąc boginię, przeszedł okrężną drogą tunele i groty, a potem ukrył się wraz ze swym brzemieniem na balkonie, W czasie gdy Gorulga i reszta oddawali się tym modłom bez końca.

Niebieski płomień zgasł, lecz Conan zauważył inny blask, dobywający się z jednego z kilku korytarzy, odchodzących z galerii. Gdzieś dalej znajdowało się następne pole fosforescencji — rozpoznawał tę słabą, jednostajną poświatę. Korytarz wiódł w tym samym kierunku, w którym uciekli kapłani. Cymmerianin wolał skorzystać raczej z tej samej drogi niż opuszczać się w ciemność wielkiej jaskini w dole. Niewątpliwie korytarz łączył się z inną galerią, w innej komnacie, być może z miejscem, do którego pobiegli kapłani. Pospieszył w tym kierunku. W miarę jak szedł, blask stawał się silniejszy, pozwalając dojrzeć ściany i podłogę. Gdzieś w dole przed sobą usłyszał znów śpiew kapłanów. Nagle ścianę po jego lewej ręce oblało fosforyzujące światło, a do jego uszu doleciał cichy, histeryczny szloch. Obrócił się i zajrzał w drzwi.

Znów ujrzał komnatę, tym razem wykutą w twardej skale, a nie naturalną, jak poprzednie. Kopulasty sufit świecił fosforyzującym blaskiem, ściany niemal całkowicie pokrywały inkrustowane złotem arabski.

Pod najdalszą ścianą, na granitowym tronie, patrząc od wieków w stronę wejścia, siedział monstrualny i odrażający Pteor, bóg Pelishtów, odlany w brązie, o przesadnie powiększonych atrybutach, odzwierciedlających wulgarność jego kultu.

Na jego tronie leżała bezwładnie rozciągnięta biała postać.

— Niech mnie licho! — jęknął Conan. Rozejrzał się podejrzliwie po komnacie, nie znajdując śladu innego wejścia, ani czyjejs obecności. Podeszedł bezgłośnie i spojrział na dziewczynę o twarzy ukrytej w dłoniach, wstrząsanej szlochem krańcowego przygnębienia.

Od grubych, złotych obręczy na ramionach bożka biegły cienkie, złote łańcuchy, skuwające jej ręce. Położył dłoń na nagim ramieniu. Drgnęła

przerażona, krzyknęła i obróciła ku niemu zalaną łzami twarz.

— Conan! — jak zwykle usiłowała chwycić go za rękę, lecz tym razem łańcuchy krępowały swobodę jej ruchów. Przeciął miękki metal tak blisko nadgarstków, jak tylko mógł. — Będziesz musiała nosić te bransoletki, dopóki nie znajdę dłuta lub pilnika — sapnął. — Puść mnie, do licha! Wy, aktorki, jesteście zbyt uczuciowe. Przy okazji — co ci się przydarzyło?

— Kiedy weszłam do komnaty wyroczni — wyjęczała — — zobaczyłam boginię leżącą na postumencie, tak jak ujrzałam ją za pierwszym razem. Zawołałam cię i zaczęłam biec do drzwi — wtedy coś złapało mnie z tyłu. Zatkano mi dłońią usta, przeniosło przez otwór w ścianie, później, po schodach do ciemnego korytarza. Nie mogłam zobaczyć, co to było, dopóki nie minęliśmy dużych, metalowych drzwi i nie znaleźliśmy się w komnacie o jasnym suficie, jak ta. Och! — gdy ich zobaczyłam, omal nie zemdlałam! To nie ludzie! To szare, owłosione diabły, poruszające się jak ludzie, lecz mówiące niezrozumiałym bełkotem! Stali tam i zdawali się na coś czekać. W pewnej chwili zdało mi się, że ktoś usiłuje otworzyć drzwi. Wtedy jedno z nich pociągnęło za dźwignię w murze i po drugiej stronie coś zważyło się z łoskotem. Potem nieśli mnie długimi tunelami, wtaszczyli do tej komnaty, przykuli na kolanach tego paskudnego bożka i odeszli. Och, Conanie, kim oni są?

— Sługami Bit — Yakina — mruknął — Znalazłem rękopis, z którego dowiedziałem się paru rzeczy, a freski dopowiedziały mi resztę. Bit — Yakin był Pelishtą, który przywędrował do tej doliny ze swymi sługami po tym, jak opuścili ją mieszkańcy Alkmeenonu. Znalazł ciało księżniczki Yelayi i odkrył, że kapłani przybywali tu od czasu do czasu, bo już wtedy oddawano jej boską cześć. Uczynił z niej wyrocznię — on był jej głosem, przemawiając z niszy, którą wykuł w ścianie za podium z kości słoniowej. Kapłani nic nie podejrzewali; nigdy nie widzieli ani jego, ani jego sług, bo ci zawsze kryli się na czas ich pobytu. Bit — Yakin żył tu i umarł, nigdy nie odkryty przez kapłanów. Crom wie, jak długo tu przebywał — chyba stulecia. Mędrzy Pelishtów umieli przedłużać swoje życie do setek lat. Kilku sam widziałem. Dlaczego żył tu samotnie i czemu odgrywał rolę wyroczni, zwykły człowiek tego nie pojmie. Sądzę, że celem wyroczni było utrzymać to miejsce nienaruszonym i świętym, tak, by nikt mu nie przeszkadzał. Jadł żywność, którą kapłani przynosili jako

ofiarę dla Yelay, a jego słudzy jedli... hm... inne rzeczy... Zawsze wiedziałem, że z jeziora, do którego mieszkańcy puntyjskich wyżyn wrzucają swoich zmarłych, wpływa podziemna rzeka. Ta rzeka przepływa pod pałacem. Do wody schodzą drabinki, z których mogli wyławiać przepływające trupy.

Bit — Yakin zapisał to wszystko na pergaminie i na murze podziemnego tunelu. Jednak w końcu umarł, a jego słudzy z mumifikowali go zgodnie ze wskazówkami, jakie dał im przed śmiercią, i umieścili w skalnej grocie. Resztę łatwo zgadnąć. Jego słudzy, bliżsi nieśmiertelności niż on, nadal tu przebywali. Kiedy następnym razem arcykapłan przybył zasięgnąć rady oni, nie mając pana, który by ich powstrzymał, rozszarpali go na strzępy. Tak więc od tej pory do dziś nikt nie przychodził, przemówić do wyroczni. To oczywiście oni zmieniali szaty i ozdoby bogini na nowe, jak widzieli, że robił to Bit — Yakin. Niewątpliwie, jest tu gdzieś zamknięta komnata, w której ukryto jedwabie przed zniszczeniem. To oni ubrali boginię i przenieśli z powrotem do pokoju wyroczni po tym, gdy Zargheba ją okradł. A — przy okazji — odcięli też głowę Zargheby i zawiesili w gęstwinie.

Muriela zadrżała, ale odetchnęła z ulgą. — Już nie będzie mnie chłostał.

— Nie po tej stronie piekła — zgodził się Conan — ale chodźmy. Gwarunga zniszczył cały mój plan. Zamierzam śledzić kapłanów i odebrać im łup, kiedy go dostaną. Trzymaj się blisko. Nie mogę cię szukać przez cały czas.

— A słudzy Bit — Yakina? — szepnęła z przestraczem.

— Musimy zaryzykować — mruknął — nie wiem, co planują, jednak na razie nie byli skorzy do bijatyki. Chodź.

Chwytał ją za rękę i wyprowadził z komnaty. Posuwając się korytarzem słyszeli śpiew kapłanów zmieszany z niskim, posępnym odgłosem pędzącej wody. Światło nad nimi stało się silniejsze — weszli na galerię olbrzymiej, wyniośle sklepionej groty. Spojrzeli w dół. Widok był fantastyczny i niesamowity.

Nad nimi lśnił fosforyzującym blaskiem pułap; sto stóp poniżej rozciągało się płaskie dno jaskini. W odległej części groty przecinał je głęboki, wąski kanał w skale. Wartki strumień wypadając z niezgłębionych mroków, przepływał wirując przez jaskinię i znów ginął

w ciemnościach. Widoczna część odbijała padający blask; czarna kipiela błyszczała, jakby była usiana żywymi klejnotami — mroźnym błękitem, krwawą czerwienią, migoczącą zielenią i całą, ciągle pulsującą tęczą barw.

Conan i jego towarzyszka stali na jednym z podobnych do galerii występów, opasujących wyniosłe ściany. Łuk naturalnego mostu z kamienia wzbijał się stąd nad głęboką otchłanią pieczary, łącząc się ze znacznie mniejszym występem po drugiej stronie rzeki. Dziesięć stóp wyżej następny, szerszy łuk rozciągał się nad jaskinią. Na każdym końcu wyciosane stopnie łączyły spinające przeciwległe ściany mostu.

Wiodąc spojrzeniem po wygięciu łuku Conan zauważył blask światła, różniący się od niesamowitej fosforescencji jaskini. Na małym występie po przeciwnej stronie, w skale znajdował się otwór, przez który błyszczały gwiazdy.

Natychmiast jednak całą jego uwagę przyciągnęła scena, odgrywająca się w dole. Kapłani dotarli wreszcie do celu. W odległym kącie jaskini stał kamienny ołtarz, lecz nie było na nim bożka. Conan nie mógł dojrzeć, czy był jakiś za ołtarzem, ponieważ dzięki sprytnej sztuczce światło, a może wypukłość ściany zostawiała przestrzeń absydy w zupełnej ciemności.

Kapłani wetknęli pochodnie w otwory kamiennej podłogi, tworząc w odległości kilku jardów przed ołtarzem ogniste półkole. Sami ustawili się wewnątrz półokręgu pochodni. Gorulga, uniósłszy najpierw ręce w geście wezwania, pochylił się nad ołtarzem i położył na nim ręce. Ołtarz podniósł się i pochylił do tyłu jak pokrywa kufra, odsłaniając małą kryptę.

Wyciągnąwszy długie ramię, Gorulga wyjął niewielką, mosiężną szkatułkę. Opuścił ołtarz z powrotem, postawił na nim skrzynkę i podniósł pokrywę. Podnieconym widzom na wysokiej galerii wydawało się, że ten ruch wyzwolił żywe płomienie, drżące i pulsujące wokół otwartej szkatuły. Serce Conana skoczyło, a dłoń chwyciła za rękojeść miecza. Nareszcie ujrzał Zęby Gwahlura! Skarb, czyniący posiadacza najbogatszym człowiekiem na świecie. Przez zaciśnięte zęby Cymmerianina wydybywał się przyspieszony oddech.

Nagle uświadomił sobie, że na światło pochodni i fosforyzującego pałapu podziałała jakaś siła, pozbawiając je mocy. Wokół ołtarza zalegały ciemności, rozświetlane jedynie upiornym blaskiem światła rzucanego przez Zęby Gwahlura — światło to ciągle przybierało na

mocy. Czarni zamarli jak figury z bazaltu, ich cienie stały nieruchomo, gigantyczne i groteskowe.

Ale ołtarz był skąpany w blasku i zdumione rysy Gorulgi odcinały się z całą wyrazistością. Nieprzenikniona ciemność za ołtarzem rozbłysła rozprzestrzeniającym się światłem. Powoli, w miarę jak krąg światła rozszerzał się, ukarały się postacie, niczym kształty powstające z nocy i ciszy.

Na początku wyglądały jak szare, kamienne posągi — nieruchome, włochate, ohydne karykatury człowieka. Jedynie ich sypiące skrami zimnej wściekłości oczy były żywe. Upiorna poświata wyłoniła ich zwierzęce kształty. Gorulga wrzasnęła i upadł do tyłu, wyrzucając przed siebie ręce w geście dzikiego przerażenia. Niekształtne, długie ramię sięgnęło błyskawicznie ponad ołtarzem; pięść opadła z siłą młota i krzyki kapłana ucichły. Jego bezwładne ciało legło na ołtarzu. Ze zmiażdżonej czaszki wypływał mózg. Wtedy słudzy Bit — Yakina natarli jak horda demonów na skamieniałych z przerażenia kapłanów.

Była to rzeź — ponura i przerażająca.

Conan widział czarne ciała ciskane jak plewy łapami zabójców. Przeciwno ich straszliwej sile sztylety i miecze kapłanów były zupełnie bezużyteczne. Widział ludzi unoszonych w górę i miażdżonych o ołtarz. Widział, jak potworna ręka wepchnęła płonąca pochodnię w gardło nieszczęśnika, szarpiącego się daremnie w przytrzymujących go ramionach; Ujrzał mężczyznę rozdartego na dwoje jak kurczaka, a jego krwawe szczątki ciśnięte w różne strony jaskini. Gwałtowna i niszcząca jak huragan masakra zakończyła się w jednym krwawym wybuchu bezdennej dzikości. Tylko jeden nieszczęśnik, wrzeszcząc przeraźliwie, uciekał drogą, którą przyszli kapłani. Horda zbryzganych krwią stworów ścigała go, wyciągając umazane posoką łapy. Uciekinier i ścigający zniknęli w ciemnym tunelu. Krzyki człowieka cichły w oddali.

Muriela klęczała, ściskając kolana Conana, z twarzą przytuloną do niego i zamkniętymi oczami. Była uosobieniem skrajnego przerażenia. Conan jednak sprężył się do akcji. Rzut oka na świecące przez otwór gwiazdy, na szkatułę nadal stojącą na zalanym krwią ołtarzu — i dojrzał nikły cień szansy.

— Idę po tę szkatułę! — warknął — Zostań tutaj!

— Och Mitro, nie! — zupełnie przerażona upadła mu do stóp

chwytając go za sandały. — Nie! Nie! Nie zostawiaj mnie!

— Leż cicho i nie odzywaj się! — przerwał, uwalniając się od jej kurczowego uścisku.

Nie zwrócił uwagi na kręte chody. Opuszczał się z występu na występ z zuchwałym pośpiechem. Gdy stanął na dnie jaskini, potwory jeszcze nie wróciły. Kilka pochodni tkwiących w otworach jeszcze się paliło, fosforyzujący odblask drżał, a rzeka przepływała, pomrukując niemal ludzkim głosem i iskrząc się nieprawdopodobną — jasnością. Łuna, oznajmiająca przybycie sług Bit — Yakina, zniknęła razem z nimi. Tylko klejnoty w mosiężnej szkatule lśniły i błyszcząły.

Cymmerianin porwał szkatułę, oceniwszy jej zawartość jednym pożądlivym spojrzeniem — garść płonących lodowatym, nieziemskim blaskiem kamieni o przedziwnych kształtach. Zatrzasnął wieko, wcisnął skrzynkę pod pachę i pobiegł schodami w górę. Nie miał ochoty spotykać się z diabelskimi sługami Bit — Yakina. Przelotna znajomość rozwiała wszystkie złudzenia — co do ich waleczności: Nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak długo czekali, zanim uderzyli na intruzów. Czyż człowiek mógł odgadnąć myśli lub motywy działania potworów?

Wykazali się zręcznością i inteligencją równą ludzkiej, a na dnie jaskini leżały krwawe dowody ich zwierzęcej dzikości.

Koryncjanka nadal kuliła się na galerii, gdzie ją zostawił. Chwycił ją za rękę i postawił na nogi.

— Myślę, że czas iść! — mruknął.

Zbyt otumaniona przerażeniem, by zrozumieć, co się dzieje, dziewczyna pozwoliła poprowadzić się przez most. Dopiero kiedy znajdowali się nad pędzącą wodą, spojrzawszy w dół, w zapierającą dech przepaść, jęknęła i byłaby spadła, gdyby Conan nie objął jej potężnym ramieniem. Burcząc pokrzepiająco do ucha, wziął ją pod drugą, wolną pachę i przeniósł przez most, do otworu. Nie kłopotząc się stawianiem jej na nogi, ruszył pospiesznie tunelem. W chwilę później wyszli na wąski występ po zewnętrznej stronie ścian otaczających dolinę. Mniej niż sto stóp poniżej, w świetle gwiazd falowała dżungla. Patrząc w dół, Conan wydał gwałtowne westchnienie ulgi. Wierzył, że potrafi uporać się z zejściem, nawet obciążony klejnotami i dziewczyną, chociaż wątpił, by potrafił wspiąć się tędy w górę, nawet bez obciążenia. Postawił usmarowaną krwią i mózgiem Gorulgi szkatułę na półce i zaczął

zdejmować pas, by przywiązać ją sobie na plecach. Złowieszczo jednoznaczne odgłosy z tyłu zmusiły go do działania.

— Zostań tu! — rzucił oszołomionej dziewczynie — i nie ruszaj się! Wyciągając miecz pobiegł do jaskini, wściekle tocząc wzrokiem. W połowie wyższego mostu ujrzał szarą, niekształtną postać. Jeden ze sług Bit — Yakina był na jego tropie.

Conan nie miał wątpliwości, że bestia widziała ich i ścigała. Nie zastawiał się ani chwili. Obrona wejścia do tunelu mogła być łatwiejsza, ale ta walka musiała być zakończona szybko, nim inni powrócą.

Wybiegł na spotkanie potwora. Nie była to mała, ale i nie człowiek. Raczej jakiś człekokształtny potwór, zrodzony w tajemniczych, niezbadanych dżunglach południa, gdzie dziwne, nie ujarzmione przez człowieka stwory roiły się w wyziewach zgnilizny, a bębny grzmiały w świątyniach nie dotkniętych nigdy ludzką stopą. W jaki sposób prastary Pelishta zdobył władzę nad nimi i wraz z nią wieczystą ucieczkę przed ludzkością — to zagadka nie do rozwiązania. Conan nie dochodziłby tego, nawet gdyby miał na to czas.

Człowiek i potwór spotkali się w najwyższym punkcie mostu, sto stóp nad powierzchnią czarnej, oszalałej wody. Kiedy monstrualna postać o rysach kamiennego bożka wyłoniła się przed nim, Conan uderzył niczym ranny tygrys, wkładając w atak całą siłę i wściekłość. Takt cios przeciąłby człowieka na dwoje, lecz kości sług Bit — Yakina były twarde jak hartowana stal. Jednak nawet hartowana stal nie zniosłaby bez uszczerbku szaleńczego ciecica. Cios przeciął bark oraz żebra. Z ogromnej rany trysnęła krew.

Nie było czasu na powtórzenie. Zanim Cymmerianin zdołał znów unieść ostrze lub odskoczyć, zamach gigantycznego łapska strącił go z mostu jak muchę. Huk rzeki brzmiał mu jak podzwonne, jeśli jednak nie zginął w czarnych odmętach to dlatego, że połową ciała wpadł na niższy most. Przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę kołysał się niebezpiecznie na skraju przepaści, aż wreszcie przebierające gorączkowo palce uchwyciły krawędź. Wgramolił się na most, mocno dzierżąc miecz w dłoni.

Teraz zobaczył potwora, który brocząc obficie krwią, pędził ku łączącym mosty schodom. Najwidoczniej zamierzał zejść i podjąć walkę, lecz na wstępie zatrzymał się w biegu. U wejścia do tunelu stała

oniemiała ze strachu Muriela, ze szkatułą klejnotów pod pachą.

Z tryumfalnym rykiem potwór porwał ją jedną łapą, w drugą chwycił szkatułę i zawrócił ociężale na most. Conan zaklął z pasją, po czym pobiegł w tym samym kierunku po niższym moście. Wątpił, czy zdoła wbiec po schodach na wyższy most, nim bestia dopadnie labiryntu tuneli po drugiej stronie.

Potwór jednak zwalniał, jakby zepsuł się napędzający go mechanizm. Krew tryskała ze straszliwej rany w piersi, zataczał się z boku na bok, jak pijany. Nagle potknął się, zachwiał i przewrócił... Głową w dół runął w przepaść. Dziewczyna i szkatuła klejnotów wypadła mu z pozbawionych czucia łap. Przerażliwy krzyk Murieli zagłuszył ryk pędzącej w dole rzeki. Conan znajdował się prawie dokładnie poniżej miejsca, z którego spadali. Potwór otarł się o niższy most i poleciał w dół, ale wymachująca rękami i nogami dziewczyna zawisała na skalnym łuku. Szkatuła spadła na skraj mostu tuż przy niej. Muriela i klejnoty upadły naprzeciw siebie w pewnym oddaleniu. Conan stał pośrodku. Obie zguby leżały w zasięgu ręki. Przez ułamek sekundy szkatuła chybotąła się na krawędzi mostu, a Muriela, wisząc na jednej ręce, patrzyła na Conana oczami pełnymi śmiertelnego lęku, z krzykiem rozpaczony na ustach.

Nie zastanawiał się, nawet nie spojrzał na szkatułę kryjącą bogactwo epoki. Z szybkością, która zdziwiłaby głodnego jaguara, pochylił się chwycił ramię dziewczyny w chwili, gdy jej ręce ześlizgiwały się z gładkiego kamienia i jednym ruchem postawił ją na moście. Szkatuła spadła i uderzyła sto stóp niżej o powierzchnię wody, gdzie znikły już zwłoki sługi Bit — Yakina. Plusk i fontanna oznaczyły miejsce, w którym Zęby Gwahlura zniknęły na zawsze dla ludzkich oczu. Conan ledwie na to spojrzał. Pomknął jak kot przez most i wbiegł po schodach, niosąc bezwładną dziewczynę, jak gdyby była niemowlęciem. Wchodząc na górny most usłyszał ohydne wycie. Spojrzał przez ramię i ujrzał stwory, wpadające z powrotem do jaskini. Z ich obnażonych kłów kapą krew. Rycząc mściwie, pędziły po schodach wiodących z półki na półkę.

Conan bezceremonialnie zarzucił sobie dziewczynę na ramię, przebiegł tunel i zaczął opuszczać się w dół; sam był podobny do małpy, gdy z karkołomnym zuchwalstwem przerzucał ciężar ciała z miejsca na miejsce, posługując się jedynie rękami. Gdy zwierzęce pyski wyjrzały przez otwór, Cymmerianin z dziewczyną właśnie znikali w otaczającej

skalny pierścień dżungli.

— No — powiedział Conan, stawiając dziewczynę na nogi w bezpiecznym zaciszu gałęzi — mamy teraz sporo czasu. Nie sędzę, żeby te bestie ścigały nas aż tutaj. W każdym razie mam tu konia uwiązanego u wodopaju, o ile lwy go nie zjadły. Crom i diabli! Dlaczego TERAZ płaczesz?

Ukryła zalaną łzami twarz w dłoniach i szloch wstrząsnął jej szczupłymi ramionami.

— Straciłam twoje klejnoty — jęczała żałośnie — To moja wina. Gdybym cię posłuchała i została na półce, ta bestia nigdy by mnie nie zobaczyła. Powinieneś był złapać kamienie i pozwolić mi utonąć!

— Tak, chyba powinienem — zgodził się — ale zapomnijmy o tym. Nigdy nie martw się tym, co minęło. I przestań płakać, dobrze? Teraz lepiej. Chodź!

— To znaczy, że chcesz mnie zatrzymać? Zabrać ze sobą? — pytała z nadzieją w głosie.

— Co innego mógłbym z tobą zrobić? — obrzucił aprobującym spojrzeniem jej postać i uśmiechnął się na widok rozdartej spódniczki, odsłaniającej wspaniałe obszary kuszących, toczonych w kości słoniowej krągłości. — Znajdę zajęcie dla takiej aktorki jak ty. Nie mamy po co wracać do Keshii. W Keshanie nie ma już mc, co mogłoby mnie zatrzymać. Pojedziemy do Puntu. Puntyjczycy oddają cześć bogini z kości słoniowej i wypłukują z rzek złoto plecionymi koszykami. Powiem im, że Keshan spiskuje z Thutmekrim, by ich podbić — co jest prawdą — i że bogowie przysłali mnie, bym ich bronił — za jakieś parę worków złota. Jeżeli zdołam przemycić się do ich świątyni, abyś zamieniła się miejscami z ich boginią... Zedrzymy z nich wszystko, do ostatniego złotego zęba!

ZA CZARNĄ RZEKĄ

Udawszy się z Murielą do Puntu, Conan przeprowadza swój plan i uwalnia czcicieli tamtejszej bogini od nadmiaru złota. Potem rusza dalej, do Zambabwei. W mieście bliźniaczych królów przyłącza się do karawany kupieckiej, którą przeprowadza na północ pustynnymi szlakami patrolowanymi przez kamratów Zuagirów do bezpiecznego Shemu. Wędruje dalej przez hyboriańskie królestwa, zmierzając wciąż na północ, ku swym rodzinnym stronom. Ma już prawie czterdzieści lat, ale prawie wcale się nie zmienił; jest tylko ostrożniejszy w kontaktach z kobietami i stara się unikać kłopotów. W Cymmerii jego rówieśnicy już dawno pozakładali rodziny i z upodobaniem oddają się przyjemnościom życia, za przykładem mieszkańców bardziej cywilizowanych hyboriańskich krain. Mimo to, w ciągu dwudziestu lat jakie upłynęły od upadku Venarium, kolonizatorzy nie przekroczyli granic Cymmerii. Teraz jednak Aquilończycy napierają na zachodnie obrzeża puszczy zamieszkałej przez dzikich Piktów. Tam też, w poszukiwaniu zajęcia, udaje się Conan. Zaciąga się jako zwiadowca do oddziałów stacjonujących w forcie Tuscelan, ostatnim przyczółku Aquilonii na wschód od Czarnej Rzeki — w głębi terytorium Piktów. W leśnej głuszy toczy się nieustająca, okrutna wojna.

1. CONAN TRACI TOPÓR

W lesie panowała tak głęboka cisza, że nawet stąpienia miękko obutych stóp zdawały się rozchodzić aż po jego krańce. A przynajmniej tak wydawało się wędrowcowi podążającemu z ostrożnością cechującą każdego człowieka, który odważył się przekroczyć Rzekę Gromu. Był to młody mężczyzna średniego wzrostu, o otwartej twarzy i zmierzwionej, płowej czuprynie. Nie nosił hełmu ani czapki, a jego strój nie wyróżniał się niczym szczególnym; zgrzebna przewiązana w pasie tunika, skórzane bryczesy i miękkie, sięgające kolan buty. Zza cholewy jednego z nich sterczała rękojeść noża, a przy szerokim pasie wisiał krótki, ciężki miecz i sakwa z kozłej skóry. Podróżny wpatrywał się bacznie w ciągnące się po obu stronach szlaku zielone ściany lasu, lecz nie zdradzał niepokoju. Mimo niewysokiego wzrostu miał potężne bary, a szerokie rękawy jego tuniki odsłaniały nagie ramiona poznaczone grubymi węzłami mięśni.

Dotychczas nic nie powstrzymało go w marszu, chociaż ostatnia osada pozostała o wiele mil za nim, a każdy krok przybliżał go do niebezpieczeństwa, które jak ponury cień zawisło nad prastarym lasem.

Nie robił aż tak wiele hałasu jak mu się wydawało, ale dobrze wiedział, że nawet cichy trzask łamanej gałązki może zaalarmować nieprzyjaciół kryjących się gdzieś w zdradliwej, zielonej gęstwinie. Jego swobodne zachowanie było tylko pozą; nawet na chwilę nie zaprzestawał wypatrywać i nasłuchiwać ewentualnego zagrożenia. Czujnie wsłuchiwał się w najłżejsze szmery dochodzące z głębi lasu, zdając sobie sprawę, że nie zdoła przebić wzrokiem gęstej płataniny liści.

Nagle, bardziej kierując się instynktem niż ostrzeżeniem swoich zmysłów, chwycił za rękojeść wiszącego u boku miecza. Stał jak wryty na środku ścieżki, wstrzymując oddech i zastanawiając się czy rzeczywiście coś usłyszał, czy też tylko coś mu się przywidziało. Wokół panowała absolutna cisza. Nawet ptak nie zaćwierkał w gęstwinie. Spojrzenie wędrowca zatrzymało się na kępie krzaków rosnących kilka jardów dalej. Nie było wiatru, a jednak dostrzegł lekko poruszające się liście. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Przez moment stał bez ruchu,

pewien, że śmierć dopadnie go zanim zdąży zrobić następny krok.

Wtem, za zasłoną listowia rozległ się suchy chrzęst i łomot. Krzaki zatrzęsły się gwałtownie. Wyleciała z nich wypuszczona na oślep strzała i ze świstem wpadła gdzieś między drzewa. Wędrowiec dostrzegł ją kątem oka, uskakując pod osłonę grubego pnia. Chowając się za nim i ściskając w drżącej dłoni obnażony miecz ujrzał wyłaniającą się z zarośli ogromną postać. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Nieznajomy miał na sobie takie same jak on buty i bryczesy, chociaż te ostatnie były z jedwabiu, nie ze skóry. Zamiast tuniki był odziany w pozbawioną rękawów kolczugę, a grzywę czarnych włosów osłonił ciężkim hełmem. Właśnie ten hełm przykuł uwagę wędrowca; zamiast pióropusza zdobiła go para bawolich rogów. Niewątpliwie nie wykuły go ręce cywilizowanego człowieka. Bo też i twarz pod okapem hełmu nie była twarzą cywilizowanego mieszkańca nizin: smagła, poznaczona bliznami, z parą płonących, niebieskich oczu, stanowiła oblicze nieprzeniknione i groźne jak rozciągający się wokół dziewiczy las. Obcy wyszedł na ścieżkę, trzymając w prawej ręce szeroki, okrwawiony miecz.

— Wyjź! — zawołał, z obcym akcentem. — Jesteś bezpieczny. To tylko jeden z tych psów! Wychodź.

Wędrowiec niepewnie wynurzył się z lasu i wbił wzrok w nieznajomego. Czuł się dziwnie bezradny i śmieszny, patrząc na tę gigantyczną postać — potężną, opiętą kolczugą pierś i muskularne, zbrązowiałe od słońca ramiona. Olbrzym poruszał się zwinnie i bezszelestnie jak pantera; nie ulegało wątpliwości, że nie był wytworem cywilizowanego świata czy choćby takiej jego namiastki, jaką stanowiły rejony pogranicza. Odwrócił się zwinnie i rozchylił krzaki.

Wciąż jeszcze zdezorientowany podróżny podszedł do zarośli i spojrzał. W gęstwinie leżał niski, ciemnoskóry człowiek, odziany jedynie w przepaskę biodrową, mosiężną bransoletę i naszyjnik z ludzkich zębów. Jego głowę pokrywały czarne, długie włosy; spryskane teraz szybko krzepnącą krwią. W jednej ręce trup wciąż ścisnął ciężki, krótki łuk.

— O bogowie, to Pikt! — wykrzyknął wędrowiec. Para niebieskich oczu zmierzyła go spojrzeniem.

— Dziwi cię to?

— No, mówiono mi w Velitrium, a później w chatach osadników, że te

diabły czasem przekradają się przez granicę, ale nie spodziewałem się, że spotkam jednego z nich aż tutaj.

— Jesteśmy tylko cztery mile na wschód od Czarnej Rzeki poinformował go nieznajomy — a oni zapuszczają się nawet na przedpola Velitrium. Żaden z osadników, mieszkających pomiędzy Rzeką Gromu a Fortem Tuscelan nie jest naprawdę bezpieczny. Dziś rano zauważyłem ślady tego psa trzy mile na południe od Fortu i podążyłem za nim aż tu. Podszedłem go gdy wymierzył w ciebie strzałę. Jeszcze chwila, a zakończyłbyś swoją wędrówkę. Na szczęście byłem szybszy.

Wędrowiec patrzył szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma na swojego rozmówcę, pojmując z trudem, że ten olbrzym nie tylko zdołał wytropić, ale także zaskoczyć i zabić jednego z leśnych diabłów. Dowodziło to głębokiej znajomości lasu i mistrzostwa w tropieniu, niespotykanego nawet wśród mieszkańców Conajohary.

— Należysz do załogi fortu? — spytał po chwili.

— Nie jestem żołnierzem. Otrzymuję żołd i racje żywnościowe oficera liniowego, ale działam w lesie. Vallanus wie, że większy ze mnie pożytek tutaj niż za murami fortu.

To mówiąc, obojętnie wepchnął ciało zabitego w zarośla, przykrył je gałęziami i wrócił na ścieżkę.

— Mnie zwą Balthus — rzekł wędrowiec. — Ostatnią noc spędziłem w Velitrium. Chcę się tu rozejrzeć i zdecydować, czy wziąć kawałek ziemi, czy też zaciągnąć się na służbę w forcie.

Ruszyli razem dalej.

— Najlepsze ziemie w pobliżu Rzeki Gromu są już zajęte — mruknął olbrzym. — Między Strumieniem Skalpów, które minąłeś kilka mil wcześniej, a fortem jest mnóstwo wspaniałej ziemi, ale to zbyt blisko tej przekłętej rzeki. Piktowie często przeprawiają się przez nią aby palić i mordować — tak jak ten wojownik, którego zabiłem. Jednak nie zawsze wyprawiają się w pojedynkę. Pewnego dnia spróbują przepędzić osadników z Conajohary — i może im się to udać. Nawet na pewno im się uda. Kolonizowanie tych ziem to szaleństwo. Na wschodzie Bossonii leży dużo dobrej ziemi. Gdyby Aquilończycy okroili choć trochę majątki swych baronów i zasiali zboże tam, gdzie teraz tylko poluje się na jelenie, to nie musieliby przekraczać granicy i zabierać ziemię Piktom.

— Dziwnie mówisz, jak na człowieka w służbie namiestnika

Conajohary — zauważył Balthus.

— Mało mnie to obchodzi — odparował nieznajomy. — Jestem żołnierzem. Oddaję swój miecz na usługi temu, kto najlepiej płaci. Nigdy nie uprawiałem roli i nie mam zamiaru, dopóki nie zabraknie żniwa dla mojego ostrza. Jednak wy, Hyborianie, podbiliście już dosyć ziem — więcej nie zdołacie. Przekroczyliście stepy, spaliliście parę wiosek, wyrznięliście kilka szczepów i przesunęliście granicę aż do Czarnej Rzeki, ale wątpię czy zdołacie choćby utrzymać to co zdobyliście — nie mówiąc już o dalszych podbojach. Wasz zidiociały król nie zna sytuacji. Nie przyśle wam żadnych posiłków, a osadników jest za mało by odeprzeć zmasowany atak zza rzeki.

— Przecież Piktowie są podzieleni na małe plemiona — spierał się Balthus. — I nigdy nie łączą swoich sił. A my możemy pokonać wszystkich po kolei.

— Owszem — zgodził się olbrzym. — nawet połączone siły trzech czy czterech plemion. Jednak pewnego dnia zjednoczy się ich trzydzieści lub czterdzieści, tak jak się to stało przed laty w Cymmerii, gdy Gundermanowie przekroczyli pomocną granicę. Próbowali skolonizować tamtejsze ziemie: zniszczyli kilka małych klanów i wzniesli ufortyfikowane miasto Venarium. Chyba o tym słyszałeś?

— Słyszałem — odrzekł Balthus, krzywiąc się. Ta pamiętna klęska stanowiła czarną plamę w dziejach wojowniczego ludu Gunderlandu. — Mój stryj był w Venarium, kiedy Cymmerianie wdarli się na mury. Uszedł z życiem jako jeden z nielicznych. Opowiadał mi o tym wiele razy. Barbarzyńcy spadli z wyżyn jak hordy szaleńców i bez ostrzeżenia zaatakowali miasto z taką furją, że nic nie zdołało ich powstrzymać. Wymordowali wszystkich — mężczyzn, kobiety, dzieci — a Venarium obrócili w stertę gruzów. Aquilończycy zostali odepchnięci na południe i już nigdy nie ponowili prób podboju Cymmerii. Ale skąd tak dobrze znasz tę historię? Może byłeś w Venarium?

— Byłem — mruknął zapytany. — Szturmowałem mury jako jeden z owych barbarzyńców. Nie miałem wtedy jeszcze nawet piętnastu wiosen, lecz moje imię było już sławne.

Balthus odsunął się mimowolnie i wybałuszył oczy. Wydało mu się nieprawdopodobne aby ten spokojnie idący obok niego mężczyzna mógł należeć do zgrai wrzeszczących, żądnych krwi diabłów, którzy tamtego

pamiętnego dnia wdarli się na mury Venarium siejąc śmierć i zniszczenie.

— A więc ty też jesteś barbarzyńcą! — wykrzyknął. Nieznajomy obojętnie skinął głową.

— Jestem Conan z Cymmerii.

— Słyszałem o tobie — w głosie Balthusa dało się słyszeć prawdziwe zaniepokojenie. Nic dziwnego, że Pikt tak łatwo stał się ofiarą Conana. Cymmerianie byli barbarzyńcami równie okrutnymi jak Piktowie, ale o wiele bardziej inteligentnymi. Conan najwidoczniej spędził wiele czasu wśród cywilizowanych ludzi, jednak ta styczność nie przytępiła jego pierwotnych instynktów. Uznanie Balthusa przerodziło się w podziw. Zauważył bezszelestny, koci chód towarzysza. Naoliwiona kolczuga Cymmerianina nie wydawała najcichszego brzęku i Balthus pojął, że Conan może prześlizgnąć się przez gęste chaszczki równie bezszelestnie jak każdy nagi Pikt.

— A ty, nie jesteś Gundermanem?

Balthus potrząsnął głową.

— Pochodzę z Tauranu.

— Spotkałem kilku dobrych wojowników z twego kraju, ale to nieliczne wyjątki. Bossonianie zbyt długo chronili was, Aquilończyków, przed barbarzyńcami. Przydałoby się wam trochę zaprawy.

Conan mówił prawdę. Pograniczne, ufortyfikowane wioski Bossonii, zamieszkałe przez wprawnych łuczników, od dawien dawna były dla Aquilonii strefą buforową. Teraz, wśród osadników znad Rzeki Gromu, wyrastało nowe pokolenie wojowników obeznanych z leśną głuszą, lecz było ich wciąż zbyt mało aby mogli podjąć walkę z Piktami. Większość mieszkańców pogranicza wolała uprawiać rolę niż ćwiczyć się w wojennym rzemiośle.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale zniknęło już za gęstą ścianą lasu. Dwaj towarzysze wędrowali dalej wśród gęstniejącego mroku i wydłużających się cieni.

— Zanim dotrzemy do fortu będzie już całkiem ciemno — stwierdził Conan i dodał po chwili. — Słuchaj!

Zatrzymał się w pół kroku i — lekko pochylony — zastygł w pozycji człowieka spodziewającego się niebezpieczeństwa, gotowy do walki lub ucieczki. Balthus też to usłyszał — przeraźliwy wrzask, który urwał się

na najwyższej nucie. Tak mógł krzyżeć jedynie śmiertelnie przerażony lub konający człowiek.

Conan nie namyślając się wiele pomknął ścieżką, z każdym susem powiększając odległość dzielącą go od usiłującego dotrzymać mu kroku kompana. Balthus zaklął. Wśród taurańskich osadników uważano go za dobrego biegacza, ale barbarzyńca z rozwścieczającą łatwością zostawił go w tyle. W następnej chwili Taurańczyk zapomniał o rozdrażnieniu, bo uszy rozdarł mu najstraszliwszy ryk jaki słyszał w życiu. Nieludzki, demoniczny wrzask ohydneho tryumfu zdawał się drwić z całej ludzkości i gromkim echem odbijać w niezgłębionych, mrocznych zakamarkach puszczy..

Balthus zwolnił kroku i na czole pojawiły mu się lepkie krople potu. Jednak Conan nie zawahał się. Mknąc jak strzała wypuszczona z łuku zniknął za zakrętem ścieżki. Obawiając się zostać sam na sam z dzikim wrzaskiem rozbrzmiewającym echemi wśród drzew, Balthus wyteńczył wszystkie siły i szybko pobiegł za nim. Po kilku krokach prawie wpadł na Cymmerianina stojącego nad człowiekiem leżącym w kałuży krwi. Ślizgając się i wymachując rękami Balthus zdołał się zatrzymać przy Conanie, który nie zwracał uwagi ani na niego, ani na leżącego u jego stóp trupa. Płonącymi oczyma wpatrywał się bacznie w leśną gęstwinę po obu stronach szlaku.

Balthus zmęł w zębach przekleństwo. Na ścieżce leżało ciało niskiego, grubego mężczyzny ubranego w pozłacane buta i (pomimo upału) podbitą gronostajami tunikę bogatego kupca. Tłusta, blada twarz zastygła w grymasie przerażenia, a długa ciągnąca się od ucha do ucha rana była tak równa jakby zadano ją brzytwą. Krótki miecz tkwiący w pochwie zdawał się wskazywać, że ofiara została napadnięta niespodziewanie.

— Pikt? — szepnął Balthus wodząc spojrzeniem po ciemnej ścianie lasu.

Conan potrząsnął przecząco głową i zmarszczył brwi, spojrzał na ciało zabitego.

— Leśny diabeł. Na Croma, to już piąty!

— Co takiego?

— Czy słyszałeś kiedyś o piktyjskim czarowniku zwanym Zogar Sag?

Balthus pokręcił głową.

— Mieszka w Gwawela, najbliższej wiosce po drugiej stronie rzeki. Trzy miesiące temu ukrył się przy tej drodze i ukradł kilka juczych mułów z karawany zdążającej do fortu — uśpiwszy w jakiś sposób przewodników. Muły należały do tego człowieka — Conan obojętnie wskazał nogą trupa. — To Tiberias, kupiec z Velitrium. Muły przenosiły beczułki z piwem i stary Zogar zatrzymał się przed brodem by łyknąć sobie przed przeprawą. Wyśledził go drwal imieniem Soractus i sprowadził Vallanusa z trzema żołnierzami na kark staremu, który leżał w chaszczach pijany jak świnia. Vallanus, ulegając prośbom Tiberiasa, zamknął czarownika w celi, co jest najgorszą zniewagą dla Pikta. Staremu udało się zabić strażnika i uciec. Wróciwszy do swojej wioski poprzysiągł, że pozbawi życia Tiberiasa i czterech pozostałych, którzy go pojмали w taki sposób, że Aquilończykom na zawsze odechce się przekraczać granicę. Soractus i żołnierze już nie żyją. Soractus zginął nad rzeką, a żołnierze niedaleko fortu. Teraz przyszła kolej na Tiberiasa. Nie pozabijali ich Piktowie. Każdej ofierze — z wyjątkiem Tiberiasa, jak widzisz — odrąbano głowę, która teraz niewątpliwie zdobi ołtarz bóstwa czczonego przez Zogar Saga.

— Skąd wiesz, że to nie Piktowie ich zabili? — dopytywał się Balthus. Conan wskazał na rozcięte gardło kupca.

— Sądysz, że przecięto je nożem lub sztyletem? Przyjrzyj się dobrze, a przekonasz się, że ciało jest rozerwane, a nie przecięte. Tylko pazury zostawiają taki ślad.

— Może to pantera... — zaczął bez przekonania Balthus. Conan niecierpliwie potrząsnął głową.

— Taurariczek powinien rozpoznawać ślady pantery. Nie. To leśny diabeł przyzwany przez Zogar Saga by pomógł mu w zemście. Tiberias był głupcem wyruszając z Velitrium samotnie i to przed zmierzchem. Jednak każdą z tych czterech ofiar ogarnęło na krótko przed śmiercią jakieś dziwne szaleństwo. Spójrz tutaj; ślady są zupełnie wyraźne. Tiberias podążał szlakiem na swoim mule, być może z nowym transportem skór do Velitrium, gdy coś skoczyło na niego z krzaków. Widzisz te połamane gałęzie? Tiberias zdążył tylko krzyknąć i z rozerwanym gardłem poszedł sprzedawać swoje skóry w Piekło. Muł uciekł w las. Posłuchaj! Jeszcze słyhać jak przedziera się przez gąszcz. Demon nie miał czasu by zabrać głowę Tiberiasa; wystraszyliśmy go.

— To ty go wystraszyłeś — poprawił go Balthus. — Nie jest to chyba zbyt groźne stworzenie, skoro umyka przed jednym uzbrojonym człowiekiem. Skąd jednak wiesz, że nie był to Pikt z jakimś hakiem rozrywającym, a nie rozcinającym ciało? Przecież nie widziałeś jak się to stało?

— Tiberias też był uzbrojony — mruknął Conan. — Jeżeli Zogar Sag mógł wezwać na pomoc demony, to mógł im też powiedzieć kogo mają zabić, a kogo zostawić w spokoju. Nie, nie widziałem jak to się stało. Widziałem tylko kołyszące się gałęzie. Jeśli jednak żądasz dowodu, to spójrz tutaj!

Zabójca wdepnął w kałużę krwi otaczającej martwe ciało kupca i zostawił krwawy ślad na twardej glinie ścieżki.

— Wciąż uważasz, że uczynił to człowiek? — zapytał Conan. Balthus poczuł jak włos mu się jeży na głowie, ani człowiek, ani żadne ze znanych zwierząt nie mogło pozostawić tak dziwnego — ni to ptasiego, ni to gadziego — śladu. Taurariczyk pochylił się nisko i dotknął ręką tropu, starając się go nie zatrzeć. Zaklął cicho, widząc, że ślad jest większy niż jego dwie dłonie.

— Co to jest? — szepnął. — Nigdy nie widziałem zwierzęcia, które zostawiałoby takie ślady.

— Niewielu go widziało — odparł ponuro Conan. — To diabeł błotny. Za Czarną Rzeką jest ich więcej niż nietoperzy. W parne noce, gdy powieje wiatr z południa, słyszać ich upiorne wycie — niczym jęki potępionych.

— Co teraz zrobimy? — spytał Aquilończyk, zerkając niepewnie na otaczające ich czarne cienie. Zastygły na twarzy zabitego kupca strach udzielił się i jemu. Usiłował wyobrazić sobie jaką to potworną maskarę ujrzał ów nieszczęśnik przed śmiercią.

— Nie ma sensu ścigać diabła — mruknął Conan wyjmując z sakwy toporek. — Próbowałem go tropić kiedy zamordował Soractusa, lecz już po kilku krokach straciłem go z oczu. Może rozpostarł skrzydła i poleciał za rzekę, a może zapadł się pod ziemię, wprost do Piekieł. Nie wiem. Muła też nie będziemy łapać. Na pewno sam trafi do fortu lub do chaty któregoś osadnika. ,

To mówiąc, Conan zabrał się do pracy. Kilкома uderzeniami toporka ściął dwa młode drzewka, ociosał je z gałęzi i zerwał pędy

winorośli oplątujące pobliski krzak. Po chwili miał już toporne lecz mocne nosze.

— Ten demon nie dostanie głowy Tiberiasa — warknął. — Zaniesiemy ciało do fortu. To nie więcej niż trzy mile stąd. Nigdy nie lubiłem tego grubego durnia, ale nie możemy pozwolić żeby ci przekłęci Piktowie poczynali sobie tak swobodnie z głowami białych ludzi.

Smągłoskórzy Piktowie należeli wprawdzie do białej rasy, ale pogranicznicy uparcie temu zaprzeczali.

Balthus chwycił nosze, na które Conan bezceremonialnie rzucił zwłoki nieszczęsnego kupca, i najspieszniej jak mogli ruszyli szlakiem. Mimo obciążenia Cymmerianin poruszał się z taką samą kocią zwinnością jak przedtem. Zdjął kupcowi pas, zrobił pętlę i połączywszy nią końce żerdzi niósł nosze w jednej ręce. W drugiej natomiast ścisnął swój długi, ciężki miecz. Idąc, przez cały czas lustrował badawczym spojrzeniem tonące w mroku pobocza ścieżki, wypatrując niebezpieczeństwa. Ciemności zapadały szybko. Gęstniejące cienie pogłębiały mrok, kryjąc wszystko w niebieskawej mgiele.

Przeszli ponad milę. Balthus, mimo swej wytrzymałości i siły, zaczął już odczuwać ból w ramionach, gdy przeraźliwy krzyk wstrząsnął pogrążającym się w różowej łunie zachodu lasem.

Conan drgnął, a Balthus niemal upuścił nosze.

— Kobieta! — wykrzyknął Taurańczyk. — Na Mitrę! To głos kobiety!.

— Z pewnością żona któregoś z osadników zabłąkała się w lesie — warknął Conan stawiając nosze na ziemi. — Może szukała krowy i... Zostań tutaj!

Jak wygłodniały wilk, Cymmerianin skoczył w gęstwinę. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie.

— Mam zostać tu z trupem i krążącym wokół demonem? — jęknął. — Idę z tobą!

I zamieniając słowa w czyn, skoczył za barbarzyńcą. Conan obejrzał się, ale nic nie powiedział i nie zwolnił kroku. Balthus klął cicho resztkami tchu, widząc z jaką łatwością Conan zostawia go w tyle i znika wśród drzew. Wypadł na małą polanę i ujrzał stojącego tam Cymmerianina.

— Dlaczego się zatrzymałeś? — spytał Balthus, ocierając pot z czoła i nie wypuszczając miecza z ręki.

— Krzyk dochodził z tej polany, albo z jej pobliza — odparł zapytany.
— Nie mylę kierunków, nawet w lesie. Tylko gdzie...

Przerwał mu ten sam krzyk; ale tym razem rozlegający się za nimi, gdzieś w tyle. Wrzask śmiertelnie przerażonej kobiety, piskliwy i przeszywający, wzniósł się wysoką nutą — by zmienić się w jękliwy, drwiący chichot, który mógł się wydobyć tylko z gardła jakiejś piekielnej bestii.

— O Mitro! — w zapadającym mroku twarz Balthusa była biała jak kreda.

Klnąc wściekle, Conan zawrócił i pomknął z powrotem, a słaniający się już lekko Balthus poszedł w jego ślady. Cymmerianin zatrzymał się tak nagle, że Aquilończyk wpadł na niego, odbijając się jak od ściany. Lekko zamroczony, usłyszał jak Conan z sykiem wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby. Cymmerianin stał nieruchomo jak posąg.

Zerknąwszy zza jego pleców, Balthus poczuł jak zimne palce strachu ściskają mu gardło. Coś przedzierało się przez krzaki porastające pobocza szlaku — coś, co wydawało się pełzać jak wąż, ale nie było gadem. W ciemnościach nie mógł wprawdzie rozróżnić dobrze kształtów stwora ale dostrzegł, że był wyższy od dorosłego mężczyzny i niezbyt gruby. Jego ciało jarzyło się upiornym blaskiem, przypominającym lśnienie księżycowej poświaty. W rzeczy samej, upiorne światło było jedyną uchwytną cechą stwora. Pozostałe szczegóły były zupełnie nierozróżnialne, tak, jakby to jakiś niebieskawy płomień o ludzkim kształcie podążał przez ciemne ostępy.

Conan zaklął i z potworną siłą cisnął toporem, lecz stwór posuwał się dalej nie zmieniając nawet kierunku. Widzieli go jeszcze przez krótką chwilę — świecącą, niewyraźną plamę unoszącą się wśród gałęzi — po czym zniknął im z oczu w gęstych zaroślach. Las zastygł w oniemiałej ciszy.

Conan przedarł się przez gąszcz i wyskoczył na ścieżkę. Balthus poszedł za jego przykładem. Stanęli przy noszach, na których leżało ciało Tiberiasa. Głowa kupca zniknęła...

— Wyprowadził nas w pole tym przeklętym miauczeniem — wrzasnął rozwścieczony Conan wymachując swym potężnym mieczem jak piórkiem. — Powinienem się domyślić! Powinienem wiedzieć, że to podstęp! Teraz już pięć głów przyozdobi ołtarz Zogar Saga.

— Cóż to za stwór, który potrafi krzyczeć jak kobieta i śmiać się jak demon? I jarzyć się nieziemskim światłem? — zastanawiał się Balthus, ocierając pot z poblądłej twarzy.

— Diabeł błotny — odparł kwaśno Cymmerianin. — Łap za nosze, zaniemiemy ciało do fortu. Teraz jest już trochę lżejsze.

Po tym filozoficznym stwierdzeniu chwycił pętlę, dźwignął nosze i ruszył w drogę.

2. CZAROWNIK Z GWAWELA

Fort Tuscelan wznosił się na wschodnim brzegu Czarnej Rzeki, której fale omywały jego palisadę. Ta ostatnia była zbudowana z grubo ciosanych pni drzew, tak jak wszystkie budowle fortu łącznie z górującym nad nim donżonem, w którym mieściły się kwatery gubernatora. Za rzeką rozciągał się gęsty jak dżungla las dochodzący do samego brzegu. Dzień i noc zbrojne straże pilnowały fortu, bacznie obserwując zieloną ścianę puszczy. Czasem widzieli pojedyncze sylwetki, ale dobrze wiedzieli, że są nieustannie śledzeni przez ukrytych w gąszczu, bezlitosnych nieprzyjaciół. Las za rzeką wydawał się pusty i wymarły, lecz były to tylko pozory. Oprócz ptaków, gadów i zwierząt kryły się tam też najniebezpieczniejsze z drapieżników — ludzie.

Za rzeką kończył się cywilizowany świat. Fort Tuscelan był ostatnim przyczółkiem cywilizacji, najdalej na zachód wysuniętym punktem hyboriańskich dominiów. Za rzeką barbarzyństwo królowało pod cienistym sklepieniem drzew, w chatkach z oblepionych błotem gałęzi, gdzie wisiały szczerzące zęby czaszki, huczały bębny i płonęły ognie, a ciemnoskórzy ludzie o zmierzwionych włosach i bezlitosnych oczach ostrzyli swoje włócznie. Ich spojrzenia często kierowały się na fort po drugiej stronie rzeki. Niegdyś wznosili swoje chaty tam, gdzie teraz stał fort, tak, i wznosili je też tam gdzie teraz rozpościerały się pola uprawne jasnowłosych osadników, aż za Velitrium — tym nędznym, pogranicznym miastem nad Rzeką Gromu — i dalej, po granice Bossonii. Później przybyli kupcy, a za nimi bosonodzy kapłani Mitry, którzy przyszli z pustymi rękami i prawie wszyscy zginęli straszną śmiercią —

ale za nimi ciągnęli żołnierze oraz ludzie z toporami w dłoniach i ich rodziny w ciągniętych przez muły wozach. Masakrowani Piktowie wycofali się za Rzekę Gromu a potem aż za Czarną Rzekę, opuszczając swoje ziemie. Jednak nigdy nie zapomnieli, że Conajohara niegdyś należała do nich. Strażnik przy wschodniej bramie głośno okrzyknął nadchodzących. Przez drewnianą kratę okienka sączyło się migotliwe światło pochodni, odbijając się w stalowym hełmie i podejrzliwych oczach pod jego okapem.

— Otwieraj bramę — warknął Conan. — Chyba widzisz, że to ja?

Dyscyplina wojskowa doprowadzała go do szału.

Brama uchyliła się nieco i obaj kompani przeszli przez nią, dźwigając nosze. Balthus zauważył, że po obu stronach bramy wznosiły się wieże, których wieżyczki górowały nad ostrokołem. Dostrzegł też wyciosane w nich strzelnice dla łuczników.

Strażnicy jęknęli ze zgrozy widząc ponure brzemie. Pośpiesznie zamknęli wrota.

— Nigdy nie widzieliście człowieka z odrąbaną głową? — spytał dociekliwie Conan.

W świetle pochodni ich twarze były białe jak kreda.

— To Tiberias — wykrztusił jeden z żołnierzy. — Poznaję po lamowanej futrem tunice. Valerius jest mi winien pięć luna. Wrony krakały, gdy wyjeżdżał dziś rano z fortu. Miał takie szkliste spojrzenie. Założyłem się, że wróci bez głowy.

Conan mruknął coś pod nosem, po czym gestem pokazał Balthusowi by postawił nosze na ziemi i razem z nim poszedł w kierunku kwatery gubernatora. Rozczochrany Aquilończyk towarzyszył mu jak cień; rozglądając się z ciekawością wokół, podziwiając rzędy baraków, stajnie, małe stragany kupców, wysoki blokhauz i inne budynki otaczające mały plac, gdzie w dzień ćwiczili żołnierze, a teraz płonęły ogniska i leniuchowali mieszkańcy. Tłumek zgromadzony wokół zwłok kupca przy wschodniej bramie rósł z każdą chwilą. Smukli Aquilończycy mieszały się w nim z niższymi, bardziej krępyimi łucznikami z Bossonii.

Balthusa nie zdziwił specjalnie fakt, że gubernator przyjął ich osobiście. Autokratyczne społeczeństwo z jego sztywnymi podziałami kastowymi pozostało daleko na wschodzie. Vallanus był młodym jeszcze mężczyzną o szlachetnych rysach, lecz na jego twarzy widać było już

ślady pozostawione przez trudy i odpowiedzialność.

— Powiedziano mi, że opuściłeś fort przed świtem — powiedział do Conana. — Zacząłem się obawiać, że Piktowie dostali cię w końcu.

— Kiedy będą wędzić moją głowę — odparł Cymmerianin — dowie się o tym całe dorzecze. Płacz piktyjskich kobiet oplakujących mężów słychać będzie aż w Velitrium... Poszedłem na zwiady. Nią mogłem dziś zasnąć. Przez całą noc słyszałem dudnienie bębnow za rzeką.

— Słysząc je każdej nocy — zauważył gubernator. W jego oczach pojawił się niepokój. Nieraz już przekonał się, że nie należy lekceważyć instynktu barbarzyńcy.

— Tej nocy brzmiało to zupełnie inaczej — warknął Conan.

— Wciąż to samo, od kiedy Zogar Sag umknął za rzekę.

— Powinniśmy go wtedy obdarować i odesłać do domu, albo powiesić — westchnął gubernator. — Tak mi radziłeś, ale...

— Ale wy, Hyborianie, nie możecie się nauczyć jak postępować z Piktami. Teraz i tak już nic na to nie poradzimy. Dopóki Zogar Sag żyje i pamięta celę, w której go więziono, nie będzie spokoju na granicy. Wytropiłem dziś wojownika, który wyruszył na wojenną ścieżkę by zrobić kilka nacięć na swoim łuku. Rozpłatałem mu czaszkę i spotkałem tego oto młodzieńca imieniem Balthus, przybywającego tu z Tauranu by pomóc w walce. Vallanus z aprobatą spojrział na Aquilończyka.

— Miło mi cię powitać w forcie, młody panie. Życzyłbym sobie, żeby przychodziło do nas więcej ludzi z Tauranu. Potrzebujemy tu takich, którzy są przyzwyczajeni do trudów i życia w lesie. Wielu moich żołnierzy i osadników pochodzi z wschodnich prowincji i nie ma zielonego pojęcia o lesie, a nawet o uprawie roli.

— Niewielu jest takich po tej stronie Velitrium — przytaknął Conan — chociaż w mieście wciąż przybywa mieszkańców. Słuchaj, Vallanusie, na szlaku znaleźliśmy martwego Tiberiasa.

W paru słowach opowiedział gubernatorowi co zaszło.

— Nie wiedziałem, że Tiberias opuścił fort! — Vallanus pobladł. — Chyba zwariował!

— Chyba tak — rzekł Conan. — Tak samo jak tamci czterej. Kiedy przychodził ich czas zrywali się i biegli jak szaleni w las, na spotkanie śmierci — jak króliki zahipnotyzowane przez węża. Coś wezwało ich z głębi puszczy, coś co inni nazywają przeznaczeniem z braku innej nazwy,

i co słyszą jedynie nieliczni. Jedno jest pewne — Aquilończycy nie potrafią przezwyciężyć czarów Zogar Saga.

Vallanus nic nie odpowiedział, tylko wytarł spocone czoło trzęsącą się ręką.

— Czy żołnierze wiedzą o tym? — zapytał po chwili.

— Zostawiliśmy ciało przy wschodniej bramie.

— Nie powinniście tego robić. Mogliście ukryć je gdzieś w lesie. Żołnierze są już i tak wystraszeni.

— I tak by się o tym dowiedzieli. Gdybym ukrył gdzieś trupa, Piktowie podrzuciliby go nam do fortu tak samo jak zwłoki Soractusa — przywiązane w nocy do palisady.

Vallanus zadrżał. Podszedł do okna i spojrzał na rzekę, w której czarnych wodach odbijały się błyszczące gwiazdy. Na drugim brzegu wznosiła się hebanowo czarna ściana lasu. Zalegającą ciszę przerywał ryk polującej pantery. Nadciągająca noc rozpedziła zgromadzonych wokół blokhauzu żołnierzy; zgasły ogniska i ucichły rozmowy. Wiatr szeptał wśród czarnych konarów, marszczył gładkie lustro wody. Przyniósł ze sobą głucho, rytmiczne dudnienie, złowieszcze jak ślad lamparta na ścieżce.

— Mimo wszystko — rzekł Vallanus, jakby wypowiadając na głos swoje myśli — cóż wiemy — co ktokolwiek wie — o rzeczach jakie skrywa ta beztroska puszcza? Słyszeliśmy pogłoski o wielkich bagnach i rzekach, o nieprzebytych leśnych równinach ciągnących się aż po wybrzeże zachodniego oceanu. Jednak nawet nie próbujemy zgadnąć co naprawdę znajduje się między tą rzeką a brzegiem oceanu. Żaden biały człowiek nie dotarł tak daleko. Nikt nie wie jakie tajemnice kryją w sobie ziemie Piktów. Jesteśmy dumni z naszej wiedzy, a ona nie sięga dalej jak do zachodniego brzegu tej prastarej rzeki! Któż wie jakie stwory zamieszkują poza wąskim kręgiem światła rzucanego przez naszą wiedzę? Kto wie jakim bogom oddaje się cześć w mrokach leśnych ostępów i jakie demony wpełzają z czarnego szlamu bagien? Kto wie czy wszyscy mieszkańcy tej ponurej krainy są zwykłymi ludźmi? Zogar Sag — mędrzy z miast na wschodzie śmialiby się z jego prymitywnych obrzędów tak samo, jak ze sztuczek fakira; a jednak zdołał doprowadzić do szaleństwa i śmierci pięciu ludzi — i to w sposób, jakiego nikt nie potrafi wytłumaczyć. Zastanawiam się czy on jest człowiekiem, czy

demonem.

— Jeżeli tylko znajdę się dostatecznie blisko niego, wyjaśnię ten problem — warknął Conan, częstując się winem i podsuwając puchar Balthusowi, który spojrzał niepewnie na Vallanusa i z wahaniem podniósł go do ust.

Gubernator odwrócił się i spojrzał na niego w zadumie.

— Nawet ci żołnierze, którzy nie wierzą w duchy i demony — powiedział — wpadli w panikę. A ty, wierząc w diabły, upiory, gobliny i wszelkie rodzaje nieziemskich stworzeń, zdajesz się nie obawiać żadnej z istot, w których istnienie wierzysz.

— Nie ma na świecie istoty, której nie imaloby się zimne, stalowe ostrze — odparł Conan. — Rzuciłem toporem w demona i nie zdołałem go zranić, ale mogłem chybić w półmroku lub też zwisająca nisko gałąź mogła zmienić tor lotu broni. Nie zamierzam tracić czasu na szukanie demonów; ale też nie zamierzam im schodzić z drogi.

Vallanus podniósł głowę i spojrzał Conanowi prosto w oczy.

— Conanie, od ciebie zależy więcej niż się spodziewasz. Znasz sytuację prowincji — tego wąskiego przyczółka wbijającego się klinem w morze barbarzyństwa. Wiesz, że życie wszystkich ludzi na zachód od granic Bossonii zależy od istnienia tego fortu. Jeżeli upadnie, okrwawione topory Piktów uderzą w bramy Velitrium zanim konny posłaniec zdoła dotrzeć do granic Marchii. Jego Wysokość, a raczej doradcy Jego Wysokości, zignorowali moje prośby o przysłanie posiłków. Nic nie wiedzą o sytuacji na granicy i czują niechęć do wydawania pieniędzy na coś, czego nie rozumieją. Los pogranicza spoczywa w rękach tych, którzy je zamieszkują. W naszych! Wiesz, że większość oddziałów, które zdobyły Conajoharę wróciła do domu? Wiesz, że siły, jakimi dysponuję są niewystarczające — zwłaszcza od kiedy temu diabłowi Zogar Sagowi udało się zatruć wodę i otruć czterdziestu żołnierzy. Wielu innych jest chorych, pogryzionych przez węże lub dzikie zwierzęta, które w niezwykłej ilości pojawiają się ostatnio w pobliżu fortu. Moi ludzie mówią, że Zogar Sag przechwala się swoją umiejętnością przyzywania na pomoc leśnych bestii. Mam trzystu oszczepników, czterystu łuczników z Bossonii i może pięćdziesięciu ludzi takich jak ty — znających las. Każdy z nich jest wart dziesięciu żołnierzy, ale to i tak za mało. Szczerze mówiąc, Conanie, moja sytuacja staje się

coraz bardziej niepewna. Żołnierze szepcą o dezercji; podupadli na duchu wierząc, że Zogar Sag nasłał na nas swoje diabły. Obawiają się też moru, którym nam groził — straszliwej, śmiertelnej zarazy z bagnisk. Za każdym razem kiedy widzę chorego żołnierza pocę się ze strachu na myśl, że może nagle zrobić się czarny, pomarszczony i umrzeć na moich oczach. Conanie, jeżeli wybuchnie zaraza to wszyscy żołnierze uciekną. Granica zostanie niestrzeżona i nic nie powstrzyma naporu ciemnoskórych. Hordy Piktów staną u bram Velitrium — może nawet ruszą dalej? Jeżeli nie utrzymamy fortu, to jakie są szanse na obronę miasta? Zogar Sag musi umrzeć — inaczej stracimy Conajoharę! Ty znasz piktyjskie terytorium lepiej niż ktokolwiek inny w forcie; ty wiesz gdzie jest Gwawela i jak przebiegają leśne ścieżki. Czy zechcesz wyruszyć dziś na czele małego oddziału, żeby pojmać lub zabić czarownika? Och, wiem że to szaleństwo. Jest jedna szansa na tysiąc, że ktoś z was wróci żywy. Jednak jeśli się wam nie uda, śmierć czeka nas wszystkich. Mógłbyś zabrać tylu ludzi ilu zechcesz, Conanie.

— Do takiego zadania nie potrzeba regimentu, wystarczy tuzin ludzi — odparł Cymmerianin. — Pięciuset wojowników nie zdołałoby się przedrzeć do Gwawela, ale małej grupce może się to udać. Pozwól mi wybrać odpowiednich ludzi. Nie chcę żadnych żołnierzy.

— Weź mnie ze sobą! — wykrzyknął gwałtownie Balthus. — Przez całe życie polowałem na zwierzynę w lasach Tauranu.

— Dobrze — zgodził się Conan. — Teraz udamy się na wieczerzę do baraku drwali, gdzie spróbuję zebrać ochotników. Wyruszymy za godzinę. Przepłyniemy rzekę łodzią, przybijemy do brzegu opodal wioski i podkradniemy się do niej. Jeżeli się nam powiedzie, przed świtem będziemy z powrotem.

3. W MROKU

Ledwie widoczna w ciemnościach wstęga rzeki wiła się leniwie między czarnymi ścianami lasu. Wzdłuż jej wschodniego brzegu, kryjąc się w gęstym cieniu, pomykała smukła łódź popychana silnymi uderzeniami wiosł zanurzających się w wodzie z pluskiem cichszym niż

dziób polującej czapli. Balthus ledwie mógł dostrzec ramiona siedzącego przed nim wiosłarza. Wiedział, że nawet sokoli wzrok siedzącego człowieka na dziobie nie przebija panujących ciemności dalej jak na kilka stóp. Conan kierował łodzią tylko dzięki instynktowi i znakomitej znajomości rzeki.

Nie padło ani jedno słowo. Balthus zdążył się przyjrzeć swoim towarzyszom jeszcze w forcie, zanim wyszli poza ostrokół i zeszli na brzeg, do łodzi. Byli to ludzie urodzeni i wychowani w surowych warunkach pogranicza; ludzie, których ponura rzeczywistość zmusiła do poznania praw puszczy. Wszyscy byli Aquilończykami z zachodnich prowincji; małomówni i złyści, o pooranych bliznami, posępnych obliczach, nosili podobne stroje: wysokie buty z kozłej skóry, skórzane spodnie i bluzy przepasane szerokimi szarfami, za którymi tkwiły miecze lub topory. W pewnym sensie byli barbarzyńcami, jednak nie w takim stopniu jak olbrzymi Cymmerianin. Oni byli wytworem cywilizacji i tylko okoliczności zmusiły ich do powrotu do barbarzyństwa, natomiast Conan odziedziczył spuściznę tysiąca pokoleń barbarzyńców. Spryt i przebiegłość Aquilończyków to owoc długotrwałych ćwiczeń, natomiast on urodził się z takimi cechami. Wyróżniał się wśród nich jak tygrys wśród stada wilków.

Balthus patrzył z podziwem na swych towarzyszy i ich przywódcę. Czuł dumę rozpierającą go z powodu tego, że przyjęli go do swej kompanii. Radował się widząc, że jego wiosło nie czyni więcej hałasu niż wiosła pozostałych wiosłarzy. Pod tym względem co najmniej dorównywał im, chociaż znajomość lasu zdobyta w Tauranie nie mogła się równać z doświadczeniem mieszkańców dzikiego pogranicza.

Poniżej fortu rzeka zataczała szeroki łuk. Światła blokhauzu szybko zniknęły w tyle, lecz łódź płynęła jeszcze prawie milę, z niesamowitą zręcznością unikając wystających głazów i płynących rzeką pni.

Na cichy rozkaz przywódcy wiosłarze skierowali dziób canoe do brzegu i mocniej nacisnęli na wiosła. Wynurzając się z cienia porastających brzeg zarośli i wypływając na środek rzeki poczuli się dziwnie odsłonięci i bezbronni, chociaż nieliczne gwiazdy nie rozjaśniały panujących ciemności. Balthus wiedział, że nawet najbystrzejsze oczy nie dostrzegą czarnego kształtu płynącej po rzece łodzi — chyba że ktoś by jej specjalnie wypatrywał.

Wśliznęli się pod nisko zwieszające się nad wodą gałęzie krzaków na zachodnim brzegu. Balthus wyciągnął rękę, namacał wystający korzeń i przytrzymał go mocno. Nie padło ani jedno słowo. Wszystkie rozkazy zostały wydane jeszcze przed opuszczeniem fortu. Cicho jak wielki kot, Conan ześliznął się na brzeg i zniknął w zaroślach. Pozostałych dziewięciu ludzi równie bezszelestnie poszło w jego ślady. Tylko Balthus i jeden z Aquilończyków zostali przy łodzi. Ściskając w dłoni wiosło spoglądał za odchodzącymi. Wydawało mu się niemożliwością, by dziewięciu ludzi mogło poruszać się tak cicho w tym gęstym podszyciu. Nastawił się na długie czekanie.

Gdzieś w lesie, o milę lub o dwie na pomoc, leżała wioska Zogar Saga. Balthus znał rozkaz: wraz z drugim Aquilończykiem czekać na powrót towarzyszy. Jeżeli Conan ze swymi ludźmi nie powróci przed świtem, mieli jak najszybciej powiosłować do fortu i zameldować, że piktyjska puszca pochłonęła kolejne ofiary. Wokół panowała przygnębiająca cisza. Żaden dźwięk nie dochodził zza nadbrzeżnych krzewów, zasłaniających czarną ścianę lasu. Bębny umilkły. Balthusowi wydawało się, że czekają już wiele godzin. Mimowolnie wyteżył wzrok, usiłując przebić otaczające ich ciemności. W powietrzu wisiał ciężki, nieprzyjemny zapach rzeki i wilgotnego lasu. Gdzieś w pobliżu rozległ się głośny plusk, jakby kłaśnięcie rybiego ogona o powierzchnię wody. Balthus pomyślał, że ta ryba musiała przepływać dość blisko, bo canoe zakołysało się lekko, jakby poruszane kręgami rozchodzących się fal. Rufa łodzi zaczęła się lekko odsuwać od brzegu. Widocznie drugi wartownik puścił korzeń, którego się trzymał. Balthus odwrócił głowę i wbił wzrok w ciemność, lecz zdołał dostrzec tylko niewyraźną sylwetkę towarzysza. Syknął ostrzegawczo, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Podejrzewając, że wartownik zasnął, Taurancyk wyciągnął ramię i trącił go lekko. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu poczuł, że mężczyzna osuwa się bezwładnie na dno łodzi. Balthus wykręcił się w tył i pomacał ręką. W tej samej chwili serce podeszło mu do gardła i tylko konwulsyjny skurcz szczęk powstrzymał cisnący mu się na usta okrzyk zgrozy. Jego palce natrafiły na świeżą, ziejącą ranę. Aquilończyk miał gardło podcięte od ucha do ucha.

Zdjęty przerażeniem Balthus zerwał się na równe nogi — i w tej samej chwili muskularne ramię otoczyło jego szyję, tłumiąc krzyk. Canoe

zakołysało się gwałtownie. Balthus poczuł, że trzyma w dłoni swój myśliwski nóż, chociaż nie pamiętał jak i kiedy zdołał go wyciągnąć z za cholewy buta. Dźgnął na oślepa. Wąskie ostrze wbiło się po rękojeść i straszliwy ryk wstrząsnął powietrzem. Wydawało się, że ciemności ożyły nagle. Ze wszystkich stron rozległy się wściekłe wrzaski i wyciągnęły się uzbrojone ręce. Łódź zakołysała się na boki, lecz zanim zdążyła się wywrócić, coś twardego trzasnęło Balthusa w głowę. Mrok nocy rozbłysnął nagle snopem iskier — po czym wszystko zgasło.

4. BESTIE ZOGAR SAGA

Odzyskującego przytomność Balthusa oślepił blask płomieni. Mrugnął kilkakrotnie oczami i potrząsnął głową. Nieznośna jasność raziła wzrok aż do bólu. W miarę jak wracała mu świadomość zaczynał wyławiać pojedyncze dźwięki z panującej wokół wrzawy. Podniósł głowę i spojrzał tępo przed siebie. Otaczał go krąg czarnych postaci, stojących na tle purpurowej ściany ognia.

W jednej chwili przypomniał sobie i zrozumiał wszystko. Zdał sobie sprawę, że jest przywiązany do pala stojącego na otwartej przestrzeni, otoczonego przez zwarty tłum dzikich. Za ich plecami paliły się ogniska, którymi opiekowały się nagie, ciemnoskóre kobiety. Dalej widział rząd niskich chat z gałęzi oblepionych nawozem i błotem oraz palisadę z wielką bramą wjazdową. Jednak Balthus zauważył to wszystko tylko mimochodem. Nie zwrócił uwagi nawet na kobiety i ich dziwne fryzury. Całą swoją uwagę zwrócił na otaczających go wojowników.

Niscy, krępi, o szerokich barach i wąskich biodrach, byli nadzy jeśli nie liczyć wąskich przepasek na biodrach. Migotliwy blask ognia uwidaczniał potężne mięśnie ramion i torsów. Ponure twarze nie wyrażały żadnych uczuć, lecz w wąskich oczach tlił się żar, jaki można ujrzeć w ślepiach wygłodniałego tygrysa. Zmierzwione włosy przytrzymywali mosiężnymi obręczami, a w dłoniach trzymali miecze i topory. Niektórzy mieli obandażowane ręce lub nogi i ślady zakrzepłej krwi na ciele — widome znaki niedawnej walki.

Balthus odwrócił wzrok od ich płonących oczu i z trudem

powstrzymał okrzyk zgrozy. Kilka stóp od pala, do którego był przywiązany wznosiła się okropna piramida, ułożona z odciętych ludzkich głów. Szkliste oczy patrzyły nieruchomo w czarne niebo. Oniemiały Aquilończyk rozpoznał rysy tych twarzy, które były ku niemu zwrócone. Głowy należały do mężczyzn, którzy poszli z Conanem, chociaż jego głowy nie mógł wśród nich dostrzec. Jednak na stosie musiało ich być dziesięć czy jedenaście i nie wszystkie dobrze widział. Ogarnęła go fala mdłości. Z trudem opanował je i spojrzał uważniej. Za odciętymi głowami ujrzał pół tuzina ułożonych rzędem ciał piktyjskich wojowników. Widok ten sprawił mu radość — ludzie Conana nie oddali tanio swojej skóry.

Odwracając głowę w bok, Balthus odkrył obok drugiego, pomalowany na czarno pal, taki sam jak ten, do którego on był przywiązany. Zobaczył przy nim bezwładnie wiszącego w pętach człowieka, jednego z tych, którzy towarzyszyli Conanowi. Mężczyzna miał na sobie tylko skórzane spodnie. Krew sączyła mu się z ust i głęboko rozciętego boku. Drwal podniósł głowę, oblizwał wargi i wymamrotał, z trudem dające się słyszeć przez wrzawę słowa:

— A więc was też dostali!

— Podpłynęli do nas i poderżnęli gardło mojemu towarzyszowi — jęknął Balthus. — Niczego nie słyszeliśmy, dopóki nie skoczyli na nas. Mitro, jak mogliśmy się dać tak zaskoczyć!

— To diabły — mruknął drwal. — Musieli nas dostrzec kiedy jeszcze byliśmy przy drugim brzegu. Wpadliśmy w zasadzkę. Zanim zorientowaliśmy się, zasypali nas gradem strzał. Większość naszych padła od razu. Trzech czy czterech przedarło się przez krzaki i uderzyło na nich. Jednak nieprzyjaciół było zbyt wielu. Conanowi chyba udało się ujść. Nie widziałem jego głowy. Jeżeli chodzi o nas to szkoda, że nie zabili nas od razu. Nie można winić Conana za to, co się stało. Powinniśmy dostać się do wioski bez problemów. Piktowie nie wystawiają posterunków aż tak daleko w dole rzeki. Musieliśmy wpaść na jakiś duży oddział nadciągający z południa. Szykują jakieś nowe diabelstwo. Jest ich tu zbyt wielu. Nie wszyscy mieszkają w Gwawela; widzę tu Piktów z zachodnich plemion i wszystkich nadrzecznych wsi.

Balthus przyjrzał się uważnie wojownikom i chociaż niewiele wiedział o obyczajach Piktów zdał sobie sprawę, że zgromadzony wokół

tłum był zbyt liczny jak na jedną wioskę. Nawet nie zdołaliby się pomieścić w chatach Gwawela. Zauważył też różnice w znakach plemiennych wymalowanych na twarzach i nagich torsach.

— Szykują jakieś diabelstwo — powtórzył towarzysz niedoli. — Może zgromadzili się by zobaczyć czary Zogar Saga. Wyobrażam sobie co będzie wyczyniał z naszymi zwłokami. Wprawdzie żyjąc na pograniczu nie można liczyć na to, że się umrze we własnym łóżku, ale wolałbym zginąć z tamtymi.

Wściekłe wrzaski i poruszenie wśród otaczającego ich tłumu zapowiadały nadejście kogoś ważnego. Balthus obrócił głowę i stwierdził, że pale do których byli przywiązani stoją przed długim budynkiem, większym od pozostałych chat i udekorowanym girlandami zwisających z kalenic, ludzkich czaszek. W progu chaty pojawiła się niezwykła postać.

— Zogar! — mruknął z odrazą drwał, nieświadomie szarpiąc pęta.

Balthus ujrzał niewysokiego, szczupłego człowieka prawie zupełnie ukrytego w strusich piórach zdobiących jego oryginalny strój. Brzydką twarz szamana wykrzywił odrażający, złowrogi grymas. Strusie pióra zaintrygowały Balthusa. Wiedział, że pochodzą z kraju leżącego daleko na południu. Zafascynowany patrzył jak powiewają i szeleszczą w takt podskoków i pląsów czarownika.

Skacząc i podśpiewując wkroczył w krąg otaczających jeńców ludzi. Mógłby się wydawać zabawny — głupi dzikus szeleszczący piórami i mamroczący bezsensowne zaklęcia — gdyby nie jarzące się nienawiścią oczy i ohydne oblicze. Żaden człowiek z taką twarzą nie mógł być śmieszny. Zogar Sag wyglądał jak demon w ludzkiej postaci.

Nagle przerwał swe pląsy i stanął nieruchomo jak posąg; nastroszone pióra zawirowały i opadły. Rozwrzeszczany tłum umilkł. Zogar Sag stał bez ruchu, dumnie wyprostowany — i zdawał się rosnąć w oczach. Balthus miał wrażenie, że czarownik spogląda nań z wysoka chociaż wiedział, że starzec jest od niego niższy o głowę. Z trudem oparł się złudzeniu.

Szaman przemówił ochrypłym, gardłowym głosem — mimo to dziwnie przypominającym syk węża. Wyciągnąwszy długą szyję, przysunął twarz do rannego jeńca przy sąsiednim palu; w blasku ognia oczy czarownika miały barwę krwi. Pogranicznik plunął mu w twarz.

Ze zwierzęcym rykiem Zogar Sag odskoczył w tył, a jego wojownicy zawyli wściekle. Wygrazając bronią, rzucili się na przywiązanego do pala mężczyznę, ale szaman powstrzymał ich gestem ręki. Wydał krótki rozkaz i kilku Piktów pobiegło do bramy. Otworzyli ją na oścież i szybko wrócili do koła. Tymczasem pierścień wokół jeńców pękł; wojownicy pośpiesznie odsuwali się na lewo i prawo. Balthus zobaczył, że kobiety i dzieci umykają w popłochu, kryjąc się w chatach i za nimi. Na placu powstał szeroki szpaler pustej przestrzeni, ciągnący się od pali do otwartej bramy, za którą majaczyła czarna ściana lasu.

W napiętej ciszy Zogar Sag zwrócił twarz w tym kierunku, wspiął się na palce i przeciągle, nieludzko zawył. Po chwili z głębi mrocznego lasu odpowiedziało mu podobne, niesamowite wycie. Balthus zadrżał. Głos dobiegający z leśnych ostępów nie wydobył się z ludzkiego gardła. Taurańczyk przypomniał sobie co mówił Vallanus; że szaman przechwalała się swoją władzą nad zwierzętami. Twarz drwała stała się siną, pokrytą zeschniętą krwią maską.

Tłum wstrzymał oddech. Zogar Sag wciąż stał nieruchomo jak posąg — tylko strusie pióra jego stroju poruszały się lekko na wietrze. Nagle z ust zgromadzonych Piktów wyrwał się jęk zgrozy. Wojownicy skoczyli między chaty, potracając się wzajemnie w pośpiechu. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie. Stojący w bramie stwór zdawał się ucieleśnieniem koszmarnego snu. Dziwnie blada sierść nadawała mu upiorny, nierealny wygląd, lecz nisko zwieszony, spłaszczony, łeb i zakrzywione, błyszczące kły były jak najprawdziwsze. Krocząc bezgłośnie na miękkich łapach wydawał się zjawą z odległej przeszłości. Relikt minionych, ponurych wieków; stwór z prastarych legend — tygrys szablatozębny.

Już od kilkuset lat hyboriańscy myśliwi nie napotykali tych potwornych bestii. Niezliczone legendy przypisywały im nadprzyrodzoną moc związaną z upiorną barwą sierści i nieokiełznaną dzikością.

Zbliżająca się do jeńców bestia była większa od zwykłego pasiastego tygrysa — budową bardziej przypominała niedźwiedzia. Chociaż tylne łapy miała potężniejsze niż lew, masywne mięśnie karku i przednich łap nadawały jej dziwnie niezgrabny wygląd. Jej szczęki były niezwykle silnie rozwinięte, w przeciwieństwie do płaskiej czaszki kryjącej maleńki

mózdzek, w którym zabrakło miejsca na coś więcej niż mordercze instynkty. Tygrys szablastozębny był wybrykiem natury, szaleństwem ewolucji ukierunkowanym na zabijanie.

Takiego potwora przywołał Zogar Sag z głębi puszczy. Balthus już dłużej nie wątpił w historie opowiadane o starym szamanie. Tylko przy pomocy czarnej magii Zogar Sag mógł uzyskać władzę nad tą bezmyślną, uzbrojoną w kły i pazury bestią. Głęboko w zakamarkach pamięci tkwiły niemal zapomniane opowieści o prastarym bóstwie ciemności czczonym niegdyś przez ludzi i zwierzęta, którego potomkowie — jak szeptano — wciąż jeszcze żyli gdzieś na krańcach świata. Balthus z rosnącym przerażeniem spoglądał na Zogar Saga.

Tygrys przeszedł obok okrwawionych ciał Piktów i stosu czaszek nie zwracając na nie uwagi. Gardził padliną. Był stworzony do zabijania i polował tylko na żywe stworzenia. Zielone, nieruchome ślepia pały żądzą mordy; nie głodem płynącym z pustego brzucha. Potężne szczęki rozchyliły się szeroko. Szaman cofnął się o krok i wskazał ręką drwa.

Wielki kot przyczaił się do skoku. Balthusowi przypomniały się opowieści o potwornej sile tego zwierzęcia; o tym, że potrafi rzucić się na słońca i wbić swoje zakrzywione kły tak głęboko w jego czaszkę, że nie mogąc ich wyjąć ginie z głodu. Czarownik krzyknął piskliwie i tygrys ze wstrząsającym rykiem skoczył na ofiarę.

Balthus nie wyobrażał sobie, że w jednym cielsku — nawet tak ogromnym — może kryć się tak druzgocąca siła. Zwierzę spadło jak błyskawica na ofiarę, z trzaskiem łamiąc pal, do którego ją przywiązano, i pół niosąc, pół ciągnąc okropne brzemie ruszyło ku bramie. Sparalizowany przerażeniem Balthus patrzył na to bezsilnie.

Bestia nie tylko złamała pal, ale też oderwała od niego ciało swojej ofiary. Jej potężne pazury w mgnieniu oka rozpruły brzuch jeńca i częściowo oderwały mu ręce, a gigantyczne kły zgmiotły mu czaszkę z taką łatwością, jakby była z papieru. Grube rzemienne więzy prysnęły jak nitki. Balthus zwymiotował. Polował na pantery i niedźwiedzie, ale nie wyobrażał sobie, że jakiegokolwiek zwierzę może w ułamku sekundy tak zmasakrować człowieka.

Tygrys zniknął za bramą i w chwilę później głuchy ryk wstrząsnął puszcza, cichnąc wolno w dali. Jednak Piktowie nie opuszczali jeszcze swoich kryjówek, a szaman stał bez ruchu zwrócony twarzą ku ciemnej

ścianie lasu.

Balthus oblał się zimnym potem. Jakież nowy potwór pojawi się w otwartych wrotach by zamienić jego ciało w krwawe strzępy? Wstrząsnął nim dreszcz przerażenia. Bezsilnie szamotał się w więzach. Mrok nocy zdawał się napierać na wioskę Piktów, przygaszając blask ognisk jarzących się niczym ognie Piekieł. Taurańczyk czuł na sobie spojrzenia całej wioski — setek wygłodniałych, okrutnych oczu odzwierciedlających stan ich dusz pozbawionych ludzkich cech. Już nie myślał o nich jak o ludziach; byli demonami tej puszczy, równie okrutnymi jak bestie wzywane z jej głębi przez okrytego piórami szamana.

Zogar znów wysłał w noc mrozącą krew w żyłach wezwanie. Słyszając ten syczący, zupełnie odmienny od pierwszego dźwięk, Balthus zadrżał — tak mogłaby syczeć olbrzymia żmija.

Tym razem czarownikowi odpowiedziało tylko milczenie. W dźwięczącej ciszy Taurańczyk prawie słyszał łomot swego serca. Nagle jego uszu dobiegł cichy szmer dolatujący od strony bramy. Dreszcz przerażenia przeleciał mu po grzbiecie — w otwartych wrotach pojawił się nowy potwór.

Balthus rozpoznał w nim monstrum z pradawnych legend. Szaman przywołał gigantyczną żmiję. Jej ogromny, klinowaty łeb wznosił się wyżej niż głowa dorosłego człowieka, a wijące się, błyszczące cielsko było grubsze od beczki. Z rozdziawionej paszczęki wysuwał się rozdwojony język, a blask ognia odbijał się od wyszczerzonych kłów.

Taurańczyk zamarł z przerażenia. Starożytni nazywali tego gada Wężem Upiorem. Blade, ohydne cielsko wślizgiwało się nocą do ludzkich siedzib by pożerać całe rodziny. Swoje ofiary dusił jak pyton, w uścisku potężnych splotów, lecz w przeciwieństwie do węży — dusicieli ten uzbrojony był w kły ociekające jadem, który niósł szaleństwo i śmierć. Jego również od dawna uważano za wymarłe zwierzę. Jednak Vallanus mówił prawdę. Żaden biały człowiek nie miał pojęcia co kryją puszcze za Czarną Rzeką.

Wąż podpełznął bliżej i uniósłszy łeb zakołysał nim w przód i w tył, szykując się do ataku. Balthus patrzył jak zahipnotyzowany w głąb odrażającej gardzieli, która miała go pochłonać. Nie odczuwał nic prócz lekkich mdłości.

Nagle z cienia zalegającego wokół chat śmignęło coś błyszczącego i wielki gad zaczął się wić w konwulsjach. Zdumiony Balthus dostrzegł sterczącą z grubego karku, tuż pod rozdziawioną paszczką, krótką włócznię. Z jednej strony wystawało drzewce, z drugiej stalowy grot. Wijący się, oszalały z bólu stwór wpadł na stojących w pobliżu wojowników, którzy rozpierchnęli się w panice.

Grot włóczni nie przeciął wprawdzie kręgów gada, ale na wylot przeszył mięśnie potężnego karku. Wściekle smagając ogonem wąż obalił tuzin Piktów i wściekle kłapiąc paszczką opryskał wielu innych palącą żywym ogniem trucizną. Wyjąc, klnąc i wrzeszcząc rozbiegli się na wszystkie strony, zderzając się i tratując leżących. Gad potoczył się w jedno z ognisk, rozrzucając głównie i sypiąc iskry. Nowy ból zmusił go do jeszcze gwałtowniejszych ruchów. Ściana chaty rozpadła się pod ciosem walącego jak taran ogona, grzebiąc pod sobą jęczących Piktów. Biegający tam i z powrotem wojownicy porzucali płonące gałęzie i zdeptali ogniska. Zapadła ciemność rozjaśniona jedynie nikłą poświatą żaru i przerywana łomotem wijącego się cielska oraz wrzaskami umykających ludzi.

Balthus poczuł jak coś szarpie jego pęta i nagle, jakimś cudem był wolny! Silne ręce pociągnęły go do tyłu. Z osłupieniem zobaczył olbrzymią postać i poczuł żelazny uścisk dłoni na ramieniu. W nikłym blasku poznał gigantycznego Cymmerianina. Krew zasychała na kolczudze i obnażonym mieczu barbarzyńcy, a posępne oblicze rozjaśnił słaby uśmiech. — Chodź! Zanim się opamiętają!

To mówiąc, Conan wcisnął mu w dłoń rękojeść topora. Zogar Sag zniknął gdzieś w mroku. Conan prawie włókł Balthusa za sobą dopóki Taurariczyk nie otrząsnął się z odrętwienia i zaczął samodzielnie poruszać nogami. Wtedy Conan puścił jego ramię i wbiegł do długiego budynku obwieszzonego ludzkimi czaszkami. Balthus poszedł w jego ślady.

Dostrzegł ponury, kamienny ołtarz, słabo oświetlony blaskiem gwiazd; a na nim pięć wyszczerbionych w uśmiechu ludzkich głów. Jedna z nich wydawała mu się dziwnie znajoma: należała do kupca Tiberiasa. Za ołtarzem stał posąg jakiegoś bożka. Jego niekształtna postać o niewyraźnych, zwierzęcych rysach miała jednak w sobie coś ludzkiego. Nagle gardło Balthusa ścisnęło się z przerażenia, bowiem bożek

wyprostował się i ze szczękiem łańcuchów podniósł w górę długie, niekształtne ramiona.

Miecz Conana opadł jak błyskawica, przecinając ciało i kości. Cymmerianin pociągnął Balthusa za ołtarz, obok skulonego na podłodze, włochatego cielska i do tylnych drzwi długiej chaty. Wskoczyli na zewnątrz, na dziedziniec za budynkiem. Po kilku krokach wpadli na palisadę.

Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Oszalali ze strachu Piktowie uciekali we wszystkie strony. Conan stanął przy palisadzie, złapał Balthusa za pas i z dziecinną łatwością podniósł go w górę. Taurańczyk chwycił się krawędzi ostrokołu i wdrapał się nań nie zwracając uwagi na zadrapania. Właśnie wyciągał rękę po Conana, gdy zza rogu chaty wyskoczył umykający wojownik. Dzikus stanął jak wryty, dostrzegłszy skulonego na palisadzie Balthusa. Ze straszliwą precyzją Conan cisnął toporem, lecz Pikt zdążył już otworzyć usta. Przez zgiełk przedarł się jego ostrzegawczy krzyk — urwany nagle, gdy topór Cymmerianina strzaskał mu czaszkę.

Paniczny strach nie zagłuszył pierwotnych instynktów piktyjskich wojowników. Wrzawa przycichła na moment, po czym z setek gardeł wydobył się wściekły ryk i Piktowie rzucili się do palisady, by odeprzeć wroga.

Conan skoczył, chwycił ręką Balthusa i podciągnął się w górę. Aquilończyk zacisnął zęby z wysiłku, ale Cymmerianin w mgnieniu oka znalazł się na szczycie palisady. Prawie jednocześnie zeskoczyli na drugą stronę.

5. DZIECI JHEBBAL SAGA

— Którędy do rzeki? — spytał bezradnie Balthus.

— Nie zdołamy teraz dotrzeć do rzeki — mruknął Conan.

— W lasach między jej brzegiem a wioską roi się od Piktów! Chodź! Pójdziemy w kierunku jakiego najmniej oczekują — na zachód!

Kiedy zagłębiali się w gęste krzaki, Balthus odwrócił się i zobaczył rząd czarnych głów wystających znad palisady. Piktowie byli zbici z

tropu. Dobiegli do ostrokołu zbyt późno by zauważyć kryjących się w gąszczu zbiegów. Spodziewali się gwałtownego ataku — tymczasem nigdzie nie było widać śladu wroga, chociaż na ziemi leżało ciało zabitego wojownika.

Balthus zrozumiał, że jeszcze nie zauważyli jego ucieczki. Świst strzał i dzikie wrzaski świadczyły o tym, że część Piktów, wypełniając rozkazy Zogar Saga, zabijała rozszalałego gada. Potwór zupełnie wyrwał się spod kontroli szamana. Po chwili podniosła się nowa wrzawa. Wściekłe wycie wstrząsnęło puszcza.

Conan uśmiechnął się ponuro. Wiódł Balthusa wąską ścieżką biegnącą wśród gęstego podszycia na zachód, a kroczył tak szybko i pewnie jakby podążał dobrze oświetloną aleją. Balthus szedł za nim potykając się i macając na boki wyciągniętymi ramionami.

— Zaraz ruszą w pościg. Zogar odkrył, że cię nie ma i wie, że między głowami leżącymi na placu nie było mojej. Nędzny pies! Gdybym miał dwie włócznie, to najpierw przeszyłbym jego, a dopiero potem węża. Trzymaj się szlaku. Nie mogą nas tropić przy świetle pochodni, a od wioski biegnie wiele ścieżek. Najpierw pobiegną tymi, które wiodą do rzeki — i ustawią się gęstym kordonem wzdłuż brzegu sądząc, że zechcemy się przeprowadzić na drugą stronę. Nie wejdziemy do lasu dopóki nie będziemy musieli. Ścieżką idzie się znacznie szybciej. Teraz weź się w garść i pędź tak szybko jak potrafisz!

— Piekielnie szybko otrząsnęli się z przerażenia! — wysapał Balthus, zastosowując się do poleceń Cymmerianina i przyśpieszając kroku.

— Nic nie jest w stanie przestraszyć ich na dobre — mruknął Conan.

Przez dłuższą chwilę nie padło ani jedno słowo więcej. Uciekający wkładali wszystkie siły w zwiększenie odległości dzielącej ich od prześladowców. Z każdym krokiem oddalali się od cywilizacji i coraz bardziej pogrążali w nieprzebytych ostępach, lecz Balthus nie kwestionował decyzji Cymmerianina. Ten wreszcie wydusił z siebie mrukliwe wyjaśnienie:

— Kiedy już znajdziemy się wystarczająco daleko od wioski, zatoczmy wielki łuk i wrócimy nad rzekę. Na wiele mil od Gwawela nie ma innej wioski. Tam zebrali się wszyscy Piktowie. Ominiemy ich z daleka. W nocy nie mogą nas tropić. Ruszą po naszych śladach rano, ale my jeszcze przed świtem porzucimy szlak i wejdziemy w las.

Nie zwalniali kroku. Wrzaski ucichły w oddali. Balthus ze świstem wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby. Kłuło go w lewym boku i każdy krok stał się torturą. Gałęzie krzaków rosnących po obu stronach ścieżki nieustannie smagały go po twarzy. Nagle Conan stanął, odwrócił się i spojrzał na ścieżkę. Gdzieś za lasem wschodził księżyc; przez gęste listowie sączyło się jego blade światło.

— Wchodzimy do lasu? — wysapał Taurańczyk.

— Daj mi swój topór — szepnęła Cymmerianin. — Coś się zbliża.

— Więc lepiej zejźmy ze szlaku! — jęknął Balthus. Conan potrząsnął głową i pociągnął kompana w gęstwinę.

Czekali chwilę. Księżyc wzeszedł wyżej i na ścieżkę padła niebieska poświata.

— Nie możemy walczyć z całym Szczepem! — wyszeptał Balthus.

— Żadna ludzka istota nie zdołałaby tak szybko wpaść na, nasz trop i dogonić nas w tak krótkim czasie — zamruczał Conan. — Bądź cicho.

Zapadła cisza pełna napięcia. Balthusowi wydawało się, że bicie jego serca słyhać na milę. Nagle, bez najcichszego dźwięku oznajmiającego jej nadejście, na ścieżce pojawiła się płowa bestia. W pierwszej chwili Aquilończykowi wydawało się, że to straszliwy szablatozębny i serce podskoczyło mu do gardła. Jednak przypłaszczony łeb był znacznie mniejszy i węższy; na ścieżce stał lampart — warcząc cicho i tocząc wokół płonącymi ślepiami. Słaby wietrzyk wiał w kierunku ukrytych w gąszczu zbiegów, nie pozwalając zwierzęciu zwęszyć ich zapach. Lampart opuścił łeb i obwąchał szlak, po czym niepewnie ruszył dalej. Balthusowi dreszcz przebiegł po plecach. Zwierzę najwidoczniej szło ich śladem.

I było podejrzliwe. Płonące jak węgle ślepia wodziły nieustannie spojrzeniem po poboczu ścieżki, a z gardła wydobywał się głuchy pomruk. Powoli podeszło bliżej i Conan zamachnął się błyskawicznie, wkładając w ten ruch całą siłę ramienia i barku. Ciśnięty topór śmignął w powietrzu jak srebrna smuga. Zanim Balthus zrozumiał co się dzieje, zobaczył, że lampart wije się w śmiertelnych skurczach. Stalowe ostrze rozplatało grubą czaszkę i wbiło się w mózg.

Conan wyskoczył z krzaków, wyrwał topór i wciągnął ścierwo między drzewy skrywając przed wzrokiem ludzi, którzy mieli później tędy podążać.

— Teraz w drogę; i to szybko! — powiedział, wchodząc w las i

kierując się na południe. — Za lampartem przyjdą wojownicy. Zogar wysłał go w pościg jak tylko trochę ochłonał. Piktowie z pewnością idą za kotem, tylko nie mogli za nim nadążyć. Lampart krążył wokół wioski aż trafił na nasz trop — wtedy pomknął jak strzała. Nie mogli dotrzymać mu kroku, ale wskazał im kierunek, w jakim się udaliśmy. Biegną za nim, orientując się po jego pomrukach. No, teraz już ich nie usłyszą, ale zobaczą krew na ścieżce, rozejrzą się trochę i znajdą ścierwo w krzakach. Jeżeli tylko wpadną na nasz trop, ruszą za nami. Nie możemy zostawić żadnych śladów.

Mówiąc to, Conan zwinnie unikał nisko zwieszających się gałęzi i kolczastych krzewów; przemykał się między drzewami nie dotykając ich pni i zawsze stawiając stopy tak, by nie pozostawić żadnych śladów zdradzających ich przejście — ale Balthusowi szło to znacznie wolniej i z większym trudem.

Nie słyszeli żadnych odgłosów pościgu. Przeszli więcej niż milę, gdy Balthus rzekł:

— Czy Zogar Sag używa lampartów jako swoich psów gończych? Conan potrząsnął głową.

— Raczej przywołał go z puszczy, tak jak tamte zwierzęta.

— Jednak — dopytywał się Taurańczyk — jeżeli może rozkazywać zwierzętom, to dlaczego nie obróci przeciwko nam wszystkich leśnych stworzeń? W puszczy jest pełno lampartów, dlaczego wysłał za nami tylko jednego?

Conan pomilczał chwilę, po czym rzekł niechętnie:

— On nie może rozkazywać wszystkim zwierzętom. Tylko tym, które pamiętają Jhebbal Saga.

— Jhebbal Saga? — z namysłem powtórzył Aquilończyk. Wydawało mu się, że słyszał to imię.

— Niegdyś wszystkie żywe stworzenia oddawały mu cześć. Było to dawno temu, kiedy zwierzęta i ludzie mówili jednym językiem. Ludzie już o tym zapomnieli: nawet zwierzęta zapomniały. Jednak nieliczne jeszcze pamiętają. One spełnią życzenia człowieka, który przemówi do nich w prastarym języku.

Balthus nic nie powiedział. Wrócił myślą do wioski Piktów i znów ujrzał krwiożercze bestie wyłaniające się z mrocznej puszczy na wezwanie szamana.

— Cywilizowani ludzie śmieją się z tego — ciągnął Cymmerianin — ale nikt nie potrafił mi wyjaśnić w jaki sposób Zogar Sag może przywoływać tygrysy, lamparty czy węże i skłaniać je by wykonywały jego rozkazy. Gdyby się odważyli, zarzuciliby mi kłamstwo. Tak jest z cywilizowanymi ludźmi. Jeżeli nie potrafią czegoś wyjaśnić przy pomocy swej niedowarzonej nauki, to twierdzą, że nie istnieje.

Taurańczycy byli bardziej zbliżeni do natury niż większość Aquilończyków i wciąż zachowali niektóre wierzenia, których źródła ginęły w pomroce dziejów. Poza tym, Balthus widział na własne oczy to, o czym mówił mu teraz Conan. Nie mógł nie wierzyć jego słowom.

— Słyszałem, że gdzieś w tej puszczy znajduje się prastary grobowiec Jhebbal Saga — ciągnął Conan. — Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Jednak w tych lasach pamięta o nim więcej zwierząt niż gdzie indziej.

— I one też ruszą za nami?

— Już ruszyły — padła niepokojąca odpowiedź. — Zogar nie wysłałby za nami tylko jednego zwierzęcia.

— Więc co robimy? — spytał niespokojnie Balthus, ściskając rękojeść miecza i wpatrując się w mroczny gąszcz. Na myśl o czających się w nim, uzbrojonych w kły i pazury, stworach, dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

— Zobaczysz!

Conan odwrócił się, przykucnął i zaczął kreślić nożem dziwne wzory na ziemi. Zaglądający mu przez ramię Balthus — nie wiedzieć czemu — poczuł znów zimny dreszcz strachu. Na twarzy nie czuł nawet najłżejszego podmuchu wiatru, a jednak liście nad ich głowami zaszeleściły dziwnie i wśród gałęzi rozległ się niesamowity, przeciągający jęk. Conan spojrzał obojętnie, po czym podniósł się i popatrzył ponuro na narysowany symbol.

— Co to takiego? — szepnął Aquilończyk. Znak wydawał mu się dziwny i zupełnie pozbawiony znaczenia. Osądził, że to jakiś wzór zdobniczy jednej z pradawnych kultur, którego nie pozwala mu rozpoznać nieznajomość historii sztuki. Nie zdawał sobie sprawy jak daleki był od rozwiązania zagadki.

— Ten znak widziałem wyryty na ścianie jaskini, w której od miliona lat nie powstała ludzka stopa — mruknął Conan. — Było to wśród bezludnych wzgórz za Morzem Vilayet, szmat drogi stąd. Później widziałem jak czarny zaklinacz z Kush kreślił go w przybrzeżnym piasku

nie nazwanej rzeki. Wyjaśnił mi jego znaczenie — to święty znak Jhebbal Saga i stworzeń oddających mu cześć. Patrz!

Skryli się w gęstym listowiu kilka jardów dalej i czekali w napięciu. Ze wschodu dolatywało bicie bębnow, którym odpowiadały inne — z zachodu i pomocy. Balthus zadrżał, chociaż wiedział, że całe mile dzielą ich od tych piktyjskich wiosek gdzie monotony, pulsujący rytm bębnow jak upiorna uwertura zapowiadał krwawy finał. Stwierdził, że nieświadomie wstrzymuje oddech. Nagle liście zatrzęsły się lekko i rozchyliwszy gałęzie, wychynęła z krzaków wspaniała czarna pantera. Sączące się przez listowie światło księżycy padało na lśniące futro, falujące wraz z ruchem potężnych mięśni. Z nisko pochylonym łbem, zwierzę sunęło w kierunku ukrytych mężczyzn. Zwęszyła ich trop i ruszyła szybciej — lecz zaraz zastygła w bezruchu, nosem niemal dotykając ziemi i narysowanego symbolu. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, brzuchem prawie dotykając ścieżki. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie. W zachowaniu zwierzęcia wyczuł podziw i szacunek.

Później pantera podniosła się i wycofała ostrożnie. Kiedy jej tylne łapy dotknęły krzaków okręciła się gwałtownie i zniknęła z oczu zbiegów jak błyska zgaszonej świecy.

Balthus otarł czoło trzęsącą się ręką i spojrzał na Conana. W oczach barbarzyńcy płonął ogień jakiego Aquilończyk nigdy nie widział w spojrzeniu cywilizowanego człowieka. Na chwilę stał się Balthusowi zupełnie obcy. W jego pałającym spojrzeniu Aquilończyk widział dziwne obrazy i na pół sformowane wspomnienia, pradawne wierzenia zapomniane w miarę rozwoju cywilizacji, prymitywne i przerażające. Po chwili Conan otrząsnął się z zadumy i cicho poprowadził towarzysza dalej, w puszcę. — Nie musimy się już obawiać zwierząt — rzekł po dłuższym milczeniu — ale zostawiliśmy ślady, które można dostrzec bystrym okiem. Trudno im będzie znów wpaść na nasz trop i dopóki nie znajdą tego symbolu, nie będą pewni czy rzeczywiście skierowaliśmy się na południe. Nawet wtedy trudno im będzie iść za nami bez pomocy zwierząt. Jednak lasy na południe od szlaku roją się od szukających nas wojowników. Jeżeli nie ukryjemy się gdzieś w ciągu dnia, to z pewnością wpadniemy na jakiś oddział. Jak tylko znajdziemy odpowiednie miejsce, zatrzymamy się i zaczekamy do zmroku — potem zawrócimy i

przeprowimy się przez rzekę. Musimy ostrzec Vallanusa, a wcale mu nie pomożemy jeżeli damy się zabić.

— Ostrzec Vallanusa?

— Na Croma, lasy wzdłuż rzeki roją się od Piktów! Dlatego wpadliśmy w zasadzkę. Zogar szykuje świętą wojnę; nie jakiś tam wypad rabunkowy. Dokonał czegoś, co za mojej pamięci nie udało się żadnemu Piktowi; zjednoczył dziesięć czy piętnaście plemion. Udało mu się to dzięki czarom; wojownicy słuchają bardziej szamana niż wodza. Widziałeś ten tłum w wiosce; a wzdłuż brzegu rzeki ukrywają się setki wojowników, których nie zauważyłeś. I wciąż przybywają nowi — z bardziej oddalonych wsi. Zogar będzie miał co najmniej trzytysięczną armię. Leżałem w krzakach i podsłuchałem rozmowę kilku przechodzących Piktów. Chcą zaatakować fort. Nie wiem kiedy, ale Zogar nie ośmieli się czekać zbyt długo. Zebrał ludzi i doprowadził do wrzenia. Jeżeli szybko nie doprowadza ich do bitwy, zaczną walczyć ze sobą. Są jak oszalałe z żądzы krwi tygrysy. Nie wiem, czy zdołają zdobyć fort, czy nie? W każdym razie musimy przejść przez rzekę i ostrzec Vallanusa. Osadnicy wzdłuż drogi do Velitrium muszą się schronić w forcie albo uciekać do miasta. Podczas gdy główne siły Piktów będą oblegać fort, mniejsze oddziały spustoszą wschodnie tereny — może nawet przekroczą Rzekę Gromu i napadną na gęsto zaludnione obszary za Velitrium.

To mówiąc, wiódł Balthusa coraz dalej i dalej w puszcę. Wreszcie mruknął coś z zadowoleniem. Dotarli do miejsca, gdzie podszycie było mniej gęste i ujrzeli skalny grzbiet pasma ciągnącego się na południe. Ruszyli w górę. Balthus poczuł się bardziej bezpiecznie. Nawet Pikt nie zdoła znaleźć ich śladów na nagiej skale.

— Jak ci się udało uciec? — spytał Cymmerianina. Conan klepnął się po kolczudze.

— Gdyby wszyscy pogranicznicy to nosili, mniej czaszek wisiałoby przed piktyjskimi ołtarzami. Jednak większość ludzi robi zbyt wiele hałasu chodząc w zbroi. Piktowie czekali na nas po obu stronach ścieżki, ukryci w krzakach. A kiedy Pikt stoi bez ruchu, nawet zwierzę nie zdoła go dostrzec. Zauważyli nas jak przeprowialiśmy się przez rzekę i czekali na nas w zasadzce. Gdyby zajęli swoje pozycje kiedy byliśmy już na brzegu zauważyłbym coś. Jednak oni już tam byli. Sam diabeł niczego by

nie podejrzewał. Zrozumiałem co się dzieje dopiero gdy usłyszałem szmer strzały trącej o napinany łuk. Rzuciłem się na ziemię i krzyknąłem do pozostałych by zrobili to samo, ale byli zbyt zaskoczeni i zbyt powolni. Większość zginęła od razu, gdy spadła na nas chmura strzał. Część strzał przeleciała na drugą stronę ścieżki, rażąc ukrytych tam Piktów. Słyszałem ich wycia — Conan uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. — Ci, którzy pozostali przy życiu, wpadli w las i starli się z ukrytymi w zasadzce wojownikami. Kiedy zobaczyłem, że wszyscy moi ludzie są martwi lub umierający, przebiłem się przez pierścień wrogów i zniknąłem tym malowanym diabłem z oczu. Wszędzie ich było pełno. Biegłem, czołgałem się i przemykałem w ciemnościach między oddziałkami ścigających mnie wojowników, a czasem leżałem na brzuchu w krzakach, gdy przechodzili obok. Próbowałem przejść przez rzekę, ale już tam na mnie czekali. Wyrąbały sobie drogę i spróbowałbym przepłynąć pod gradem strzał, ale usłyszałem bicie bębnow i zrozumiałem z ich mowy, że wzięli kogoś żywcem. Tak byli zapatrzeni w czary Zogar Saga, że zdołałem niepostrzeżenie wspiać się na palisadę za chatą z ołtarzem. Stał tam wojownik, który miał jej pilnować, ale zamiast tego siedział na ziemi i przyglądał się zza węgła widowisku. Zaszedłem go od tyłu i skręciłem mu kark zanim pojął co się dzieje. To jego włócznią przeszyłem gada, a ty masz jego topór.

— A co to był za stwór — ten którego zabiłeś w chacie? — spytał Balthus, otrząsając się na samo wspomnienie.

— To jeden z bożków Zogar Saga. Dziecko Jhebbal Saga, które nie pamięta i musi być trzymane na łańcuchu. Goryl. Piktowie uważają to zwierzę za wcielenie Włochatego Bóstwa z Gullah, żyjącego na księżycu. Robi się jasno. Musimy się tu ukryć, dopóki się nie uspokoi. Pewnie będziemy musieli poczekać do zmroku.

Weszli wyżej na łagodne, pokryte płataniną drzew i krzewów zbocze. Na szczycie pagórka Conan znalazł pierścień poszarpanych gałęzi, porośniętych gęstymi zaroślami. Ta naturalna forteca posłużyła im za kryjówkę. Balthus nie wierzył by nawet sokole oczy Piktów mogły wypatrzeć ich ślady na skalistym gruncie, ale obawiał się zwierząt posłusznych Zogar Sagowi. Wiara, jaką początkowo pokładał w siłę magicznego symbolu osłabła nieco, lecz Conan zbył jego wątpliwości wzruszeniem ramion.

Przez gęste gałęzie sączyła się upiorna poświata; prześwitujące przez zielone sklepienie skrawki nieba zmieniły barwę z różowej na błękitną.

Wprawdzie Balthus ugasił pragnienie w napotkanym strumieniu, ale głód wciąż szarpał mu wnętrzności. Wokół panowała zupełna cisza, przerywana z rzadka lęklwym nawoływaniem ptaków. Nie było już słyszeć bicia bębnów. Balthus znów wrócił myślą do wydarzeń, które miały miejsce w wiosce.

— Zogar Sag nosił strusie pióra — rzekł do Conana. — Widziałem je na hełmach rycerzy, którzy przybyli ze wschodu do baronów Marchii. W tym lesie nie ma strusi, prawda?

— Pióra pochodzą z Kush — odparł zapytany. — Na zachód stąd, za stepami, jest brzeg morza. Czasem przyplływają tam statki z Zingary by wymieniać z tamtejszymi szczepami broń, ozdoby i wino na skóry, miedź i złoty piasek. Czasami przywożą strusie pióra, które otrzymują od Stygijczyków, a ci otrzymują je od czarnych z Kush, krainy, która leży na południe od Stygii. Piktyjscy szamani przywiązują do tych piór niezwykłą wagę. Jednak handel z Piktami niesie pewne ryzyko. Zawsze mogą zaatakować statek, a i brzeg jest bardzo niebezpieczny dla żeglugi. Pływałem wzdłuż niego kiedy żyłem wśród piratów z Wysp Baracha, położonych na południe od Zingary. Balthus z podziwem spojrział na kompana.

— Wiem, że nie spędziłeś całego życia na pograniczu. Wspomniałeś o kilku odległych miejscach. Musiałeś dużo podróżować?

— Dotarłem daleko; dalej niż jakikolwiek inny człowiek z moich stron. Widziałem wszystkie wielkie miasta Hyborian, Shemitów, Stygijczyków i Hyrkanian. Włóczyłem się po niezbadanych krainach za południowymi granicami czarnych królestw Kush i na wschód od Morza Vilayet. Byłem kapitanem piechoty, korsarzem, kozakiem, włóczęgą bez grosza, generałem... Do diabła! Byłem wszystkim tylko nie królem cywilizowanego kraju — ale może będę i nim zanim umrę!

Ta myśl wydawała się go bawić; uśmiechnął się lekko. Później wzruszył ramionami i wyciągnął się wygodnie na skale.

— Tak samo dobre życie jak każde inne. Nie wiem jak długo zostanie na pograniczu; tydzień, miesiąc, rok... Jestem niespokojnym duchem. Tu mi tak samo dobrze jak gdzie indziej.

Balthus usadowił się tak, by obserwować las w dole. W każdej chwili

spodziewał się widoku pomalowanych twarzy dzikusów wyłaniających się z gęstwiny. Jednak mijały godziny i zalegającej wokół ciszy nie mącił żaden podejrzany odgłos. Balthus osądził, że Piktowie zgubili trop i zaniechali pościgu. Conan był coraz bardziej niespokojny.

— Ich oddziały powinny przeczesywać puszcę. Jeżeli zrezygnowali z pogoni to tylko dlatego, że mają coś ważniejszego do roboty. Pewnie zbierają się by przekroczyć rzekę i uderzyć na fort.

— Myślisz, że poszliby za nami aż tutaj, gdyby było inaczej?

— Trop stracili na pewno; inaczej już siedzieliby nam na karku. Przeczesałoby lasy w promieniu wielu mil. Być może jakiś oddział przeszedł blisko nie odkrywając wzgórze, ale większość zebrała się wokół Gwawela. Szykują się do przeprawy przez rzekę. Zaryzykujemy i spróbujemy ich wyprzedzić.

Kiedy przemykali się między skałami, Balthus czuł nieprzyjemne mrowienie między łopatkami, gdzie w każdej chwili mogła się wbić świszcząca strzała wypuszczona z gęstwiny. Jednak Conan był przekonany, że w pobliżu nie ma nawet śladu nieprzyjaciela — i jak zwykle miał rację.

— Znajdujemy się o wiele mil na południe od wioski — mruknął. — Teraz ruszymy prosto ku rzece. Nie wiem jak daleko dotarli Piktowie, ale miejmy nadzieję, że nie ma ich tutaj.

Pośpiesznie podążyli na wschód. Balthus uważał to za zuchwalstwo, ale Conan sądził, że piktyjscy wojownicy albo już przeprawili się przez rzekę, albo stanęli u brodu w pobliżu Gwaweli. Tę drugą możliwość uznał za bardziej prawdopodobną.

— Jakiś drwal mógłby ich zauważyć i podnieść przedwczesny alarm. Przeprawią się powyżej i poniżej fortu, poza zasięgiem wzroku strażników. Wtedy inni wsiądą do canoe i zaatakują od strony rzeki. Jak tylko uderzą, pozostałe, ukryte w lasach oddziały natrą na fort z obu stron. Raz już próbowali tej sztuczki, ale musieli się wycofać. Jednak tym razem jest ich wystarczająco dużo by im się to powiodło.

Parli naprzód bez wytchnienia, chociaż Balthus tęsknym wzrokiem spoglądał na śmigające wśród gałęzi wiewiórki, które mógł strącić na ziemię jednym rzutem topora. Z westchnieniem zacisnął szeroki pas. Wieczysta cisza i półmrok pierwotnej puszczy zaczynały mu działać na nerwy. Złapał się na myślach o otwartych przestrzeniach i skąpanych w

słońcu łąkach Tauranu; o jasnych, czystych ścianach krytego strzechą, rodzinnego domu; o tłustym bydle pasącym się w gęstej soczystej trawie oraz o serdeczności tamtejszych pasterzy.

Poczuł się samotny. Conan był częścią tej leśnej głuszy w takim samym stopniu, w jakim Balthus był jej obcy. Cymmerianin mógł spędzić długie lata w wielkich miastach hyboreańskie — go świata i poznać jego władców; mógł też któregoś dnia urzeczywistnić swój kaprys i zostać królem cywilizowanego państwa — zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Jednak nie zmieniało to faktu, że był barbarzyńcą. Obchodziły go tylko jego prymitywne potrzeby. Łagodne przyjemności i wzruszenia spokojnego życia nie miały dla niego znaczenia. Wilk pozostaje wilkiem, nawet jeżeli kaprys losu każe mu strzec stada owiec razem z psami. Dla Conana życie składało się z rozlewu krwi, zaciekłych bitew i przemocy; nie rozumiał i nigdy nie miał zrozumieć drobnych radości tak miłych sercu cywilizowanych ludzi.

Zanim dotarli do rzeki cienie drzew zaczęły się już wydłużać. Zerknęli przez gęste krzaki. Czarne wody toczyły się leniwie. Na milę w każdą stronę rzeka była pusta. Conan zmarszczył brwi, spoglądając na drugi brzeg.

— Musimy zaryzykować! Spróbujemy przepłynąć na drugą stronę. Nie wiem, czy Piktowie się już przeprawili, czy nie. Być może jest ich już tam pełno. Trudno, musimy podjąć takie ryzyko. Jesteśmy teraz prawie sześć mil na południe od Gwawela.

Cymmerianin okręcił się na pięcie i przykucnął w tej samej chwili gdy rozległ się brzęk napiętej cięciwy i świst przeszywającej powietrze strzały. Conan poderwał się natychmiast i jednym susem skoczył w zarośla. Balthus pochwycił okiem błysk spadającego ostrza i usłyszał przedśmiertny wrzask. Wpadł w chaszcze za swoim towarzyszem.

Na ziemi leżał Pikt z rozplataną czaszką, spazmatycznie drąc ziemię palcami. Pół tuzina innych nacierało na barbarzyńcę z mieczami i toporami w dłoniach, odrzuciwszy bezużyteczne w bezpośrednim starciu łuki. Ich pomalowane na biało dolne szczęki kontrastowały z ciemnymi twarzami, a plemienne znaki na muskularnych piersiach nie przypominały tych, jakie Balthus widział do tej pory.

Jeden z napastników cisnął toporem w Balthusa i rzucił się na niego z nożem. Taurańczyk uchylił się i chwycił za przegub uzbrojonej ręki.

Razem upadli na ziemię, tocząc się tam i z powrotem w zacieklej walce. Pikt był zwinny jak dzikie zwierzę, a jego mięśnie miały moc stalowych sprężyn. Balthus usiłował przytrzymać uzbrojone w nóż ramię i zadać decydujący cios toporem, ale szamoczący się wściekle przeciwnik udaremniał jego zamiar. Pikt trzymał go za rękę, w której dzierżył topór, gwałtownymi szarpnięciami usiłując uwolnić własne ramię i próbując kopnąć Balthusa między nogi. W chwili gdy zamierzał przerzucić nóż do wolnej ręki Aquilończyk poderwał się na jedno kolano i rozpaczliwym ciosem topora rozłupał mu głowę na dwoje.

Balthus skoczył na równe nogi, szukając wzrokiem towarzysza, spodziewając się, że ujrzy go powalonego przez przeważających liczebnie wrogów. Dopiero wtedy uświadomił sobie w pełni siłę i zręczność Cymmerianina. Conan stał okrakiem nad ciałami dwóch napastników, przeciętych na pół jednym straszliwym cięciem szerokiego miecza. Na oczach zdumionego Balthusa barbarzyńca odparował pchnięcie mieczem, z kocią zwinnością uniknął ciosu toporem skacząc w bok, do Pikta, który schylał się po upuszczony łuk. Zanim wojownik zdołał się wyprostować, zbroczone ostrze opadło jak błyskawica, rozrąbując bark od ramienia do piersi, gdzie uwięzło. Pozostali wojownicy skoczyli na Cymmerianina z dwóch stron. Celnym rzutem topora Balthus zmniejszył liczbę atakujących do jednego, a Conan, zaniechawszy beznadziejnych prób wyrwania miecza z ciała zabitego, odparł atak gołymi rękami. Wojownik, który na niego natarł, był o głowę niższy, ale przysadzisty i uzbrojony w topór i nóż. Wąskie ostrze prysnęło na kolczudze Cymmerianina, a topór zatrzymał się w powietrzu, bo stalowe palce barbarzyńcy zamknęły się jak stalowy potrzask na ramieniu wymachującego nim wojownika. Rozległ się głośny trzask pękających kości; Pikt wrzasnął i zwiotczał. W następnej chwili Conan podniósł szamoczącego się i wierzgającego wojownika nad głowę, potrzymał go przez moment w powietrzu, po czym cisnął o ziemię z taką siłą, że Pikt potoczył się i legł nieruchomo z połamanymi żebrami i kręgosłupem.

— Chodźmy! — rzekł Conan, podnosząc topór i wyszarpując ostrze z ciała zabitego. — Weź łuk i trochę strzał. Pośpiesz się! Musimy pędzić ile sił w nogach. Te wrzaski było słychać w całej puszczy. Za chwilę zaroi się tu od Piktów. Gdybyśmy teraz próbowali przepłynąć rzekę, to

naszpikowaliby nas strzałami zanim dotarlibyśmy na drugi brzeg.

6. CZERWONE TOPORY

Conan nie zagłębił się zbyt daleko w las. Kilkaset jardów dalej zmienił kierunek ich ucieczki i ruszył równoległe do biegu rzeki. Balthus rozumiał rozpaczliwą decyzję Cymmerianina. Nie mogli dać się odpędzić od rzeki, którą musieli przepłynąć by ostrzec ludzi w forcie. W dali rozległy się dzikie wrzaski. To Piktwowie odnaleźli polankę, gdzie leżały trupy ich współplemieńców. Przybliżające się okrzyki świadczyły o tym, że dzicy natychmiast ruszyli w pościg. Dwaj towarzysze uciekając w pośpiechu zostawiali wyraźny ślad.

Conan przyśpieszył kroku, a Balthus zacisnął zęby i trzymał się tuż za nim, chociaż miał wrażenie, że zaraz upadnie. Wydawało mu się, że od wieków nic nie jadł. Biegł tylko dzięki sile woli. W uszach szumiało mu tak mocno, że nawet nie usłyszał kiedy wrzaski ucichły nagle.

Cymmerianin zatrzymał się. Balthus oparł się o drzewo i dyszał ciężko.

— Zrezygnowali! — mruknął wreszcie, zmarszczywszy brwi.

— Skradają się! — wydusił z siebie Balthus. Conan potrząsnął głową.

— Nie. Wrócili. Wydawało mi się, że ktoś ich zawołał i dopiero wtedy wycia ucichły. Ktoś odwołał pościg. Dla nas to dobrze, ale dla ludzi w forcie — nie. To oznacza, że wojownicy szykują się do ataku. Ci, na których wpadliśmy, należeli do jednego ze szczepów mieszkających w dole rzeki. Niewątpliwie zmierzali do Gwawela by przyłączyć się do atakujących. Niech to diabli, jesteśmy już prawie zbyt daleko od fortu! Jeżeli chcemy zdążyć musimy się szybko przedostać na drugi brzeg. Zwróciwszy się na wschód, Conan pośpiesznie gnał przez gąszcz, nawet nie próbując zacierać swoich śladów. Balthus deptał mu po piętach, dopiero teraz czując pieczenie w miejscach, gdzie paznokcie Pikta rozorały mu skórę. Aquilończyk zanurzał się już w gęste krzaki na brzegu rzeki, gdy Cymmerianin chwycił go za ramię. Usłyszeli rytmiczny plusk i zerkając przez zielone listowie ujrzeli podążające w górę rzeki canoe. Siedzący w nim wioślarz walczył zawzięcie z silnym prądem. Silnie

zbudowany, smagłoskóry, nosił miedzianą obręcz przytrzymującą czarną grzywę prosto przyciętych włosów i wetknięte za nią białe pióro czapli.

— To wojownik z Gwawela — szepnął Conan. — Wysłannik Zogar Saga. Świadczy o tym białe pióro. Zaniósł posłanie pokoju do szczepów w dole rzeki, a teraz próbuje wrócić na czas i wziąć udział w bitwie.

Tymczasem samotny Pikt znalazł się na wysokości miejsca, gdzie krył się Conan z Balthusem. Ten ostatni niemal wyskoczył ze skóry, kiedy tuż nad jego uchem rozległy się gardłowe dźwięki piktyjskiej mowy. To Cymmerianin zawołał Pikta w jego własnym języku. Wojownik drgnął, wbił wzrok w zarośla i krzyknąwszy coś, rzucił wystraszone spojrzenie na sąsiedni brzeg, po czym pochylił się nisko i skierował łódź ku ukrytym w krzakach pogranicznikom. Conan wyjął łuk z ręki zdeorientowanego Balthusa i nałożył strzałę na cięciwę.

Pikt płynął teraz przy samym brzegu, szukając wzrokiem niewidocznego pobratymcy. Krzyknął coś półgłosem. W odpowiedzi z krzaków świsnęła śmiertelna strzała i wbiła mu się w pierś po sam bełt. Dzikus ze zduszonym jękiem przechylił się w bok i zwalił za burzę, w płytką wodę. Conan wypadł na brzeg i brnąc po kolana w wodzie, chwycił dryfujące canoe. Oszołomiony Balthus poszedł w jego ślady i wgramolił się do łódki. Cymmerianin chwycił wiosło i potężnym uderzeniem skierował dziób canoe w stronę drugiego brzegu. Balthus patrzył z podziwem na grające pod opaloną skórą mięśnie towarzysza. Nie znający zmęczenia barbarzyńca wydał mu się człowiekiem z żelaza.

— Co powiedziałaś temu Piktowi? — spytał.

— Ostrzegłem go, że na drugim brzegu czai się łucznik, który chce go ustrzelić.

— To nie w porządku — rzekł Balthus. — On myślał, że to przyjacielska rada. Udawałeś Pikta tak dobrze.

— Potrzebna nam była jego łódź — mruknął Conan. — Nie widziałem innego sposobu by ściągnąć go bliżej. Co gorsze — oszukać Pikta, który z radością obdarłby nas żywcem ze skóry, czy zawieść ludzi za rzeką, których życie spoczywa w naszych rękach?

Balthus przez chwilę przeżuwał w myślach ten problem etyczny, po czym wzruszył ramionami i rzekł:

— Jak daleko jesteśmy od fortu?

Conan wskazał na strumyk wpadający do Czarnej Rzeki ze wschodu,

kilkaset jardów w dół rzeki od miejsca, w którym się znajdowali.

— To Strumień Południowy; dziesięć mil od fortu. Jesteśmy przy południowych granicach Conajohary. Dalej rozpościerają się całe mile bagnisk. Nie ma obawy by uderzyli z tej strony. Dziewięć mil w górę rzeki stąd Strumień Północny tworzy drugą linię graniczną. Tam też są bagna. Właśnie dlatego atak musi przyjść z zachodu, przez Czarną Rzekę. Conajohara ma kształt włóczni z dziewiętnastomilowym grotem, wbitym w terytorium Piktów.

— Dlaczego nie popłyniemy do fortu rzeką, skoro mamy już canoe?

— Ponieważ ze względu na silny prąd, który musielibyśmy pokonywać i liczne zakręty, szybciej dotrzemy tam piechotą. Ponadto pamiętaj, że po drodze mijamy Gwawela; jeżeli Pikto — wie przeprawiają się na drugą stronę, to moglibyśmy wpaść prosto w ich ręce.

Kiedy przeprawili się na drugi brzeg, zaczynało już zmierzchać. Nie zatrzymując się nawet na chwilę, Conan zwawo ruszył na północ; Balthus z trudem dotrzymywał mu kroku.

— Vallanus chciał wybudować dwa forty: przy ujściu Strumienia Północnego i Południowego — mruknął Cymmerianin. — Wtedy mysz by się nie prześliznęła przez granicę. Ale doradcy króla nie pozwolili na to. Tłusci głupcy wylegujący się na aksamitnych poduszkach z nagimi dziewczkami podającymi im na kolanach wino — znam ten typ ludzi. Nie widzą dalej niż ściany własnego pałacu. Dyplomaci — niech ich diabli! Walczą z Piktami przy pomocy teoryjek o ekspansji terytorialnej. Vallanus i jemu podobni muszą słuchać rozkazów tej bandy idiotów. Nigdy już nie zagarną innych piktyjskich ziem, tak samo jak nie odbudują Venarium. I może przyjść czas, że barbarzyńcy staną u bram ich wspaniałych miast!

Tydzień wcześniej Balthus wyśmiałyby takie nieprawdopodobne twierdzenia. Teraz milczał. Widział nieposkromioną odwagę dzikich wojowników. Zadrżał, rzucając spojrzenie na toczące się wolno, ciemne wody i zwieszające się nad nimi gałęzie drzew. Pamiętał o tym, że Piktowie mogli już przeprawić się na ten brzeg i czekać gdzieś w zasadzce. Zmierzch zapadał szybko.

Cichy szmer sprawił, że serce podskoczyło Taurariczykowi do gardła. Conan błysnął wzniesionym do ciosu mieczem, lecz opuścił go na widok wielkiego, wychudłego i poznaczonego bliznami psa, który wyszedł na

ścieżkę.

— To pies osadnika, który chciał zbudować chatę na brzegu rzeki, kilka mil na południe od fortu — rzekł Conan. — Piktowie zabili go, oczywiście, i spalili chatę. Przy zgliszczach znaleźliśmy tego psa leżącego wśród Piktów, których zagryzł. Porąbali go prawie na kawałki. Zabraliśmy psa do fortu i opatrzyliśmy mu rany, ale kiedy wydobrzeał uciekł do lasu i zdziczał. I co, Siekacz, polujesz na tych, którzy zabili ci pana?

Masywny łeb psa zakołysał się lekko, a zielone ślepia zmrużyły się w dziwnie złowrogim grymasie. Zwierzę nie szczeknęło i nie warczało. Cicho jak duch stanęło obok Balthusa i Conana.

— Niech idzie z nami — rzekł Cymmerianin. — Zwęszy ciemnoskórych diabłów zanim my zdołamy ich dostrzec.

Balthus uśmiechnął się i delikatnie położył rękę na głowie psa. Instynktownie ściągnięte wargi obnażyły lśniące kły zwierzęcia; potem wielki łeb pochylił się nieco, a ogon zadrgał niepewnie, jakby jego właściciel zapomniał o takich odruchach. Balthus porównał w myślach to olbrzymie zwierzę z tłustymi psami o gładkim futrze, kłębiącymi się w psiarni ojca. Westchnął. Pogranicze było równie okrutne dla ludzi, co i dla zwierząt. Ten pies prawie zapomniał co oznacza przyjaźń z człowiekiem.

Siekacz wysunął się naprzód i Conan nie wyraził żadnego sprzeciwu. Ostatnie promienie słońca zgasły gdzieś za górami, pozostawiając kompletną ciemność. Spiesznie pokonywali milę za milą. Pies wydawał się niemym stworzeniem. Nagle stanął w miejscu, czujnie nastawiając uszu. Conan i Balthus także to usłyszeli — demoniczne wycie niosące się po wodzie w dół rzeki. Conan zaklął wściekle.

— Zaatakowali fort! Spóźniliśmy się! Chodź! Pomknął jak strzała nie zważając na nic, wierząc, że pies zwęszy ewentualną zasadzkę. W przyptywie emocji Balthus zapomniał o głodzie i zmęczeniu. W miarę jak się zbliżali, wycie stawało się coraz głośniejsze i coraz wyraźniej słyszeli okrzyki żołnierzy. Kiedy Balthus zaczął się już niepokoić, że pędzą wprost na dzikusów, Conan zatoczył szeroki łuk, który wyprowadził ich na łagodne wzniesienie, z którego mogli się dobrze przyjrzeć wszystkiemu. Zobaczyli fort, oświetlony pochodniami wystawionymi na długich tykach poza parapety strzelnic. W ich migotliwym, niepewnym

świetle ujrzeni setki nagich, pomalowanych na wojenne barwy wojowników. Na rzece było gęsto od łodzi. Piktowie zupełnie otoczyli fort.

Nieustanny deszcz wysyłanych z lasu i łodzi strzał spadał na palisadę. Brzęk cięciw zagłuszył wrzaski. Wyjąc jak stado wygłodniałych wilków, kilkuset nagich wojowników wybiegło spomiędzy drzew i z toporami w dłoniach pognało do palisady. Kiedy znaleźli się o sto pięćdziesiąt jardów od niej, chmura wystrzelonych przez obrońców strzał uśłała ziemię trupami i zmusiła pozostałych do pośpiesznego odwrotu. Wojownicy w łodziach również skierowali się ku palisadzie, lecz zostali przywitani nie tylko gradem strzał, ale i pociskami z małych balist, zamocowanych na drewnianych platformach. Kamienie i belki śmigały w powietrzu, druzgocząc i zatapiając pół tuzina łodzi wraz z załogami, a inne zmuszając do ucieczki. Obrońcy fortu wydali donośny okrzyk tryumfu; ze wszystkich stron odpowiedziało im przeraźliwe wycie dzikich.

— Spróbujemy się przebić? — spytał niecierpliwie Balthus. Cohan potrząsnął głową. Stał lekko pochylony, z rękami założonymi na piersiach.

— Nie. Fort jest już stracony. Piktowie oszaleli z żądzы krwi; można ich powstrzymać tylko zabijając wszystkich. A jest ich zbyt wielu, by żołnierze w forcie zdołali tego dokonać. Nie udałoby się nam nawet przedrzeć, a gdyby nawet, nie moglibyśmy zrobić nic więcej, jak zginąć razem z Vallanusem.

— A więc możemy tylko ratować własną skórę?

— Też nie. Musimy ostrzec osadników. Wiesz dlaczego Piktowie nie próbują podpalić fortu ognistymi strzałami? Nie chcą wzniecać ognia, żeby dym nie ostrzegł ludzi na wschodzie. Chcą zdobyć fort i uderzyć wzdłuż drogi do Yelitrium, zanim ktokolwiek się zorientuje w sytuacji. Wtedy mogliby nawet przekroczyć Rzekę Gromu i wziąć Velitrium zanim Aquilończycy się opamiętają. W każdym razie zabiją każdą żywą istotę między fortem a rzeką. Wprawdzie nie udało nam się ostrzec Vallanusa, lecz teraz widzę, że to i tak niczego by nie zmieniło. Jeszcze kilka takich szturmów i Piktowie wedrą się do fortu. Jednak powinniśmy ocalić osadników. Chodź! Jesteśmy poza pierścieniem okrążenia. Trzymajmy się od niego z daleka.

Zatoczyli szeroki łuk, nasłuchując rosnących i zamierających

wrzasków znaczących każdy szturm odparty przez obrońców. Załoga fortu trzymała się dzielnie, ale wściekłość Piktów nie słabła. W ich wyciu słychać było pewność zwycięstwa.

Zanim Balthus zorientował się, wyszli na szeroki trakt, wiodący na wschód.

— Teraz biegiem! — nakazał Conan.

Balthus zacisnął zęby. Do Velitrium było dziewiętnaście mil, a do pierwszych zabudowań osadników dobre pięć. Aquilończykowi wydawało się, że już od wieków biega z Conanem po puszczy. Jednak nerwowe napięcie dodawało mu sił.

Siekacz biegł przed nimi z nisko pochylonym łbem. Nagle warknął cicho — po raz pierwszy od kiedy go spotkali.

— Przed nami Piktowie! — mruknął Conan, przyklękając na moment i badając ślady w blasku gwiazd. Potrząsnął głową, zbity z tropu. — Nie wiem ilu. Raczej niewielu. To ci, którym się nie chciało czekać na zdobycie fortu. Poszli naprzód by mordować śpiących osadników! Musimy się spieszyć!

Przed sobą ujrzeli nikłą poświatę i usłyszeli dzikie wrzaski. Szlak zakręcał w tym miejscu, więc skrócili sobie drogę idąc przez zarośla. Po chwili zobaczyli okropny widok. Na drodze stał wóz zaprzężony w muły, wiozący różne przedmioty potrzebne w gospodarstwie. Wóz palił się, a muły leżały z popodrzynanymi gardłami obok zmasakrowanych ciał młodej pary. Pięciu Piktów wymachując zakrwawionymi toporami tańczyło taniec zwycięstwa wokół swych ofiar; jeden z nich nałożył zdartą z kobiety koszulę.

Balthusowi czerwone płatki zawirowały przed oczami. Napiął łuk, wymierzył w podskakującą postać i zwolnił cięciwę. Morderca wyprężył się konwulsyjnie i padł ze strzałą w sercu. W następnej chwili obaj kompani skoczyli na pozostałych czterech dzikusów. Conanem powodowała nie tylko żądza walki, ale i zapiekła nienawiść do odwiecznego wroga, natomiast Balthus oszalał z wściekłości widząc zwłoki ziomków.

Potężnym ciosem topora rozłupał czerep pierwszemu Piktowi, jaki stanął mu na drodze i przeskakując przez padające ciało rzucił się na następnego. Jednak spóźnił się trochę, bo Conan zdążył już zabić jednego wroga i zanim Balthus zdążył opuścić topór, dzikus runął na ziemię

przeszyty mieczem barbarzyńcy. Zwracając się ku ostatniemu wojownikowi, Balthus ujrzał go leżącego z rozszarpanym gardłem. Siekacz stał nad nim szczerząc zakrwawione kły.

Bez słowa patrzyli na zmasakrowane ciała podróżnych. Oboje byli bardzo młodzi; kobieta niewiele starsza od dziecka. Zrządzeniem losu Piktowie zostawili jej twarz nietkniętą; była piękna nawet w chwili śmierci. Jednak jej młode ciało zostało okrutnie zmasakrowane ciosami noży. Patrzącego na to Balthusa coś ścisnęło za gardło. Ogarnięty głębokim żalem miał ochotę sięść na ziemi i zapłakać.

— Młoda para chcąc się usamodzielnąć — powiedział Conan, beznamiętnie ocierając ostrze swego miecza. — Podążali do fortu, gdy napadli ich Piktowie. Chłopak pewnie chciał się zaciągnąć, albo osiąść nad rzeką. Taki los czeka każdego mężczyznę, kobietę lub dziecko po tej stronie granicy, jeżeli szybko nie znajdą się w Velitrium.

Na uginających się nogach Taurańczyk podążył za Conanem. Ten szedł pewnie, długim, elastycznym krokiem. Istniało jakieś nieuchwytnie podobieństwo między nim, a wielkim, wychudzonym zwierzęciem pomykającym obok niego przez gąszcz. Siekacz już nie warczał i nie nastawiał uszu. Najwidoczniej w pobliżu nie było smagłoskórych wojowników.

Znad rzeki wciąż dobiegały wrzaski i Balthus osądził, że fort jeszcze się broni. Conan zatrzymał się nagle, klnąc siarczyście.

Pokazał Aquilończykowi szlak odchodzący na północ od głównego traktu. Zarośla porastające wąską ścieżkę nie zdążyły się jeszcze wyprostować. Cymmerianin spojrzał na głęboko odcisnięte, szerokie szlaki kół w miejscu, gdzie wozy skręciły z głównej drogi.

— To osadnicy. Pojechali po sól — mruknął. — Do słonego jeziora, leżącego jakieś dziewięć mil stąd, na skraju bagien. Niech to diabli! Wyrzną ich do nogi! Słuchaj! Jeden człowiek wystarczy by ostrzec rodziny osadników. Pobiegniesz, pobudzisz wszystkich i poprowadzisz do Velitrium. Ja spróbuję dostać się do tych przy solance. Z pewnością obozują przy jezioru. Nie wrócimy drogą, ale pójdziemy prosto przez las.

Bez dalszych komentarzy Conan zszedł ze szlaku i pośpieszył wąską ścieżką, a Balthus, odprowadziwszy go długim spojrzeniem ruszył w swoją stronę. Pies został z nim, cicho podążając przy nodze. Po kilku

krokach Taurańczyk usłyszał jego głucho warczenie. Okręcił się na pięcie i spojrzął na rozdroże, gdzie rozstał się z towarzyszem. Drgnął, widząc dziwne, niesamowite światło znikające w lesie, w tym samym kierunku, w jakim udał się Cymmerianin. Siekacz warczał wściekle, jeżąc sierść i wybałuszając zielone, płonące ślepia. Balthus przypomniał sobie ponurą zjawę, która właśnie gdzieś tutaj porwała głowę Tiberiasa — i zawahał się. Widmo najwidoczniej tropiło Conana. Jednak gigantyczny Cymmerianin kilkakrotnie udowodnił, że sam umie zadbać o siebie, a poza tym Taurańczyk czuł, że jego obowiązkiem jest K ostrzec bezbronnych ludzi, nie spodziewających się nadciągającego niebezpieczeństwa. Koszmarny widok dwojga zmasakrowanych ludzi przytłumił obawę o los kompana.

Pomknął drogą, przekroczył strumień i wreszcie zobaczył przed sobą pierwszą chatę osadnika — długi, niski budynek z nieociosanych bali. Po chwili stanął na progu i załomotał w drzwi. Senny głos zapytał o co mu chodzi.

— Wstawać! Piktowie przeszli przez rzekę!

Te słowa wywołały natychmiastowy skutek. W chacie rozległ się cichy krzyk przerażenia i drzwi otworzyły się, ukazując stojącą w nich kobietę w skąnym stroju. Długie włosy w nieładzie opadały na jej nagie ramiona; w jednej ręce trzymała świecę, a w drugiej lekki topór. Jej twarz była biała jak kreda, a oczy rozszerzone ze strachu.

— Wchodź! — zaprosiła. — Będziemy się bronić.

— Nie. Musimy dotrzeć do Velitrium. Fort długo się nie utrzyma. Może już go zdobyli. Nie trać czasu na ubieranie się. Łap dzieci i chodź.

— Ale mój mąż! Pojechał z innymi po sól! — jęknęła, załamując ręce. Zza jej pleców wyglądało troje dzieci — zaspanych i rozczochranych.

— Conan pobiegł ich ostrzec. Poprowadzi ich do Velitrium przez las. My musimy się pośpieszyć i ostrzec innych.

Na jej twarzy odmalowała się ulga.

— Dzięki ci, Mitro! — krzyknęła. — Jeżeli Cymmerianin jest z nimi, to z pewnością poprowadzi ich z puszczy!

Budząc się do życia porwała najmłodsze dziecko na ręce i razem ze starszymi opuściła chatę. Balthus wziął od niej świeczkę i zgasił, wdeptując w ziemię obcasem. Nasłuchiwał przez chwilę. Od drogi nie dolatywał najłżejszy nawet dźwięk.

— Czy masz konia?

— W stajni — jęknęła. — Och, szybciej!

Trzęsącymi się rękami gmerała przy ryglu. Balthus odsunął ją na bok, wyprowadził konia i posadził dzieci na jego grzbiecie, każąc trzymać się grzywy i siebie nawzajem. Patrzyły na niego poważnie, bez cienia uśmiechu czy płaczu. Kobieta wzięła konia za uzdę i ruszyła w drogę. Wciąż ścisnęła w drugiej ręce topór i Aquilończyk wiedział, że osaczona będzie walczyć z rozpaczliwą odwagą pantery.

Szedł za nią nasłuchując. Gnębiła go myśl, że fort został już wzięty szturmem; że hordy dzikich pędzą już drogą do Velitrium, pijane żądzą krwi i mord. Spadną na bezbronnych jak stado wygłodniałych wilków.

Wreszcie zobaczyli przed sobą następną chatę. Kobieta zamierzała krzyknąć ostrzegawczo, ale Balthus nie pozwolił jej na to. Podeszedł do drzwi i załomotał. Odpowiedział mu kobiecy głos. Powtórzył ostrzeżenie i niebawem z chaty wyskoczyli mieszkańcy: staruszka, dwie kobiety i czwórka dzieci. Tak jak poprzednio, ich mężowie dzień wcześniej udali się po sól, nie podejrzewając wcale niebezpieczeństwa. Jedna z kobiet była oszołomiona, druga zaś bliska hysterii. Jedyne staruszka, dzielna weteranka pogranicza, uciszyła ją ostro; pomogła mu wyprowadzić dwa konie z komórki przy budynku i wsadzić na nie dzieciaki. Balthus nalegał, żeby sama wsiadła na konia, ale ona tylko potrząsnęła głową i kazała jechać jednej z młodych kobiet.

— Jest w ciąży — mruknęła. — Ja mogę iść, a jeżeli będzie trzeba, to i walczyć.

Gdy ruszali jedna z kobiet powiedziała:

— Tuż przed zmrokiem przejeżdżała tędy młoda para; radziliśmy im, żeby spędzili noc w naszej chacie, ale chcieli dotrzeć jeszcze dziś do fortu. Czy...?

— Spotkali Piktów — odparł krótko Balthus i dziewczyna jęknęła ze zgrozą.

Ledwo oddalili się trochę od chaty, gdy gdzieś z tyłu rozległo się przeciągłe, odrażające wycie.

— Wilki! — wykrzyknęła jedna z kobiet.

— Pomalowane i z toporami w dłoniach — mruknął Balthus. — Dalej! Obudźcie wszystkich wzdłuż drogi i zabierzcie ze sobą. Będę was osłaniał.

Stara kobieta bez słowa popędziła swoje podopieczne. Gdy znikali w ciemnościach Balthus dostrzegł jeszcze białe owale dziecięcych twarzy, spoglądające na niego z końskiego grzbietu. Przypomniał sobie swoją rodzinę w Tauranie i na chwilę ogarnęła go bolesna tęsknota. Ogarnięty słabością usiadł z jękiem na drodze. Muskularnym ramieniem objął potężny kark Siekacza; poczuł na twarzy wilgotne dotknięcie psiego jęzora.

Podniósł głowę i uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Chodź, stary — powiedział wstając. — Mamy coś do zrobienia.

Nagle zobaczył czerwony blask ognia wśród drzew. Piktowie podpalili chatę osadnika. Balthus wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jakże pieniałby się Zogar Sag gdyby wiedział, że jego wojownicy dali upust swym niszczycielskim instynktom. Łuna ostrzeże innych. Mieszkańcy dalej leżących chat zbudzą się i będą gotowi kiedy dotrą do nich pierwsi uciekinierzy. Jednak wciąż trapiły go niewesołe myśli. Kobiety poruszały się zbyt wolno, podążając pieszo lub na objuczonych koniach. Zanim przejdą milę, szybkonodzy Piktowie dogonią ich — chyba że...

Zajął pozycję za stertą kłoców drewna leżących przy trakcie. Łuna pożaru oświetlała drogą z zachodu i kiedy Piktowie nadciągnęli zobaczył ich pierwszy; czarne, ruchliwe sylwetki na tle różowej poświaty. Napiął łuk, wypuścił strzałę i jedna z figurek upadła. Reszta wtopiła się w las po obu stronach drogi. Pies skomlił cicho, ogarnięty żądzą mordy. Między drzewami na poboczu szlaku pojawił się czarny cień skradającego się wojownika. Siekacz wyskoczył z ukrycia i długim susem wpadł w gąszcz. Krzaki zatrzęśły się gwałtownie i po chwili pies wrócił do Balthusa — z zakrwawionym pyskiem.

Piktowie nie wychodzili już na drogę. Balthus obawiał się, że przekradają się lasem. Słyszac szmer z lewej, wypuścił strzałę na oślep. Zaklął pod nosem, słyszac jak pocisk wbija się w pień, lecz Siekacz pomknął jak duch i za moment powietrze przeszył wrzask agonii. Pies wrócił natychmiast i otarł się przyjaźnie o ramię przyczajonego Aquilończyka. Krew z długiej rany na boku zlepiła mu sierść, ale Piktowie wycofali się.

Wojownicy kryjący się w krzakach domyślili się widocznie jaki los spotkał ich towarzysza i zdecydowali, że otwarty atak będzie lepszy niż narażanie się na spotkanie z niewidzialną bestią. Może domyślali się, że

za kłódami kryje się tylko jeden człowiek; w każdym razie całą gromadą wypadli z gęstwiny i pomknęli ku Balthusowi. Trzech padło przeszytych strzałami i pozostali dwaj zawahali się. Jeden zawrócił i uciekł drogą, lecz drugi przeskoczył stertę drzewa i — błyskając białymi zębami i białkami oczu — zamachnął się toporem. Balthus zerwał się na równe nogi, ale potknął się ó jeden z bali. To uratowało mu życie. Spadające ostrze musnęło mu włosy i Pikt, straciwszy równowagę, potoczył się po ziemi. Zanim zdołał się podnieść, Siekacz rozszarpał mu gardło.

Nastąpił długi okres napiętego oczekiwania. Balthus zastanawiał się czy wojownik, który uciekł, był ostatnim członkiem bandy. Najwidoczniej natknął się na niewielką grupkę wojowników, którzy zrezygnowali z udziału w bitwie o fort, lub też podążali na czele większego oddziału. Pocieszała go myśl, że z każdą upływającą chwilą rosły szansę kobiet i dzieci uciekających do Velitrium.

Nagle, bez ostrzeżenia, grad strzał ze świstem spadł wokół jego kryjówki. Wzdłuż leśnej drogi podniosły się przeraźliwe wycia. Ostatni Pikt musiał pobiec po posiłki, albo przypadkiem natknął się na inny oddział. Chata osadnika wciąż płonęła rozpraszając nieco mroki nocy. Chmara wojowników ruszyła na Aquilończyka, kryjąc się za grubymi pniami. Balthus wypuścił ostatnie trzy strzały i odrzucił zbyteczny łuk. Jakby wyczuwając to, Piktowie umilkli nagle i z tupotem bosych stóp skoczyli ku niemu.

Balthus mocno ucisnął łeb wielkiego psa, wiercącego się u jego boku i mruknął: Dobra, daj im bobu! — po czym zerwał się na równe nogi i wzniosł topór nad głową. Banda wymachujących nożami i toporami dzikusów dotarła do sterty drzewa i runęła na Aquilończyka.

7. OGNISTY DEMON

Porzucając szlak wiodący do Velitrium, Oonan przygotował się na dziewięćmiłowy bieg. Jednak nie przebył jeszcze czterech mil, gdy usłyszał przed sobą odgłosy świadczące o zbliżaniu się grupki ludzi. Z hałasu jaki czynili wywnioskował, że nie mogą to być Piktowie. Pozdrowił ich okrzykiem.

— Kto tam? — zapytał szorstki głos. — Nie ruszaj się z miejsca, albo naszpikujemy cię strzałami!

— W tych ciemnościach nie trafiłbyś słonia — rzucił niecierpliwie Cymmerianin. — Chodźcie tu, głupcy; to ja: Conan. Piktowie przeszli przez rzekę.

— Tak podejrzewaliśmy — odparł przywódca małej gromadki roślących i barczystych Aquilończyków. — Jeden z nas zranił antylopę i szedł za nią prawie do Czarnej Rzeki. Usłyszał ich wrzaski i pobiegł do obozu. Zostawiliśmy wozy i sól, puściliśmy muły w las i natychmiast ruszyliśmy z powrotem. Jeżeli Piktowie szturmują fort, to inne oddziały zaatakują nasze chaty wzdłuż drogi.

— Wasze rodziny są bezpieczne — — mruknął Conan. — Mój towarzysz pobiegł by wszystkich ostrzec i zaprowadzić do Velitrium. My musimy iść lasem. Jeżeli wyjdziemy na trakt, możemy wpaść na główne siły nieprzyjaciela. Idźcie. Będę was osłaniał.

Po chwili cała gromada maszerowała na południe. Conan szedł nieco wolniej, trzymając się z tyłu. W duchu klął osadników za hałas jaki robili idąc; taka sama grupa Piktów lub Cymmerian przemknęłaby przez las nie czyniąc więcej zamieszania niż wiatr wiejący wśród gałęzi.

Właśnie przechodził przez małą polankę, gdy instynktownie wyczuł, że ktoś go śledzi. Odwrócił się błyskawicznie i zamarł w bezruchu. Odgłosy umykających osadników ucichły w dali. Nagle usłyszał słabe wołanie dochodzące z kierunku, z którego przyszedł.

— Conanie! Conanie! Zaczekaj na mnie!

— Balthus! — wykrzyknął z niedowierzaniem i dodał trochę ciszej. — Tu jestem!

— Zaczekaj na mnie, Conanie! — głos wyraźnie przybliżał się. Marszcząc brwi, Cymmerianin wyszedł z krzaków.

— Co tu robisz, do diabła...? Na Croma!

Barbarzyńca cofnął się, zdjęty nagłym przestrawieniem. To nie Balthus wyłaniał się z zarośli. Przez listowie przebijała dziwna poświata. Wolno płynęła do Cymmerianina, jarząc się upiornie zielonym, magicznym ogniem.

Zjawa zatrzymała się kilka stóp przed Conanem, który daremnie wyteżał wzrok, próbując rozróżnić jej niewyraźne kształty. Pełzające płomienie kryły jakąś postać; zielonkawa poświata była tylko zasłoną

okrywającą jakąś nieziemską istotę — lecz Cymmerianin nie mógł jej przeniknąć spojrzeniem. Wtem zaszokowany barbarzyńca usłyszał głos wydobywający się z głębi ognistego obłoku,

— Czemu stoisz jak wół czekający na rzeź, Conanie? Stwór mówił wprawdzie głosem człowieka, ale pobrzmiwały w nim dziwnie nieludzkie tony.

— Wół!?! — wściekłość przemogła chwilowy przestrasch Conana. — Myślisz, że boję się jakiegoś nędznego, bagiennego diabła? Słyszałem głos przyjaciela.

— To ja zawołałem cię jego głosem — odparła zjawa. — Ludzie, którzy idą przed tobą, należą do mego brata; nie odbiorę mu przyjemności wytoczenia z nich krwi. Ale ty jesteś mój! O głupcze, przybyłeś tuz dalekich, szarych gór Cymmerii by znaleźć śmierć w leśnych ostępach Conajohary!

— Miałeś już wcześniej okazję — warknął Conan. — Dlaczego nie próbowałeś mnie zabić wtedy?

— Mój brat nie pomalował dla ciebie ludzkiej czaszki na czarno i nie wrzucił jej do ognia, który płonie wiecznie na ołtarzu Gullah. Nie szeptał twego imienia czarnym duchom zamieszkującym Krainy Ciemności. Lecz później nad Wzgórzami Zmarłych przeleciał nietoperz i krwią nakreślił twój wizerunek na skórze białego tygrysa wiszącej przed długą chatą Czterech Braci Nocy. U ich stóp wiją się wielkie węże, a w ich włosach gwiazdy płoną jak iskry ognisk.

— I czemu to bogowie ciemności skazali mnie na śmierć? — warknął Cymmerianin.

Z płonącej mgły wyciągnęła się jakaś szponiasta łapa i nakreśliła na ziemi zawiły rysunek. Znak błysnął i znikł, ale Conan zdążył go rozpoznać.

— Ośmieliłeś się użyć znaku jaki tylko kapłani Jhabbal Saga ośmielają się kreślić. Grom przetoczył się nad Wzgórzami Zmarłych i ofiarną chatę Gullah wywrócił wicher wiejący z Otchłani Duchów. Nadleciał kruk, który jest posłańcem Czterech Braci Nocy i wyszeptał mi do ucha twoje imię. Tutaj kończy się twoja droga. Jesteś już martwy. Twoja czaszka zawiśnie przy ołtarzu mego brata. Twoje ciało pożrą czarno — skrzydłe, ostrodziobe Dzieci Jhila,

— Kim jest twój brat, do diabła? — spytał Conan. Trzymając w jednej

ręce obnażony miecz, drugą nieznacznie sięgał po topór.

— Mój brat to Zogar Sag; potomek Jhabbal Saga, który wciąż odwiedza swe świątynie. Kobieta z Gwawela nocowała raz w jednym z jego grobowców i urodziła Zogar Saga. Ja również jestem synem Jhabbal Saga, zrodzonym z ognistego łona w innym świecie. Zogar wezwał mnie z Ziem Mroku. Zaklęciami i magią własnej krwi zmaterializował mnie na swojej planecie. Związani niewidzialnymi więzami, jesteśmy jednością. Jego myśli są moimi myślami; gdy ktoś uderzy jego, ja również czuję ból. Jeśli ja się zranię, on też krwawi. Jednak powiedziałem już dość. Niebawem twój duch będzie rozmawiał z duchami Ziem Mroku i one opowiedzą ci o dawnych bogach, którzy nie śpią, lecz spoczywając w niezgłębionych otchłaniach oczekują czasu swego powrotu.

— Chciałbym zobaczyć jak naprawdę wyglądasz — mruknął Conan wydobywając topór zza pasa. — Ty, który zostawiasz ptasie ślady, płoniesz jak ogień i mówisz ludzkim głosem.

— Ujrzysz mnie — odparł głos z płomieni — ujrzysz i zabierzesz ten widok ze sobą do Ziem Mroku.

Płomienie buchnęły i przygasały, chwiejąc się i migocąc. Z ognia wyłonił się niewyraźny kształt. Z początku Conanowi wydawało się, że to sam Zogar Sag stoi przed nim w płaszczu płomieni. Jednak ta postać była większa — i miała w sobie coś demonicznego. Cymmerianin zauważył wcześniej niezwykle rysy Zogar Saga: skośne oczy, spiczaste uszy i nienaturalnie wąskie wargi. Wszystkie te cechy w jeszcze większym stopniu uwidoczniły się u stojącego przed nim, ognistej zjawy. Jej oczy jarzyły się niesamowitym, czerwonym blaskiem — jak rozżarzone węgle.

Zauważył inne szczegóły; wąską pierś, przypominającą ludzką, lecz pokrytą wężową łuską, niekształtne ramiona i długie, żurawie nogi zakończone trójpalczastymi, ptasimi stopami. Na monstualnych członkach pełgały niebieskawe płomyki. Stwór wydawał się okryty nimi jak błyszcząca szata.

Nagle znalazł się tuż przy Cymmerianinie, nie uczyniwszy żadnego ruchu. Długie ramię, zakończone ostrymi jak brzytwa, zakrzywionymi szponami, uniosło się i opadło z rozmachem. Z dzikim okrzykiem barbarzyńca otrząsnął się z odrętwienia i odskoczył, ciskając jednocześnie toporem. Z niewiarygodną szybkością demon uniknął ciosu uchylając wąską głowę i z sykiem płomieni znów runął na Conana.

Strach zawsze pomagał mu zabijać wskazane ofiary — lecz ten Cymmerianin nie lękał się. Dobrze wiedział, że każdego nawet najstraszliwszego potwora można zabić zimnym żelazem.

Cios szponiastej łapy strącił mu hełm z głowy. Trochę niżej a zdjąłby mu ją z karku. Jednak w tej samej chwili barbarzyńca z dziką radością zatopił miecz w pachwinie potwora. Odskoczył, unikając ostrych szponów i wyszarpując ostrze z ciała wroga. Zakrzywione pazury przeorały mu pierś i rozdarły kolczugę jak starą szmatę, ale Conan nie zwracając na to uwagi ponownie doskoczył do przeciwnika. Zanurkował pod spadające ramiona potwora i wbił mu miecz w brzuch. Poczuł straszliwą siłę demona drącego mu kolczugę na plecach, miażdżącego go w uścisku; oślepił go niebieskawy, zimny jak lód płomień; wreszcie wyrwał się ze słabnących łap i zadał potężny cios.

Demon zachwiał się i runął na ziemię z niemal całkowicie odrąbaną głową. Spowijające go płomienie buchnęły żywym, czerwonym jak krew ogniem, kryjąc potwora przed wzrokiem Cymmerianina. Wokół rozszedł się smród spalonego mięsa. Ocierając z czoła krew i pot, Conan odwrócił się i chwiejnie pobiegł za towarzyszami. Krew sączyła mu się z licznych ran. Gdzieś na południu dostrzegł nikłą łunę pożaru; pewnie paliło się jakieś domostwo. W oddali narastało przeciągłe wycie dzikusów, zmuszając do zwiększonego wysiłku.

8. KONIEC CONAJOHARY

Pod murami Velitrium i wzdłuż Rzeki Gromu toczyły się zaciekle walki; lasy rozbrzmiewały szczękiem żelaza i wrzaskami zabijanych; i wiele chat legło w zgliszczach nim odparto piktyjską nawałę.

Później zapadła dziwna cisza — jak po burzy. Ludzie zbierali się grupkami i mówili przyciszonymi głosami; w nadbrzeżnych tawernach mężczyźni o surowych spojrzeniach w milczeniu pili swoje piwo.

Do Conana z Cymmerii, ponuro pociągającego z ogromnego kufła, podszedł chudy drwal z głową owiniętą bandażem i ręką na temblaku. Był jedynym, który ocalał z załogi Fortu Tuscalan.

— Byłeś z żołnierzami na ruinach fortu? — zapytał. Conan skinął

głową.

— Ja nie mogłem — mruknął pytający. — Obyło się bez walki?

— Piktowie umknęli za Czarną Rzekę — Odparł Cymmerianin. — Coś ich musiało przestraszyć, chociaż tylko ich piekielni bogowie wiedzą co.

Drwal zerknął na swoje zabandażowane ramię i westchnął.

— Mówią, że nie znaleźliście żadnych trupów. Conan znów kiwnął głową.

— Tylko popioły. Piktowie zostawili ciała swoich i ludzi Vallanusa w formie i podpalili go zanim wrócili za rzekę.

— Vallanus zginął jako jeden z ostatnich obrońców — rzekł drwal — w bezpośrednim starciu, kiedy Piktowie wdarli się do fortu. Próbowali wziąć go żywcem, ale zmusił ich by go zabili. Wzięli mnie do niewoli razem z ostatnimi dziewięcioma obrońcami, bo byliśmy już tak wyczerpani, że nie mogliśmy walczyć. Innych zamordowali od razu. Wtedy umarł Zogar Sag i udało mi się uciec.

— Zogar Sag nie żyje?! — wykrzyknął Conan.

— Tak. Widziałem jak zginął. To dlatego Piktowie nie szturmowali Velitrium z takim zapałem jak Fort Tuscelan. To było bardzo dziwne. Czarownik nie odniósł w bitwie żadnej rany. Tańczył wśród trupów wymachując toporem, którym zamordował przed chwilą ostatniego z moich towarzyszy. Wyjąc jak wilk podbiegł do mnie — i nagle zachwiał się, wypuścił topór i zaczął biegać w kółko, rycząc nieludzkim głosem. Upadł na ziemię koło ogniska na którym zamierzali mnie usmażyć, krztusząc się i tocząc pianę z ust. Po chwili zeszytniał i jego współplemieńcy krzyknęli, że nie żyje. Wybuchło niesamowite zamieszanie. Skorzystałem z tego, uwolniłem się z więzów i uciekłem do lasu.

— W blasku ognia bardzo dobrze widziałem jego ciało. Nikt go nawet nie dotknął, a jednak miał krwawe rany w pachwinie i brzuchu — a głowę prawie odrąbaną od tułowia. Co o tym sądzisz? Conan nic nie odpowiedział i drwal, znając powściągliwość barbarzyńców w pewnych sprawach, ciągnął dalej:

— Żył z czarów i przez nie zginął. Jego tajemnicza śmierć odebrała Piktom ducha. Żaden z wojowników, którzy to widzieli, nie brał udziału w walkach nad Rzeką Gromu. Uciekli do swoich wiosek. Na Velitrium pociągnęli inni; ci którzy wyruszyli wcześniej. Jednak było ich zbyt mało

by zdobyć miasto. Wiedząc, że nic mnie nie ściga, poszedłem wzdłuż drogi za głównymi siłami wroga, przekradłem się między oddziałami i dotarłem do miasta. Tobie udało się przeprowadzić osadników, a kobiety z dziećmi dotarły do Velitrium tuż przed hordami tych diabłów. Gdyby Balthusowi i staremu Siekaczowi nie udało się ich na chwilę powstrzymać, wymordowaliby nasze rodziny. Przechodziłem obok miejsca, gdzie stoczyli ostatnią walkę. Leżeli obok sterty martwych Piktów — naliczyłem siedmiu zarąbanych przez Balthusa lub rozszarpanych przez psa — a na drodze leżało jeszcze paru innych, przesytych strzałami. Cóż to musiała być za walka!

— Balthus był prawdziwym mężczyzną — rzekł Conan. — Piję za jego pamięć i pamięć psa, który nie znał strachu.

Pociągnął tęgi łyk wina i dziwnie pogańskim gestem wylał resztę na podłogę, po czym rozbił kufel.

— Dziesięciu Piktów zapłaci życiem za jego śmierć, a siedmiu za śmierć psa, który był większym wojownikiem niż wielu ludzi.

Patrząc na ponury błysk w niebieskich oczach Cymmerianina drwał wiedział, że barbarzyńca dotrzyma przysięgi.

— Nie odbudują fortu?

— Nie. Conajohara jest stracona. Granica Aquilonii przesunęła się na południe. Rzeka Gromu będzie nową Unią graniczną.

Drwał westchnął i spojrzał na swoją spracowaną dłoń, pokrytą odciskami od styliska topora. Conan sięgnął długim ramieniem po dzban z winem. Aquilończyk spoglądał w milczeniu na Cymmerianina, porównując go z innymi ludźmi; z mężczyznami w tawernie; z innymi, którzy zginęli nad rzeką, i z dzikimi Piktami. Conan zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

— Barbarzyństwo to normalny stan ludzkości — rzekł wreszcie drwał, patrząc posepnie na Conana. — To cywilizacja jest czymś nienaturalnym, dziwnym zbiegiem okoliczności. Barbarzyństwo zawsze musi w końcu zatryumfować.

CIENIE W ZAMBOULI

Conan bez większych przygód dociera do Zambouli, gdzie szybko roztrwania fortunę zdobytą w Akhalat. Po tygodniu nieustannego obżarstwa, opilstwa, hulank, rozpusty i hazardu zostaje bez grosza przy duszy.

1. ŁOMOT BĘBNA

W domu Arama Baksha czeka cię zguba! W głosie mówiącego rozbrzmiewał szczery niepokój, a jego chude ręce o brudnych paznokciach kurczowo zacisnęły się na muskularnym ramieniu Cymeryjczyka. Mężczyzna był żylasty, opalony i czarnobrody, a obszarpane odzienie wskazywało na to, że należał do jednego z koczowniczych plemion. W porównaniu z olbrzymim barbarzyńcą o czarnej grzywie, szerokiej piersi i potężnych ramionach wydawał się jeszcze mniejszy i szczuplejszy. Stali na rogu Bazaru Płatnerzy, wśród wielobarwnego, wielojęzycznego tłumu zamboulańskiej ulicy: hałaśliwej, pysznej zbieraniny wielu ras i narodowości.

Conan oderwał wzrok od śmiałookiej, czerwonoustej Ghanaranki, której krótka, rozcięta spódniczka przy każdym kroku ukazywała brązowe uda i zmarszczywszy brwi spojrzał na natręta.

— Co masz na myśli mówiąc „zguba”? — spytał. Nomada szybko obejrzał się przez ramię, po czym odparł ścisłym głosem:

— Kto to wie? Jednak wielu synów pustyni i podróżnych nocujących w gospodzie Arama Baksha zginęło bez śladu. Co się z nimi stało? On przysięga, że wstali rano i poszli dalej... i prawdą jest, że nigdy w jego domu nie zginął żaden obywatel miasta. Jednak wielu innych nikt już nie ujrzał, a powiadają, że widziano na bazarze ich szaty i ekwipunek. Skąd się tam wzięły, jeżeli nie sprzedawał ich sam Aram, zabiwszy uprzednio właścicieli?

— Ja nie mam nic cennego — mruknął Cymeryjczyk, kładąc dłoń na oprawionej w rekinia skórę rękojeści miecza, który miał u boku. — Sprzedałem nawet mojego konia.

— Jednak ci, którzy znikają nocą z domu Arama Baksha nie zawsze należą do bogatych!

— nalegał Zuagir. — O nie, zostawali tam na nocleg również biedni koczownicy — ponieważ Aram liczy taniej niż inni oberżyści — i nikt ich więcej nie zobaczył. Raz wódz Zuagirów, którego syn zniknął w ten sposób, poskarżył się satrapie i Jungir Chan kazał żołnierzom przeszukać

dom.

— I co, znaleźli trupy w piwnicy? — spytał Conan z dobroduszną kpina.

— Nie! Niczego nie znaleźli! Grożąc i przeklinając przegnali wodza z miasta. Jednak — nomada zadrżał lekko i przysunął się do Cymeryjczyka — znaleźli coś innego. Tuż za miastem, na skraju pustyni rośnie kępa palm, a w ich gąszczu jest głęboka jama. W tej jamie

znajdowano ludzkie kości, zwęglone i poczerńnięte. I to nie raz, a wiele razy!

— I czego to dowodzi? — mruknął Cymeryjczyk.

— Że Aram Baksh to demon! Tak, w tym przeklętym mieście, zbudowanym przez Stygijczyków, a rządzonym przez Hyrkańczyków, w mieście, w którym biała, brązowa i czarna rasa mieszały się ze sobą tworząc hybrydy wszelkiej maści i charakteru — kto zdoła odróżnić demona od zwykłego człowieka? Aram Baksh to demon w ludzkiej postaci! Nocą przybiera swój prawdziwy wygląd i unosi swoje ofiary na pustynię, gdzie jego bracia z

pustkowi zbierają się na ucztę.

— A dlaczego zawsze porywa tylko obcych? — zapytał sceptycznie Conan.

— Mieszkańcy miasta nie ścierpieliby, gdyby zabijał ich krewnych, ale obcy, którzy wpadają w jego ręce, nic ich nie obchodzą. Conanie, ty jesteś z Zachodu i nie znasz tajemnic tej prastarej krainy. Tu od zarania dziejów demony pustyni oddawały cześć Panu Pustkowi,

Yogowi, składając mu ofiary z palonych żywcem ludzi. Strzeż się! Przez wiele księżyców mieszkałeś w namiotach Zuagirów i jesteś nam bratem! Nie idź do domu Arama Baksha!

— Schowaj się! — rzekł nagle Conan. — Właśnie nadchodzi oddział straży miejskiej. Jeśli cię zobaczą, mogą sobie przypomnieć o koniu, którego skradziono ze stajni satrapy...

Zuagir drgnął i urwał gwałtownie, po czym skoczył między stragan a kamienne poidło dla koni, przystając tylko po to, żeby syknąć:

— Strzeż się, bracie! Aram Baksh to demon!

Potem śmignął jak strzała i zniknął w wąskiej uliczce.

Conan podciągnął swój szeroki pas i zimnym spojrzeniem odwzajemnił się przechodzącym obok strażnikom, którzy bacznie mu się

przyglądali. Spoglądali nań ciekawie i podejrzliwie, bo gigantyczny Cymeryjczyk wyróżniał się nawet wśród tej przedziwnej zbieraniny, jaka przewalała się przez kręte uliczki Zambouli. Niebieskie oczy i surowe rysy odróżniały go od ludzi Wschodu, a prosty miecz u boku jeszcze tę różnicę podkreślał.

Strażnicy nie zaczepiwszy go poszli dalej przez rozstępujący się przed nimi tłum. Byli typowymi Pelishti: przysadziści, o haczykowatych nosach i kruczoczarnych brodach opadających na okryte pancerzami piersi — najemnicy rządzących Zamboulą Turańczyków, którzy uważali służbę w straży miejskiej za niegodne zajęcie — i wcale nie mniej z tego powodu znienawidzeni przez wielojęzyczną społeczność.

Conan zerknął na słońce, które właśnie zaczęło się chować za płaskie dachy domów na zachodnim krańcu bazaru i jeszcze raz podciągnąwszy pas ruszył w kierunku tawerny Arama Baksha.

Sprężystym krokiem górala przeszedł przez barwny tłum wypełniający ulice. Tu łachmany skomlących żebraków ocierały się o lamowane gronostajami chałaty bogatych kupców i wyszywane perłami, satynowe suknie kurtyzan. Tu i tam wałęsali się rośli, czarni niewolnicy, przeciskając się wśród długobrodych wędrowców shemickich, obszarpanych nomadów przybywających z pustyni, handlarzy i awanturników ze wszystkich krain Wschodu.

Tubylcza społeczność była istną mieszaniną. Przed wiekami przybyły tu stygijskie armie i stworzyły imperium na ziemi wydartej pustyni. Zamboula była wtedy tylko małą osadą handlową leżącą w kręgu oaz i zamieszkaną przez potomków koczowników. Stygijczycy rozbudowali ją i zasiedlili swoimi osadnikami, z którymi przybyli niewolnicy złapani w Shemie i Kush. Nieustannie przemierzające pustynię ze wschodu na zachód i z powrotem karawany przyniosły miastu bogactwo i jeszcze większy konglomerat ras. Później przybyli turańscy najeźdźcy i napierając ze wschodu przesunęli granice Stygii, tak że już od dwóch pokoleń Zamboula była najdalej na zachód wysuniętym przyczółkiem Turanu.

Przedzierając się przez falujący, gęsty tłum Cymeryjczyk słyszał gwar setek języków i narzeczy, od czasu do czasu przerywany tętentem galopujących koni dosiadanych przez smukłych turańskich żołnierzy o smągłych twarzach i orlich rysach.

Tłum uskakiwał na boki przed pędzącymi ze szczękiem oręża wojownikami, którzy byli panami Zambouli. Tylko wysocy, posępni Stygijczycy ponuro spoglądali na nich z mrocznych zaułków, wspominając dawne dni chwały. Mieszana społeczność nie dbała o to, czy dzierżący berło król mieszkał w mrocznym Khemie czy we wspaniałym Aghapurze.

Zamboula rządził satrapa Jungir Chan i szeptano, że Nafertari, kochanka satrapy, rządziła Jungirem Chanem. Jednak ludzie zajmowali się swoimi sprawami: wielobarwnym tłumem zapełniali ulice, targowali się, dyskutowali, grali, pili i kochali, tak jak to czynili przez te długie wieki, w czasie których wieże i minarety miasta wznosiły się nad piaskami Kharamunu.

Zanim Conan dotarł do domu Arama Baksha, na ulicach zapalono już latarnie z brązu ozdobione rzeźbami szczerzących kły smoków. Gospoda była ostatnim domostwem przy drodze wiodącej na zachód. Rozległy, otoczony murem sad daktyłowy oddzielał ją od innych domów. Dalej na zachód rosła kępa palm, za którymi ulica wychodziła na pustynię, stając się drogą. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw gospody, stał rząd opuszczonych chat ocienionych rzadko rosnącymi palmami i zamieszkanymi jedynie przez nietoperze. Idąc ulicą Conan zastanawiał się, dlaczego tych chat nie zajęli tak liczni w Zambouli żebracy.

Ostatnie światła zostały daleko w tyle. Tu nie było latarni z wyjątkiem tej, która wisiała nad bramą gospody; tylko gwiazdy, miękki pył drogi pod nogami i szmer poruszanych pustynnym wiatrem palmowych liści towarzyszyły Cymeryjczykowi.

Brama domu Arama Baksha nie wychodziła na ulicę, lecz na wąską uliczkę biegnącą między gospodą a daktyłowym ogrodem. Conan szarpnął mocno za sznur zawieszzonego nad bramą dzwonka; wzmocnił to, łomocząc rękojeścią miecza w okutą żelazem furtę z tekowego drewna. Po chwili w bramie uchyliło się okienko, przez które wyjrzała czarna twarz.

— Otwórz, do diabła! — krzyknął Conan. — Jestem gościem Arama. Zapłaciłem mu za nocleg i — na Croma! — będę go miał!

Niewolnik wyciągnął szyję, aby spojrzeć na oświetloną blaskiem ulicę, po czym bez słowa otworzył furtę i znów ją zamknął za Cymeryjczykiem, przekręcając klucz i zasuwając rygle.

Mur był bardzo wysoki, jednak w Zambouli roiło się od złodziei, a dom na skraju pustyni był narażony na nocny napad nomadów. Conan przeszedł przez ogród, w którym wielkie, blade kwiaty kołysały się w łagodnych podmuchach wiatru i wszedł do gospody, gdzie przy jednym stole siedział Stygijczyk z ogoloną głową akolity ponuro zadumany nad swymi tajemniczymi sprawami, a przy innym kilku podejrzanych osobników grało w kości kłócąc się zażarcie.

Aram Baksh wyszedł mu naprzeciw — krępy mężczyzna z długą, czarną brodą i małymi, rozbieganymi oczkami.

— Chcesz jeść? — spytał. — Pić?

— Kupiłem na bazarze kawał wołowiny i pajdę chleba — mruknął Conan. — Przynieś mi dzban ghazańskiego wina; tylko na to mnie stać.

— Nie poszcęściło ci się przy stołach gry?

— Jak mogłem wygrać, mając tylko garść srebra na początek? Zapłaciłem ci za pokój rano, bo wiedziałem, że przegram. Chciałem mieć pewność, że będę miał dziś dach nad głową. Zauważyłem, że w Zambouli nikt nie śpi na ulicy. Nawet żebracy szukają sobie nor, w których mogą się zabarykadować po zmroku. W mieście musi grasować jakaś szczególnie krwiożercza szajka rabusiów.

Z niewymowną ulgą wychylił dzban taniego wina i poszedł za Aramem. Gracze w kącie przerwali grę i z dziwnym namysłem w oczach spojrzeli w ślad za odchodzącym Cymeryjczykiem. Nie odezwali się słowem, tylko Stygijczyk wybuchnął głośnym, upiornym śmiechem, pełnym okrutnego cynizmu i drwiny. Tamci niespokojnie odwrócili wzrok, unikając swoich spojrzeń. Adepce tajemnej wiedzy nie podzielają uczuć zwykłych śmiertelników.

Conan poszedł za Aramem korytarzem oświetlonym mosiężnymi lampami. Z niepokojem patrzył na bezgłośnie poruszającego się oberżystę. Wprawdzie Aram miał na nogach miękkie kapcie, a korytarz był wyłożony grubymi, turańskimi dywanami, lecz mimo to Zamboulańczyk sprawiał nieprzyjemne wrażenie czającego się do skoku kota.

Na końcu krętego korytarza Aram stanął przed drzwiami opatrzonymi grubą, żelazną sztabą osadzoną w potężnych uchwytach. Odsunął zasuwę i pokazał Conanowi porządnie utrzymaną komnatę, której okna — co Cymeryjczyk natychmiast zauważył — były wąskie i

zakratowane grubymi kratami z kunsztownie powyginanych prętów. Na podłodze leżały dywany, sofa była szeroka i miękka, a krzesła wygodne i bogato rzeźbione. Pokój był o wiele lepszy niż te, które za tę cenę mógłby dostać bliżej centrum miasta, co też było powodem, że wybrał tę gospodę, kiedy odkrył rankiem, jak chuda stała się jego sakiewka po kilku dniach nieustannych hulanek. Przyjechał do Zambouli tydzień temu.

Aram zapalił mosiężną lampę i pokazał Conanowi drzwi po przeciwnej stronie komnaty, również zaopatrzone w potężne rygle.

— Możesz dziś spać spokojnie, Cymeryjczyku — rzekł stojąc w progu i mrugając sprytnymi oczkami.

Conan przytaknął mrukliwie i cisnął miecz na sofę.

— Kraty i rygle są tu mocne, ale ja zawsze śpię z mieczem pod ręką.

Aram nic nie odpowiedział. Stał przez chwilę gładząc czarną brodę i patrząc na lśniące ostrze. Później odszedł, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Conan zasunął rygiel, przeszedł przez pokój, otworzył drugie drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Pomieszczenie znajdowało się w bocznym skrzydle domu, przylegającym do drogi wiodącej na zachód. Drzwi prowadziły na mały dziedziniec otoczony murem. Boczne ściany odgradzające podwórko od reszty zabudowań były wysokie i pozbawione drzwi, lecz od strony ulicy mur był niski, a widoczna w nim furta nie miała rygla.

Conan przez chwilę stał na progu spoglądając na drogę niknącą w gąszczu palm. Ich liście szeleściły w podmuchach słabego wiatru; za nimi rozciągała się naga pustynia. Po przeciwnej stronie, w oddali błyszczały światła i rozbrzmiewał cichym echem miejski gwar. Tu było tylko rozgwieżdżone niebo, szept palmowych liści, a za niskim murem kurz ulicy i opuszczone chaty wznoszące ku niebu swe płaskie dachy. Gdzieś z gęstwiny palm dobiegał łomot bębna.

Cymeryjczyk przypomniał sobie przestrogi Zuagira, które teraz wydawały się jakby mniej nieprawdopodobne niż na zatłoczonej, słonecznej ulicy. Znów zaczął się zastanawiać nad zagadką niezamieszkanых chat. Czemu żebracy omijali to miejsce? Wrócił do komnaty, zamknął drzwi i zasunął rygiel.

Płomień lampy zaczął pełgać. Barbarzyńca sprawdził, co się stało i zaklął ze złością stwierdziwszy, że skończył się w niej olej. Otworzył usta,

by zawołać Arama, ale rozmyślił się. Zgasił lampę i nie zdejmując ubrania wygodnie wyciągnął się na sofie. Jego żyłasta dłoń instynktownie zacisnęła się na rękojeści miecza. Zerknąwszy jeszcze na rozgwieżdżone niebo widoczne przez wąskie, zakratowane okienko, zapadł w sen, ukołyszany szmerem wiatru wśród palmowych liści i cichym łomotem bijącego na pustyni bębna — monotonnym pomrukiem prymitywnego instrumentu uderzanego miękko i rytmicznie otwartą, czarną dłonią...

2. NOCNI GOŚCIE

Obudził go szmer otwieranych drzwi. Cymeryjczyk nie zbudził się tak jak cywilizowany człowiek: senny, oszołomiony i ogłupiały. Rozpoznawszy dźwięk, który wybił go ze snu, w jednej chwili odzyskał przytomność. Leżąc w ciemności widział, jak prowadzące na dziedziniec drzwi otwierają się wolno. W powiększającej się szczelinie dostrzegł rozgwieżdżone niebo, a na jego tle wielki, czarny kształt o szerokich, zgarbionych ramionach i niekształtnej głowie.

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Przecież sam zamknął te drzwi. W jaki sposób można je było otworzyć, jeśli nie za pomocą czarów? I czy jakakolwiek ludzka istota mogła mieć taką głowę jak ta, której zarys widział na tle nieba? Przypomniały mu się wszystkie opowieści o diabłach i goblinach, jakie słyszał w namiotach Zuagirów i zimny pot wystąpił mu na czoło.

Potwór bezszelestnie wśliznął się do komnaty i nisko pochylony, człapiącym krokiem ruszył ku sofie. Nozdrza Cymeryjczyka pochwyliły znajomy zapach, lecz to nie dodało mu otuchy, bowiem zuagirskie legendy właśnie taką woń przypisywały demonom.

Conan bezszelestnie podkurczył nogi; skoczył i ciął trzymanym w prawej dłoni mieczem tak błyskawicznie i niespodziewanie, jak tygrys atakujący w ciemności. Nawet demon nie zdołałby uchylić się przed takim ciosem. Długie ostrze opadło ze świstem przecinając ciało i kości i coś z głuchym łomotem upadło na podłogę. Conan przyczaił się w mroku, ściskając w ręku wierny miecz. Demon, bestia czy człowiek — nocny gość leżał bez ruchu u jego stóp.

Instynkt podpowiedział barbarzyńcy, że intruz jest martwy. Cymeryjczyk zerknął przez uchylone drzwi na obłany nikłą poświata dziedziniec. Furta była otwarta, ale na podwórzu nie było nikogo.

Conan zamknął drzwi, ale nie zasunął rygla. Macając w ciemnościach odnalazł lampę i zapalił ją. Było w niej dość oleju na minutę czy dwie. Przyświecając sobie lampą pochylił się nad leżącą w kałuży krwi postacią.

Był nią olbrzymi, czarnoskóry mężczyzna, odziany jedynie w przepaskę biodrową. W jednej ręce nadal ścisnął potężną maczugę. Kręcone włosy miał zaczesane w dwa sterczące rogi, utwardzone gałązkami i błotem. To ta dziwna koafiura nadawała jego głowie monstrualny kształt. Znalazłszy rozwiązanie zagadki Conan rozchylił grube, czerwone wargi zabitego i mruknął coś pod nosem widząc ostro spiłowane zęby.

Zrozumiał tajemnicze zniknięcia podróżnych nocujących w domu Arama Baksha, dziwny łoskot bębna w pobliskiej kępie palm i zwęglone kości w jamie; w jamie, w której przy blasku gwiazd pieczono okropną zdobycz, podczas gdy ludzkie bestie siedziały wokół, czekając na ohydną ucztę. Zabity był niewolnikiem należącym do plemienia ludożerców z Darfaru.

W Zambouli było ich wielu. Wprawdzie nie tolerowano tu jawnego kanibalizmu, ale teraz Conan już wiedział, dlaczego mieszkańcy tak dokładnie zamykają się na noc i dlaczego nawet żebracy omijali opuszczone chaty w sąsiedztwie. Splunął z obrzydzeniem na myśl o czarnych cieniach przemykających się tu i tam po ciemnych ulicach w poszukiwaniu ludzkich ofiar i o takich jak Aram Baksh, którzy otwierali im drzwi. Oberżysta nie był demonem, był czymś gorszym. Niewolnicy z Darfaru byli notorycznymi złodziejami; niewątpliwie część ich łupów przechodziła w ręce Arama Baksha, który płacił za nie ludzkim mięsem.

Conan zdmuchnął płomień lampy, podszedł do drzwi i otworzywszy je, przesunął dłonią po ich rzeźbionej powierzchni. Tak jak przypuszczał, jeden z ornamentów był ruchomy i można nim było odsunąć wewnętrzny rygiel. Komnata była pułapką, w którą ludzie wpadali jak króliki. Jednak tym razem zamiast królika wpadł w nią tygrys.

Cymeryjczyk wrócił do drugich drzwi, odsunął zasuwę i nacisnął. Drzwi pozostały zamknięte; barbarzyńca przypomniał sobie potężną sztabę, jaką widział po drugiej stronie.

Aram zabezpieczył się zarówno przed ucieczką swoich ofiar, jak i przed ludźmi, z którymi był w zмовie. Zapinając pas z mieczem Conan wyszedł na dziedziniec i zamknął za sobą drzwi. Nie miał zamiaru odkładać na później porachunków z Aramem Bakshem. Zastanawiał się, ilu podróżnych ogłuszono tu we śnie, wywleczono z komnaty i zaciągnięto do jamy w cieniu palm.

Nagle barbarzyńca przystanął. Wciąż słyszał pomruk bębna i widział teraz nikły odblask ognia wśród zarośli. Dla czarnoskórych z Darfaru kanibalizm był czymś więcej niż wynaturzeniem; był nierozdzieloną częścią ich upiornego kultu. Czarne sępy zleciały się na ucztę, jednak nie napełniły swoich brzuchów jego ciałem.

Aby dostać Arama Baksha musiał wejść na wysoki mur oddzielający podwórko od reszty budynku. Wysoka ściana miała chronić gospodarza przed ludożercami, ale Conan nie wychował się na równinach; młode lata spędzone wśród stromych skał rodzinnej Cymerii zmieniły mu ścięgna w stalowe struny. Właśnie stanął u stóp muru, gdy wśród drzew rozległ się przeraźliwy krzyk.

Conan skoczył do bramy i wyrzwał na ulicę. Głos dobiegał z cienia zalegającego wokół opuszczonych chat. Barbarzyńca usłyszał zduszony jęk i bełkot wydobywający się z otwartych do rozpaczliwego okrzyku ust zakrytych szeroką dłonią napastnika. Z cienia wyłoniła się zwarta grupa postaci — trzech ogromni mężczyźni ruszyli drogą niosąc mniejszą, wyrrywającą się ofiarę. W świetle gwiazd Conan dostrzegł błysk jasnej skóry. W tejże chwili ofiara konwulsyjnym szarpnięciem wyrwała się prześladowcom i rzuciła się do ucieczki.

Zanim skoczyła w bok i zniknęła między chatami, Conan zobaczył ją wyraźnie: była to smukła, młoda kobieta, naga jak nowonarodzone dziecko. Czarni deptali jej po piętach; po chwili w cieniu palm rozległ się przeraźliwy krzyk bólu i przerażenia.

Bezgranicznie rozwścieczony tym widokiem Conan bez namysłu wypadł na ulicę.

Ani prześladowcy, ani ofiara nie zdawali sobie sprawy z jego obecności, dopóki nie ostrzegł ich cichy tupot jego stóp: kiedy się odwrócili, prawie ich już dopadał, gnając z szybkością halnego wiatru. Dwaj czarni skoczyli na niego z podniesionymi maczugami, ale źle ocenili dzielącą ich odległość. Jeden padł trupem, zanim zdążył uderzyć, a Conan uskoczywszy zwinnie jak kot uchylił się przed maczugą drugiego i odpowiedział błyskawicznym ciosem. Głowa ludożercy spadła z ramion jak zdmuchnięta; bezgłowe ciało zrobiło jeszcze trzy chwiejne kroki, po czym osunęło się na ziemię bryzgając krwią i podrygując konwulsyjnie.

Ostatni kanibal ze zduszonym okrzykiem rzucił się do ucieczki, gwałtownie odepchnąwszy ofiarę. Kobieta zatoczyła się i upadła, a

czarnoskóry pomknął jak szalony w kierunku miasta.

Conan skoczył za nim. Strach dodawał uciekającemu skrzydeł, lecz nim dotarł do pierwszych zabudowań, czuł tuż za plecami zbliżającą się śmierć i zaczął kwiczeć jak zarzynana świnia.

— Masz, wściekły psie! — syknął Conan wbijając mu miecz między łopatki z taką siłą, że szerokie ostrze wyszło przez pierś ludożercy. Czarny ze stłumionym okrzykiem runął na ziemię i Cymeryjczyk zaparłszy się nogą o jego ciało wyrwał skrwawiony miecz.

Tylko słaby wietrzyk szemrał wśród palmowych liści. Conan potrząsnął głową jak lew wstrząsający grzywą i wściekłym pomrukiem dał wyraz swej niezaspokojonej żądzy krwi.

Jednak nikt więcej nie wyłonił się z ciemności — oblana światłem gwiazd droga była pusta i cicha. Po chwili barbarzyńca usłyszał za plecami szmer kroków. Odwrócił się błyskawicznie, ale to była tylko ocalona dziewczyna. Podbiegła dłoń, zarzuciła mu ręce na szyję i objęła kurczowo, oszalała z przerażenia na myśl o okropnym losie, jakiego ledwie uniknęła.

— Spokojnie, dziewczyno — mruknął. — Już wszystko w porządku. Jak to się stało, że cię złapali?

Łkając, odparła coś niezrozumiale. Przyjrząwszy się jej bacznie, Conan chwilowo zapomniał o Aramie Bakshu. Nieznajoma była brunetką o zdecydowanie jasnej skórze, wysoką, smukłą i zgrabną, co Cymeryjczyk mógł bez trudu zauważyć. Z uznaniem patrzył na kształtne biodra i bujne, falujące piersi. Objął ramieniem jej wiotką talię i rzekł uspokajająco:

— Przestań się trząść, dziewczyno. Jesteś już bezpieczna.

Jego bliskość zdawała się przywracać dziewczynie zachwianą równowagę umysłu.

Odrzuciła w tył gęste, lśniące pukle i obejrząwszy się lękliwie przez ramię mocniej przytuliła się do wybawcy, jakby szukając jego opieki.

— Złapali mnie na ulicy — mruknęła w końcu. — Czekali zaczajeni w ciemnym przejściu... jak czarne cienie; ogromne i niekształtne! Zlituj się, Secie! Będzie mi się to śniło do końca życia!

— A co robiłaś na ulicy o tej porze? — pytał, zafascynowany jedwabistą gładkością jej skóry.

Przyglądała włosy i obrzuciła go pustym spojrzeniem. Zdawała się

nie zauważać tego, że ją obejmuje.

— Mój kochanek... — powiedziała. — Mój kochanek wygnał mnie na ulicę. Wpadł w szal i próbował mnie zabić. Kiedy uciekałam przed nim, złapały mnie te bestie.

— Twoja uroda może doprowadzić mężczyznę do szaleństwa — mruknął Conan, dotykając jej połyskliwych loków.

Potrząsnęła głową jak człowiek budzący się ze snu. Przestała już drzeć i jej głos nabrał pewności.

— To wszystko przez tego kapłana... przez Totrasmeka, arcykapłana, który mnie

pożądał... Nędzny pies!

— Nie ma powodu, żeby go za to winić — wyszczerzył zęby Cymeryjczyk. — Ta stara hiena ma lepszy gust, niż myślałem.

Zignorowała śmiały komplement. Szybko odzyskiwała pewność siebie.

— Mój kochanek to... to młody turański żołnierz. Aby mnie pognać, Totrasmek dał mu narkotyk, który doprowadził go do szału. Dziś wieczór porwał miecz i próbował mnie zabić, ale uciekłam mu. Czarni złapali mnie na ulicy i zawlekli... Co to?

Conan usłyszał to wcześniej. Cicho jak cień uskoczył za róg najbliższej chaty, ciągnąc za sobą dziewczynę. Stanęli w napięciu, słuchając, jak cichy pomruk staje się coraz głośniejszy, aż w końcu mogli już rozróżnić poszczególne głosy. Od strony miasta nadchodziła grupka ludożerców licząca dziewięciu czy dziesięciu mężczyzn. Dziewczyna kurczowo chwyciła

Conana za ramię, tak że czuł, jak jej gibkie ciało drży ze strachu przy jego piersi. Wreszcie mogli rozróżnić słowa wypowiedane z gardłowym akcentem.

— Nasi bracia już zebrali się przy jamie — rzekł jeden z idących. — Dziś nie dopisało nam szczęście. Mam nadzieję, że im powiodło się lepiej i że zdobyli coś dla nas.

— Aram obiecał nam mężczyznę — rzekł inny i słysząc to Conan też coś w duchu obiecał Aramowi.

— Aram dotrzymuje słowa — powiedział trzeci. — Wielu ludzi złapaliśmy w jego gospodzie. Jednak dobrze mu za to płacimy. Sam dałem mu dziesięć bel jedwabiu, które ukradłem mojemu panu. Na Seta,

to był naprawdę dobry jedwab!

Czarni przeszli obok wzbijając kurz bosymi nogami i po chwili ich głosy ucichły w oddali.

— Dobrze, że tamte trupy leżą między chatami — mruknął Cymeryjczyk. — A jeśli zajrzą do tej komnaty śmierci w domu Arama, to znajdą jeszcze jednego. Chodźmy stąd.

— Tak, chodźmy! — prosiła dziewczyna, znów bliska hysterii. — Mój kochanek chodzi sam po ulicach. Może wpaść w ich ręce.

— Co za diabelskie zwyczaje! — warknął Cymeryjczyk prowadząc ją w kierunku miasta.

Szli wzdłuż ulicy, ale trzymali się w cieniu chat i drzew palmowych. — Czemu mieszkańcy pozwalają na to tym czarnym psom?

— Niewolnicy są kosztowni — odparła dziewczyna. — Jest ich tak wielu, że mogliby wzniecić bunt, gdyby pozbawiono ich ludzkiego mięsa. Lud Zambouli wie, że oni grasują nocami po ulicach i nikt po zmroku nie wychodzi z domu, chyba że wydarzy się coś nieprzewidzianego, tak jak mnie. Czarni nie przebierają, ale zazwyczaj łapią tylko obcych.

Mieszkańców Zambouli nic nie obchodzi los obcych, którzy przybywają do miasta, a tacy jak Aram Baksh sprzedają ich ludożercom. Nie ośmieliły się zrobić czegoś takiego z obywatelem Zambouli.

Cymeryjczyk splunął z pogardą. Po chwili wyszedł ze swoją towarzyszką na drogę, a właściwie już ulicę, po obu stronach której wznosiły się domy o ciemnych oknach.

Przemykanie chyłkiem nie leżało w naturze barbarzyńcy.

— Dokąd chcesz iść? — spytał.

Dziewczyna nadal nie zważała na to, że ją obejmował.

— Do mojego domu, zbudzić służbę — odparła. — Każę im szukać kochanka. Nie chcę, by ludzie... kapłani... żeby ktokolwiek wiedział o jego szaleństwie. On... on jest młodym oficerem z obiecującą przyszłością. Może uda się wypędzić z niego to szaleństwo, jeżeli zdołamy go odnaleźć.

— Zdołamy? — mruknął Conan. — Czemu sądzisz, że zamierzam spędzić noc na szukaniu jakiegoś wariata?

Dziewczyna obrzuciła go szybkim spojrzeniem i właściwie zinterpretowała błysk w niebieskich oczach. Każda kobieta poznałaby, że ten mężczyzna pójdzie za nią wszędzie — przynajmniej przez jakiś czas. Jednak będąc prawdziwą kobietą, nie zdradziła, że o tym wie.

— Proszę — zaczęła trochę płaczliwym głosem. — Nie mam nikogo, kogo mogłabym prosić o pomoc... Byłeś taki dobry...

— W porządku! — rzekł. — W porządku! Jak ma na imię ten młody rozpustnik?

— Aaa... Alafdhal. Ja jestem Zabibi, tancerka. Często tańczyłam dla satrapy, Jungira Chana i jego kochanki, Nafertari oraz dla wszystkich panów i pań Zambouli. Totrasmek pożądał mnie, a ponieważ go odepchnęłam, uczynił mnie mimowolnym narzędziem swojej zemsty na Alafdhalu. Nie domyślając się głębi jego nienawiści i przebiegłości poprosiłam go o napój miłosny. Dał mi proszek, który miałam wsypać Alafdhalowi do wina i przysiągł, że kiedy mój kochanek to wypije, będzie mnie kochał jeszcze bardziej szaleńczo niż dotychczas i spełni każde moje życzenie. Ukradkiem dosypałam proszek do wina, ale mój kochanek zupełnie zwariował, kiedy to wypił i wszystko skończyło się tak, jak mówiłam. Niech diabli porwą Totrasmeka, tego podstępного gada... och!

Dziewczyna stanęła jak wryta i kurczowo złapała Conana za ramię.

Dotarli już do dzielnicy sklepów i straganów, pustych i ciemnych o tak późnej porze.

Właśnie mijali boczną uliczkę, u wylotu której stał jakiś człowiek, nieruchomy i milczący.

Głowę miał opuszczoną na piersi, ale Conan dostrzegł błysk upiornie jarzących się oczu, patrzących na nich bez mrugnięcia. Dreszcz przebiegł barbarzyńcy po plecach, nie z obawy przed mieczem w dłoni nieznanego, lecz na widok jego konwulsyjnie wykrzywionej twarzy, sugerującej utratę zmysłów.

Cymeryjczyk odsunął dziewczynę i sięgnął po miecz.

— Na Seta, nie zabijaj go! — błagała. — Nie zabijaj! Jesteś taki silny — ogłusz go!

— Zobaczę — mruknął ściskając w prawej dłoni miecz, a lewą zaciskając w pięść wielkości bochenka chleba.

Zrobił krok w kierunku Turańczyka, który natychmiast rzucił się na niego. Tocząc pianę z ust i śmiejąc się obłąkańczo zadał potężny cios, napierając całym ciężarem ciała. Trysnął snop błękitnych iskier; Conan odparował cios i szalenie legł bez czucia na ziemi rozciągnięty piorunującym uderzeniem jego pięści.

Dziewczyna podbiegła do leżącego.

— Och, chyba go nie...

Cymeryjczyk nachylił się, odwrócił mężczyznę na plecy i wprawnie obmacał.

— Nic mu nie będzie — orzekł. — Trochę krwawi z nosa, ale to może się zdarzyć każdemu, kto dostanie w szczękę. Niedługo przyjdzie do siebie i może nawet odzyska zmysły. Tymczasem lepiej zwiążę mu ręce — o, tak. Gdzie mam go teraz zanieść?

— Czeka!

Dziewczyna uklękła przy nieprzytomnym, złapała go za ręce i obejrzała je uważnie.

Później wstała i potrząsnęła z rozczarowaniem głową. Podeszła do gigantycznego Cymeryjczyka i położyła smukłe dłonie na jego potężnej piersi. Spojrzała nań prosząco czarnymi oczami, błyszczącymi w świetle gwiazd jak dwa diamenty.

— Jesteś taki dzielny! Pomóż mi! Totrasmek musi umrzeć! Zabij go!

— Mam włożyć głowę w pętlę turańskiego powroza?

— Wcale nie! — smukłe dłonie mocno objęły jego szyję. Gibkie ciało ocierało się kusząco o jego tors. — Hyrkańczycy nie kochają Totrasmeka, a kapłani Seta boją się go. To demon, rządzący strachem i przesądami. Ja oddaję cześć Setowi, a Turańczycy kłaniają się Erlikowi, ale Totrasmek składa ofiary przekłętemu Hanumanowi! Turańscy panowie obawiają się jego czarów i władzy, jaką ma nad wielojęzycznym społeczeństwem. Nawet Jungir Chan i jego kochanka Nafertari boją się go i nienawidzą. Jeśli ktoś go zabije, nie będą zbyt gorliwie szukać zabójcy.

— A jego czary? — burkliwie spytał Cymeryjczyk.

— Jesteś żołnierzem — odparła. — Ryzykowanie życiem to twój zawód.

— Tak, ale za opłatą — rzekł.

— Otrzymasz zapłatę! — powiedziała podnosząc się na palcach i zaglądając mu w oczy.

Bliskość jej jędrnego ciała sprawiała, że Cymeryjczykowi krew żywiej krążyła w żyłach.

Jej różany oddech uderzał mu do głowy. Gdy jednak chciał ją wziąć w ramiona, wywinęła mu się zwinnie, mówiąc:

— Zaczekaj! Najpierw wyświadczyć mi tę przysługę. Powiedz, czego żądasz — wykrztusił.

Podnieś mego kochanka — nakazała.

Barbarzyńca pochylił się i bez trudu zarzucił sobie nieprzytomnego na plecy. W tej chwili wydawało mu się, że z taką samą łatwością mógłby zburzyć pałac Jungir Chana. Dziewczyna mruzczała coś pocieszającego do Alafdhala i w zachowaniu jej nie było cienia hipokryzji.

Najwidoczniej bardzo go kochała. Umowa, jaką zawarła z Conanem, nie miała żadnego wpływu na jej uczucia. Kobiety w tych sprawach są bardziej praktyczne od mężczyzn.

— Chodź za mną!

Spiesznie ruszyła ulicą, a Cymeryjczyk raźnie pomaszerował I za nią, zupełnie nie odczuwając ciężaru bezwładnego ciała. Raz po raz czujnie spoglądał na skryte w gęstym mroku zaułki i przejścia, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Niewątpliwie wszyscy ludożercy zebrali się już przy jamie. Po chwili Zabibi skręciła w wąską, boczną uliczkę i zapukała lekko w łukowate drzwi.

Niemal natychmiast w drzwiach uchyliło się okienko, a w nim pojawiła się czarna twarz.

Dziewczyna nachyliła się do okienka, szepcząc coś niezrozumiale. Zgrzytnęły rygle i drzwi otworzyły się, ukazując olbrzymiego niewolnika obramowanego łagodnym blaskiem palących się w głębi, mosiężnych lamp. Jeden rzut oka pozwolił Conanowi stwierdzić, że czarny nie był Darfarczykiem. Nie miał spiłowanych zębów, a jego kręcone włosy były ścięte tuż przy skórze. Niewątpliwie należał do szczepu Wadai.

Na polecenie Zabibi Conan przekazał bezwładne ciało w ramiona sługi, który położył młodego oficera na aksamitnym pościeliu. Żołnierz nie odzyskał przytomności; cios, który go powalił, mógłby ogłuszyć słonia. Dziewczyna stała nad nim przez chwilę, nerwowo wyłamując sobie palce. Później odwróciła się i gestem pokazała Cymeryjczykowi, żeby szedł za nią.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie, szcęknięły rygle i Conan z dziewczyną znów znaleźli się na oświetlonej blaskiem gwiazd ulicy. Zabibi wzięła barbarzyńcę za rękę. Drżała.

— Nie zawiedziesz mnie?

Potrząsnął gęstą grzywą czarnych włosów.

— A więc chodź ze mną do świątyni Hanumana i niech bogowie zlitują się nad naszymi duszami!

Jak dwie zjawy przemykali przez uśpione ulice. Szli w milczeniu. Dziewczyna pewnie myślała o swoim kochanku, leżącym bez czucia na miękkim pościeliu, a może o tym, co ich czeka w cieszącej się złą sławą świątyni Hanumana. Barbarzyńca myślał tylko o kobiecie, która tak zwinnie kroczyła u jego boku. W nozdrzach miał jeszcze zapach jej perfumowanych włosów, a zmysłowa aura, jaką wokół siebie roztaczała, uderzała mu do głowy i nie zostawiała miejsca na inne myśli.

Raz usłyszeli szcęk podkutych obcasów i skryli się w cieniu arkad przed okiem przechodzącej straży. Piętnastu Pelishtich przemaszerowało w zwartym szyku, z nastawionymi pikami, a idący na końcu zawiesili swe szerokie, spiżowe tarcze na plecach, chroniąc się przed niespodziewanym ciosem w plecy. Nawet ci uzbrojeni strażnicy obawiali się napadu czarnych ludożerców.

Gdy stuk ich sandałów ucichł w oddali, Conan i Zabibi wyszli z ukrycia i poszli dalej. Po dłuższej chwili ujrzeni przed sobą niezgrabną budowlę o płaskim dachu.

Świątynia Hanumana wznosiła się na środku rozległego placu, cichego i opuszczonego o tak późnej porze. Plac był otoczony marmurowym murem, a szeroka brama znajdowała się na wprost portyku. Conan daremnie szukał wzrokiem drzwi czy krat.

Czemu czarni nie polują tutaj? — mruknął. — Nie ma tu niczego, co mogłoby ich powstrzymać.

Poczuł, jak przyciśnięta do niego dziewczyna drży ze strachu.

Tak jak wszyscy w Zambouli, boją się Totrasmeka — odparła. — Nawet satrapa i jego kochanka obawiają się arcykapłana. Chodź! Chodźmy tam, zanim opuści mnie odwaga!

Dziewczyna najwyraźniej w świecie okropnie się bała, ale nie zmieniła postanowienia.

Conan wyciągnął miecz z pochwy i pomaszerował za nią przez szerokie przejście. Znał odrażające praktyki kapłanów Wschodu i zdawał sobie sprawę z tego, że intruz w świątyni Hanumana mógł się spodziewać najgorszego. Wiedział, że łatwo może się tak zdarzyć, że ani on, ani dziewczyna nie wyjdą żywi ze świątyni, ale zbyt często ryzykował życie, żeby się nad tym zastanawiać.

Wkroczyli na dziedziniec wybrukowany błyszczącym w świetle księżyca marmurem.

Krótkie, szerokie stopnie prowadziły do portyku obramowanego potężnymi kolumnami, między którymi wielkie, spiżowe wrota stały otworem w odwiecznej zachęcie. Jednak nie tłoczyli się tu wierni pałacy kadzidła. Nawet w dzień ludzie lękliwie zachodzili do świątyni, by złożyć ofiarę człekokształtnemu bóstwu siedzącemu na czarnym ołtarzu. W nocy omijali przybytek Hanumana, jak króliki omijają gniazdo żmij.

Płonące znicze oblewały wewnątrz miękkim, niesamowitym blaskiem, nadającym wszystkiemu posmak, nierealności. Pod ścianą, na ołtarzu z czarnego kamienia siedział bożek wbijając spojrzenie w otwarte drzwi, którymi przez wieki przyprowadzano mu ofiary. Od progu do ołtarza biegło płytkie wgłębienie i Conan pospiesznie cofnął nogę, kiedy poczuł je pod stopą. To wgłębienie wydeptały słabnące stopy niezliczonych ofiar, które umarły na tym ponurym ołtarzu.

W niepewnym świetle zwierzęce rysy bożka zdawał się wykrzywiać szyderczy grymas.

Hanuman siedział, nie przykucnięty jak goryl, lecz jak człowiek, ze skrzyżowanymi nogami, jednak wcale przez to nie był mniej podobny do małpy. Posąg wyrzeźbiono z czarnego marmuru, ale w miejsce oczu osadzono dwa rubiny, jarzące się czerwono i złowrogo niczym ognie z najgłębszych otchłani piekieł. Wielkie łapska bożka były złożone na podołku, spodem ku górze, a szponiaste palce rozcapierzone i zgięte. W groteskowo wyolbrzymionych atrybutach męskości i szyderczym uśmiechu wykrzywiającym zwierzęce rysy odzwierciedlał się obrzydliwy sens zdegenerowanego kultu, którego obiektem był bożek.

Zmierzając w kierunku tylnej ściany dziewczyna przeszła obok posągu i kiedy otarła się o jego kamienne kolano, odskoczyła gwałtownie, jakby dotknęła węża. Kilka stóp za szerokimi plecami bożka wznosiła się marmurowa ściana ozdobiona fryzem ze złotych liści. W obu jej rogach widniały drzwi wykładane kością słoniową.

— Te drzwi prowadzą do korytarza w kształcie podkowy — rzekła Zabibi. — Raz byłam w środku... raz!

Wzdrygnęła się i skuliła ramiona, przypominając sobie tę okropną i budzącą obrzydzenie wizytę.

— Korytarz ma kształt łuku, którego końce wychodzą przez te drzwi. Komnaty Totrasmeka mieszczą się w jego zagięciu. W tej ścianie jest ukryte przejście wiodące prosto do jednego z pokoi...

To mówiąc zaczęła wodzić rękami po gładkiej powierzchni, na której nie było śladu żadnej szczeliny czy pęknięcia. Conan stał przy niej z mieczem w ręku, czujnie rozglądając się na boki. Cisza i pustka świątyni oraz wyobraźnia podpowiadająca mu, co mogło się znajdować za tą ścianą, sprawiły, że czuł się jak dziki zwierz instynktownie wyczuwający pułapkę.

— Ach! — dziewczyna w końcu znalazła sprężynę i w murze pojawił się prostokątny otwór. — Na Seta! — zakrzyknęła z triumfem.

Conan skoczył ku niej, lecz w tej samej chwili z otworu wyłoniło się wielkie, sękatę łapsko i chwyciło tancerkę za włosy. Gwałtownie szarpnięta dziewczyna wpadła głową naprzód w dziurę. Conan bezskutecznie usiłował ją złapać: palce ześliznęły mu się z jej nagiego ramienia i w następnej chwili stał sam przed gładką jak przedtem ścianą. Zza muru dobiegały go stłumione odgłosy szamotaniny, słaby krzyk i złowrogi śmiech, na dźwięk którego Cymeryjczykowi krew zastygła w żyłach.

3. SŁUGA KAPŁANA

Conan zaklął i ze straszliwą siłą uderzył rękojeścią miecza w mur, aż czarny marmur pękł i ukruszył się. Jednak ukryte drzwi nie ustępowały pod ciosami i rozsądek podpowiedział barbarzyńcy, że niewątpliwie zaryglowano je od wewnątrz. Odwrócił się i podbiegł do drzwi w rogu świątyni. Podniósł miecz, aby je rozbić, ale najpierw pchnął je lewą ręką. Otworzyły się bez oporu, ukazując długi korytarz oświetlony migotliwym blaskiem kaganków i niknący w oddali.

Po wewnętrznej stronie drzwi dostrzegł gruby, złoty rygiel i dotknął go lekko końcami palców. Słabe ciepło metalowej sztaby mógł wyczuć tylko człowiek o nadzwyczaj wyostrzonych zmysłach — ale Conanowi nie sprawiło to trudności. Pojął, że ktoś dotykał czy odsuwał tę zasuwę — przed kilkoma sekundami. Wszystko wskazywało na to, że Totrasmek natychmiast się dowie o wizycie nieproszonych gości.

Jeżeli wejdzie do środka, to z pewnością wpadnie w zasadzkę zastawioną przez arcykapłana. Jednak Conan nie wahał się. Gdzieś w tym mrocznym wnętrzu była Zabibi, a sądząc po tym, co słyszał o kapłanach Hanumana, był pewny, że dziewczyna potrzebowała pomocy. Cicho jak kot przeszedł przez próg, gotowy w każdej chwili odeprzeć atak.

Po lewej stronie korytarza ciągnął się szereg łukowatych drzwi. Barbarzyńca próbował je otworzyć — wszystkie były zamknięte. Przeszedł może trzydzieści kroków, gdy korytarz ostro zakręcił w lewo tworząc łuk, o którym mówiła dziewczyna. Zaraz za zakrętem Cymeryjczyk znalazł drzwi, które ustąpiły pod pchnięciem ręki.

Ostrożnie zajrzał do obszernej, prostokątnej komnaty, nieco lepiej oświetlonej niż korytarz.

Jej ściany były z białego marmuru, podłoga z kości słoniowej, a sufit z czernionego srebra. Tu i tam stały otomany obite grubą satyną, inkrustowane złotem stołki z kości słoniowej i owalne stoły z jakiegoś materiału przypominającego metal. Na jednej z otoman leżał człowiek twarzą zwrócony ku drzwiom. Zaśmiał się, widząc zdumienie na twarzy Cymeryjczyka.

Mężczyzna był odziany tylko w przepaskę biodrową i sandały. Miał brązową skórę, krótko obcięte, czarne włosy i bystre oczy szeroko osadzone w twarzy o aroganckim wyrazie. Był niezwykle wysoki i szeroki w barach, a potężne mięśnie torsu i ramion zdawały się rozsadzać ciemną skórę. Miał największe dłonie, jakie Conan widział w życiu i sprawiał wrażenie człowieka głęboko przekonanego o własnej sile.

— Dlaczego nie wchodzisz, barbarzyńco? — zawołał drwiąco, czyniąc zapraszający gest.

W oczach Conana pojawił się złowrogi błysk, ale wszedł do komnaty, trzymając w pogotowiu obnażony miecz.

— Kim jesteś, do diabła? — warknął.

— Jestem Baal — pteor — odparł tamten. Kiedyś, dawno temu i daleko stąd, nosiłem inne imię. Jednak to też jest dobre. Każda świątynna dziewczka może ci powiedzieć, dlaczego Totrasmek mnie tak nazwał.

— A więc jesteś jego psem! — mruknął Cymeryjczyk. — No, Baal — pteorze, powiedz mi, gdzie jest dziewczyna, którą wciągnąłeś przez sekretne drzwi?

— Mój pan się nią zajmuje! — roześmiał się Baal — pteor. — Posłuchaj!

Zza drzwi znajdujących się po przeciwnej stronie komnaty dobiegł kobiecy krzyk, słaby i przytłumiony.

— Niech cię diabli! — rzekł Conan ruszając do drzwi, lecz zaraz stanął jak wryty. Baal — pteor śmiał się z niego śmiechem, w którym rozbrzmiewała niewypowiedziana groźba.

Barbarzyńcy włosy stały dęba na głowie, a przed oczami zawirowały czerwone płatki.

Skoczył ku Baal — pteorowi podnosząc miecz do ciosu, lecz tamten szybkim ruchem rzucił w niego błyszczącą, kryształową kulą, lśniąca w upiornym świetle lamp.

Conan uchylił się instynktownie, lecz pocisk w przedziwny sposób zatrzymał się w powietrzu o kilka centymetrów od jego twarzy i zawisł nieruchomo, jak na niewidzialnej nitce. Kula zaczęła wirować przed oczami zdumionego barbarzyńcy, niknąc, rozszerzając się, zmieniając w mglisty opar. Gęsty obłok wypełnił komnatę i spowił Cymeryjczyka, zakrył meble, ściany i uśmiechnięte oblicze Baal — pteora. Barbarzyńca

zniknął w oślepiająco błękitnym, oszałamiająco szybko kręcącym się wirze. Straszliwy wicher szarpnął nim i przygiął ku ziemi, usiłując zbić z nóg i wciągnąć w szaleńczo wirujący lej.

Ze zduszonym okrzykiem Cymeryjczyk odskoczył w tył i oparł się plecami o ścianę.

Dotknąwszy czegoś materialnego pozbył się iluzji. Wirująca, gigantyczna kula zniknęła jak rozpryskująca się bańka. Conan wyprostował się chwiejnie. Stał w pokoju o srebrnym suficie, stopy spowijała mu szara mgła, a Baal — pteor skręcał się na swym łożu, wstrząsany cichym śmiechem.

— Ty psie! — syknął Conan i rzucił się na niego.

Jednak w tej samej chwili mgła podniosła się z podłogi, kryjąc brązowoskórego olbrzyma.

Macając na oślepie w spowijającej go chmurze, Cymeryjczyk doznał wstrząsającego uczucia zagubienia — wszystko zniknęło. Nagle stał wśród wysokich, bagiennych trzcin, a ogromny bawół pędził nań z pochylonym łbem. Cymeryjczyk uskoczył, unikając ciosu wygiętych jak szable rogów i wbił miecz tuż za łopatką, przebijając żebra i serce. Wtedy okazało się, że to nie bawół zdycha w błocie, lecz brązowoskóry Baal — pteor. Conan zaklął i odciął mu głowę, lecz ta odbiła się od ziemi jak piłka i chwyciła go za gardło ostrymi zębami. Mimo swej ogromnej siły nie mógł jej oderwać — dławił się, dusił... Nagle usłyszał ryk dartego powietrza, poczuł, że spada, leci... Poczuł wstrząs uderzenia i z powrotem był w komnacie z Baal — pteorem, który nadal miał głowę na ramionach i śmiał się z niego szyderczo.

— Sztuczki! — mruknął Cymeryjczyk szykując się do skoku i mocno wpierając stopy w marmurową posadzkę. W oczach pojawił mu się wściekły błysk. Ten pies igrał z nim, drwił z niego! Jednak wszystkie te sztuczki, dziecinne gierki z mgłą i złudzeniami nie mogły wyrządzić mu krzywdy i odwieść od celu. Wystarczy tylko skoczyć i uderzyć, a brązowoskóry akolita stanie się skrwawionym, bezgłowym trupem. Tym razem barbarzyńca nie da się zwieść iluzji...

Jednak wbrew temu postanowieniu okręcił się na pięcie, słysząc za plecami mrozący krew w żyłach pomruk i błyskawicznie rąbnął ostrzem w łeb czarnej pantery, czającej się na owalnym stole. Zwierzę zniknęło i klinga z ogłuszającym trzaskiem uderzyła w matową powierzchnię.

Conan natychmiast poczuł coś dziwnego. Ostrze przywarło do stołu! Szarpnął wściekle. Nie oderwało się. To nie było złudzenie. Stół był ogromnym magnesem.

Barbarzyńca chwycił oburącz rękojeść, lecz zaraz odwrócił się słysząc szmer kroków — Baal — pteor w końcu podniósł się z otomany.

Nieco wyższy od Conana i o wiele tęższy, Baal — pteor stał nad nim niczym góra mięśni.. Lekko odchylił od ciała nienaturalnie długie ręce, a jego wielkie dłonie otwierały się i zaciskały bezwiednie. Conan puścił miecz i stanął twarzą do przeciwnika w milczeniu, patrząc nań spod zmrużonych powiek.

— Zabiję cię, Cymeryjczyku! — rzekł z szyderstwem w głosie Baal — pteor. — Skręcę ci kark gołymi rękami, tak jak ukręca się łeb kurczęciu! W taki sposób Kosalańczycy składają ofiary Yajurowi. Stoi przed tobą dusiciel z Yota — pongu, barbarzyńco. Już w dzieciństwie zostałem wybrany przez kapłanów Yajura i od dziecka przez wiek chłopięcy i młodość ćwiczono mnie w sztuce zabijania gołymi rękami — bo w taki sposób składa się ofiary. Yajur kocha krew i nie wolno jej marnować. Kiedy byłem dzieckiem dawali mi niemowlęta; kiedy byłem chłopcem, dusiłem młode dziewczyny; jako młodzieniec dusiłem starców, kobiety i młodych chłopców. Dopiero gdy osiągnąłem wiek męski, dano mi pierwszego mężczyznę, abym go zabił na ołtarzu Yota — pongu. Przez całe lata składałem ofiary, setki karków skręciłem tymi palcami! — rzekł, podsuwając ręce pod nos Cymeryjczyka.

— Nieważne, dlaczego uciekłem z Yota — pongu i zostałem sługą Totrasmeka. Za chwilę nic już nie będzie dla ciebie ważne. Kapłani Yajura, dusiciele z Kosali są silni nad ludzkie wyobrażenie, a ja byłem wśród nich najsilniejszy. Tymi rękami, barbarzyńco, skręcę ci kark!

Przy tych słowach błyskawicznie złapał Conana za szyję i ścisnął. Cymeryjczyk nie próbował się uchylić czy odtrącić dłoni napastnika, lecz także ucapił przeciwnika za byczy kark. Czarne oczy Baal — pteora rozszerzyły się ze zdumienia, gdy poczuł pod palcami grube postronki mięśni chroniące szyję barbarzyńcy. Z głuchym pomrukiem zacisnął dłonie i węzły potwornych mięśni naprężyły się na jego sękatych ramionach. Jednak w tejże chwili z jego ust wydobył się zduszony okrzyk, bo Cymeryjczyk zrewanżował mu się równie silnym uściskiem. Przez chwilę stali bez ruchu jak dwa posągi, z twarzami wykrzywionymi z

wysiłku i żyłami nabrzmiewającymi na skroniach. Wargi Conana wykrzywił szyderczy grymas. Baal — pteorowi oczy wyszły z orbit, pojawiło się w nich niebotyczne zdziwienie pomieszane ze strachem. Obaj stali nieruchomo — tylko mięśnie ich ramion i szeroko rozstawionych nóg dygotały lekko — sczepieni w śmiertelnych zmaganiach przekraczających ludzkie wyobrażenie; było to zmaganie sił mogących wyrwać drzewa z korzeniami i kruszyć czaszki stepowych bawołów.

Nagle Baal — pteor ze świstem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Twarz mu posiniała, a w oczach pojawił się strach. Wydawało się, że lada chwila pękną mu nabrzmiałe żyły na ramionach i skroniach. Daremnie z całej siły zaciskał dłonie; mięśnie, które chroniły gruby kark Conana, były jak stalowe liny, a palce barbarzyńcy coraz mocniej wpijały się w gardło przeciwnika, gniotąc arterię i krtań. Posągowy bezruch walczących zmienił się w gwałtowną, rozpaczliwą szamotaninę, gdy Baal — pteor zaczął się szarpać i cofać, próbując wyrwać się z uścisku. Puścił szyję Cymeryjczyka i złapał go za nadgarstki, chcąc oderwać bezlitosne palce od swojego gardła.

Conan gwałtownym pchnięciem przycisnął go do krawędzi stołu opierając plecami o twarde kant, tak że kręgosłup Baal — pteora zdawał się pękać.

Cymeryjczyk zaśmiał się drwiąco.

— Głupcze! — syknął. — Chyba nigdy przedtem nie spotkałeś człowieka z Zachodu.

Uważasz się za silnego, ponieważ potrafisz zabijać cywilizowanych ludzi, biednych słabeuszy o mięśniach jak przegniłe nitki? Skręć kark dzikiemu cymeryjskiemu bykowi, zanim nazwiesz się silnym. Ja robiłem to, zanim stałem się dorosłym mężczyzną... o tak!

I gwałtownym skrętem wykręcił głowę Baal — pteora w tył, tak że kręgi szyi trzasnęły jak spróchniała gałąź.

Conan z pogardą puścił trupa pozwalając mu opaść na podłogę, po czym jeszcze raz chwycił rękojeść swego miecza i mocno zaparł się nogami o blat stołu. Krew spływała mu na piersi z zadrapań, jakie pozostawiły mu na szyi paznokcie Baal — pteora. Pot zlepił mu czarną grzywę i perlił się na czole. Cymeryjczyk ciężko dyszał. Mimo że tak pogardliwie mówił o sile Baal — pteora, w osobie nieludzkiego

Kosalańczyka napotkał niemal równego sobie przeciwnika. Jednak nie tracąc czasu na rozważania i odpoczynek z całych sił szarpnął rękojeść miecza i oderwał go od magnesu.

Po chwili pchnął drzwi, zza których wcześniej dobiegł krzyk dziewczyny. Przeszedł przez nie i znalazł się w kolejnym korytarzu, długim i prostym, którego przeciwny koniec zasłaniała gruba, aksamitna kotara. Stamtąd nadlatywały dźwięki niesamowitej muzyki, jakby wziętej z koszmarnego snu. Barbarzyńcy dreszcz przebiegł po plecach. Przez muzykę przebijało się histeryczne, jęśliwe dyszenie. Mocno ścisnąwszy miecz Conan cicho ruszył korytarzem.

4. TAŃCZ, DZIEWCZYNO, TAŃCZ!

Kiedy Zabibi została wciągnięta w otwór, który pojawił się w ścianie świątyni, w jej przerażonym umyśle tłukła się tylko jedna myśl: że wybiła jej godzina. Instynktownie zamknęła oczy i czekała na cios. Jednak zamiast tego poczuła, że bezceremonialnie rzucono ją na podłogę, boleśnie objając kolana i biodro. Otworzyłszy oczy rozejrzała się lekliwie wokół.

Zza ściany dochodził stłumiony łoskot uderzeń. Zobaczyła stojącego obok brązowoskórego giganta w przepasce na biodrach, a po drugiej stronie komnaty, do której ją przeniesiono, innego mężczyznę siedzącego na otomanie — grubego, tłustego człowiczka o pulchnych dłoniach i bazyliżkowym spojrzeniu. Dziewczynie ciarki przebiegły po skórze: mężczyzną tym był Totrasmek, kapłan Hanumana, który od lat oplatał Zamboulę pajęczymi nitkami swych intryg...

— Barbarzyńca usiłuje rozwalić mur — rzekł z sardonicznym uśmiechem — ale rygiel wytrzyma.

Dziewczyna zobaczyła, że sekretne drzwi — dobrze widoczne po tej stronie — zamknięto grubą, złoconą sztabą. Ta zasuwa wytrzymałaby szarżę słońca.

— Idź i otwórz mu drzwi, Baal — pteorze — rozkazał Totrasmek. — Zabij go w prostokątnej komnacie na drugim końcu korytarza.

Kosalańczyk pokłonił się nisko i wyszedł bocznymi drzwiami. Zabibi podniosła się i z lękiem spojrzała na kapłana, który mierzył ją pożądlivym spojrzeniem. Niewiele ją to obeszło. Jako zamboulańska tancerka była przyzwyczajona do własnej nagości. Jednak wyzierające z jego oczu okrucieństwo sprawiło, że zaczęła dygotać.

— Znów przysłaś mnie odwiedzić w mojej samotni, moja piękna — zamruczał z cyniczną hipokryzją. — To niespodziewany zaszczyt. Wyglądało, że niezbyt dobrze bawiłaś się tu podczas poprzedniej wizyty, tak że nie ośmieliłem się żywić nadziei, iż zechcesz ją powtórzyć. Jednak zrobiłem, co mogłem, żeby cię zabawić.

Zamboulańskie tancerki nie rumieniają się, ale w szeroko otwartych

oczach Zabibi pojawił się błysk wściekłości pomieszanej z obawą.

— Tłusta świnio! Wiesz dobrze, że nie przyszedłam tu z miłości do ciebie.

— Nie — zaśmiał się Totrasmek — przyszedłaś tu jak złodziej, skradając się w ciemnościach i przyprowadziłaś głupiego barbarzyńcę, żeby poderżnąć mi gardło. Dlaczego nastajesz na moje życie?

— Wiesz, dlaczego! — krzyknęła, wiedząc, że nie ma sensu zaprzeczać.

— To z powodu twojego kochanka — roześmiał się kapłan. — Fakt, iż przyszedłaś tu dybiąc na moje życie, wskazuje na to, że połknął lekarstwo, które ci dałem. No, czyż nie prosiłaś o nie? I czy nie dałem ci tego, o co prosiłaś, z miłości jaką do ciebie żywię?

— Prosiłam cię o środek, po którym miał spać przez parę godzin — odparła z goryczą. — A ty... ty przyszedłeś przez swego sługę coś, po czym zupełnie oszalał! Byłam głupia, że ci zawierzyłam. Mogłam się domyślić, że twoje deklaracje przyjaźni to kłamstwa, za którymi kryje się złość i nienawiść.

— A dlaczego chciałaś, żeby twój kochanek zasnął? — odparł arcykapłan. — Ponieważ zamierzałaś ukraść mu jedyną rzecz, jakiej nigdy by ci nie dał — pierścionek z klejnotem zwanym Gwiazdą Khorali, skradziony królowej Ophiru, która oddałaby zań wszystkie swe skarby. Nie dałby ci go dobrowolnie, ponieważ wiedział, że w tym pierścieniu kryje się magiczna moc, która — jeśli się nią umiejętnie posłużyć — zapewnia miłość dowolnej osoby przeciwnej płci. Chciałaś go ukraść, bo obawiałaś się, że jego czarownicy odkryją sekret i twój kochanek zapomni o tobie w ramionach księżniczek i królowych wszystkich krajów.

Zamierzałaś sprzedać pierścień władczyni Ophiru, która zna jego sekret i która użyłaby go, żeby uczynić mnie swoim niewolnikiem, tak jak to zrobiła, zanim ktoś go jej ukradł.

— A dlaczego ty chcesz mieć pierścień? — spytała ponuro.

— Ja rozumiem jego moc. Dzięki niemu stałbym się potężniejszy.

— No — warknęła — to teraz go masz!

— Ja mam Gwiazdę Khorali? Nie, mylisz się.

— Po co kłamać? — rzekła z goryczą. — Miał go na palcu, kiedy wygnał mnie na ulicę.

Kiedy go odnalazłam, już go nie miał. Z pewnością twój sługa obserwował dom i zabrał pierścień, kiedy uciekłam. Do diabła z nim! Chcę, żeby mój kochanek był znów cały i

zdrowy. Masz pierścień; ukarałeś nas oboje. Dlaczego nie sprawisz, żeby wrócił mu rozum?

Możesz tego dokonać?

— Mógłbym — zapewnił, wyraźnie ciesząc się jej przygnębieniem. Z fałdów togi wydobył mały flakonik. — Oto sok złotego lotosu. Jeśli twój kochanek wypije go, odzyska zdrowe zmysły. Tak, będę litościwy. Oboje drwiliście ze mnie i krzyżowaliście mi plany, nie raz, lecz wiele razy. On zawsze stawał mi na drodze. Chodź i weź ode mnie flakonik.

Dziewczyna spoglądała na Totrasmeka, trzęsąc się z niecierpliwości, pragnąc jak najprędzej chwycić flakonik w swoje ręce, lecz obawiając się, że to tylko okrutny żart.

Podeszła nieśmiało i wyciągnęła rękę, ale kapłan roześmiał się drwiąco i cofnął dłoń. Otworzyła usta, żeby go przekląć, gdy instynkt kazał jej spojrzeć w górę. Ze złoconego sufitu opadły cztery nefrytowe wazy. Odskoczyła, ale naczynia nie uderzyły jej. Z trzaskiem spadły na posadzkę, tworząc naroża kwadratu. Zabibi wrzasnęła przeraźliwie, bo z każdej skorupy wyłonił się szeroki łeb kobry; najbliższa skoczyła ku jej nagiej nodze. Rozpaczliwy skok, którym uniknęła ukąszenia, przywiódł dziewczynę w zasięg kłów kolejnej żmii i ponownie musiała błyskawicznie odskoczyć, żeby znów znaleźć się bliżej innego gada. Totrasmek złapał ją w pułapkę. Wszystkie cztery żmije kołysały się i kąsały, mierząc w stopy, łydki, kolana, uda lub biodra, w każdą część jej kształtnego ciała, jaka znalazła się w ich zasięgu i w żaden sposób nie mogła ich ominąć ani przeskoczyć, żeby umknąć w bezpieczne miejsce. Mogła tylko uchylać się i odskakiwać, wykręcając ciało tak, by uniknąć ukąszeń i za każdym razem, gdy umykała jednemu gadowi, przysuwała się niebezpiecznie blisko innego, tak że musiała natychmiast uskakiwać z szybkością błyskawicy. Miała bardzo niewiele przestrzeni i zakapturzone głowy kobr nieustannie jej zagrażały. Tylko zamboulańska tancerka mogła przeżyć w tym straszliwym kwadracie śmierci.

Poruszała się z oszałamiającą szybkością i ociekające jadem kły chybiały — o włos, ale chybiały, przegrywając w pojedynku z jej śmigłymi stopami, pewnymi nogami i wspaniałym refleksem, jakiemu

nie mogły sprostać demony wyczarowane z powietrza przez jej nieprzyjaciela.

Gdzieś rozległa się cicha, skowycząca muzyka, zmieszana z sykiem żmij, złowieszcza jak nocny wiatr wiejący wśród stosów czaszek i piszczeli. Mimo że dziewczyna była zmuszona całą swą uwagę zwrócić na atakujące gady, zdawała sobie sprawę, że ich ataki przestały być przypadkowe. Kobry dostosowały się do ponurego rytmu upiornej melodii. Uderzały z miarową regularnością, zmuszając ją do dostosowania się do rytmu niesamowitej melodii.

Chaotyczne ruchy Zabibi zmieniły się w regularny, koszmarny taniec, przy którym najbardziej wyuzdane płasy zdawały się czymś skromnym i normalnym. Oszalała ze wstydu i przerażenia dziewczyna usłyszała rozbawiony głos swego bezlitosnego dręczyciela.

— Oto Taniec Kobry, moja śliczna! — śmiał się Totrasmek. — Tak przed wiekami tańczyły dziewice poświęcone Hanumanowi — chociaż nie tak zwinnie i pięknie. Tańcz, dziewczyno, tańcz! Jak długo zdołasz uniknąć kłów Jadowitego Ludu? Minuty? Godziny? W końcu się zmęczysz. Twoje szybkie, pewne nogi zaczną się plątać, a biodra zaczną się kręcić wolniej. Wtedy ich kły zaczną się wbijać w twoje jędrne ciało...

Kotara za jego plecami zatrzęsała się jakby poruszona wiatrem i Totrasmek wrzasnął przeraźliwie. Szeroko otworzył oczy i konwulsyjnie ścisnął rękami długie ostrze, które sterczało mu z piersi.

Muzyka urwała się raptownie. Dziewczyna zatoczyła się niepewnie i krzyknęła, spodziewając się ukąszenia straszliwych kłów — ale w tej samej chwili Totrasmek runął twarzą na posadzkę i żmije zmieniły się w cztery pasma wijącego się dymu.

Conan wyszedł zza kotary i otarł zbroczone ostrze. Patrząc przez szparę w zasłonie widział dziewczynę wijącą się rozpaczliwie między czterema spiralami dymu, ale podejrzewał, że Zabibi widziała coś zupełnie innego. Wiedział, że zabił Totrasmeka.

Zabibi osunęła się na podłogę dysząc ciężko, ale gdy barbarzyńca ruszył ku niej podniosła się znowu, chociaż nogi uginały się jej ze zmęczenia.

— Flakonik! — wyszeptała. — Flakonik!

Totrasmek wciąż ścisnął go w sztywniejącej ręce. Bezceremonialnie wyrwała mu go z zaciśniętych palców, a później zaczęła pospiesznie

przeszukiwać fałdy jego szaty.

— Czego szukasz, u diabła? — dopytywał się Conan.

— Pierścienia, który ukradł Alafdhelowi. Z pewnością to zrobił, kiedy mój kochanek oszalał i biegał po ulicach. A niech to demony!

Przekonawszy się, że Totrasmek nie ma pierścienia przy sobie, zaczęła się miotać po komnacie, rozdzierając obicia, kotary, rozbijając naczynia. Po chwili przestała i odgarnęła z czoła wilgotny kosmyk włosów.

— Zapomniałam o Baal — pteorze!

— Jest już w piekle ze skręconym karkiem — zapewnił ją barbarzyńca.

Słyszając te wieści wyraziła swe niekłamane zadowolenie, ale zaraz zaklęła siarczyście.

— Nie możemy tu zostać. Niedługo będzie świtać. W każdej chwili mogą się tu zjawić inni kapłani i jeśli znajdą nas przy jego zwłokach, to rozerwą nas na sztuki. Turańczycy nam nie pomogą.

Odsunęła rygiel sekretnych drzwi i w kilka chwil później spieszenie oddalali się ulicami od cichego placu, na którym wznosiła się prastara świątynia Hanumana.

Nieco dalej Conan przystanął w krętej uliczce i zatrzymał swoją towarzyszkę, kładąc swą ciężką dłoń na jej ramieniu.

— Nie zapominaj o zapłacie...

— Nie zapomniam! — odparła odsuwając się. — Ale teraz musimy iść do... najpierw do Alafdhala!

Kilka minut później ten sam czarnoskóry niewolnik wpuścił ich do domu Zabibi. Młody Turańczyk leżał na otomanie z rękami i nogami skrępowanymi grubymi, aksamitnymi sznurami. Oczy miał otwarte, ale były to oczy wściekłego psa i toczył pianę z ust. Zabibi zadrżała.

— Rozchyl mu szczęki! — nakazała i Conan uczynił to swymi stalowymi palcami.

Dziewczyna wlała zawartość flakonika w usta szaleńca. Rezultat zakrawał na czary. Mężczyzna natychmiast przestał się prężyć. Jego oczy straciły szklisty wyraz; spojrzął na dziewczynę ze zdumieniem, ale zupełnie przytomnie i rozumnie. Potem zapadł w głęboki sen.

— Kiedy się obudzi będzie zupełnie normalny — szepnęła Zabibi i skinęła na milczącego niewolnika.

Podszedł i z głębokim ukłonem wręczył jej skórzaną sakiewkę, a potem narzucił jej na ramiona jedwabny płaszcz. W jej zachowaniu zaszła wyraźna zmiana; gestem pokazała Conanowi, aby poszedł za nią.

W przejściu prowadzącym na ulicę odwróciła się do barbarzyńcy i powiedziała:

— Muszę ci wyznać prawdę. Nie jestem Zabibi. Jestem Nafertari. A on nie jest

Alafdhalem, biednym kapitanem gwardii. To Jungir Chan, satrapa Zambouli.

Conan nic na to nie odpowiedział; jego smagła, poznaczona bliznami twarz pozostała nieruchoma.

— Okłamałam cię, ponieważ obawiałam się wyznać prawdę — ciągnęła. — Byliśmy sami, kiedy Jungir Chan oszalał. Nikt oprócz mnie o tym nie wiedział. Gdyby rozeszła się wieść, że satrapa Zambouli zwariował, natychmiast zaczęłyby się rozruchy i zamieszki. Widzisz teraz, że nie mogę wynagrodzić cię tak, jak chciałeś. Kochanka satrapy nie może być twoją. Jednak nie odejdziesz bez nagrody. Oto sakiewka złota.

Wręczyła mu woreczek, który dał jej niewolnik.

— Teraz idź, a kiedy słońce wzejdzie, przyjdź do pałacu. Każę Jungir Chanowi, żeby zrobił cię kapitanem gwardii, ale będziesz spełniał moje rozkazy — w tajemnicy. Twoim pierwszym zadaniem będzie udać się na czele oddziału do świątyni Hanumana pod pretekstem szukania zabójcy kapłana, a w rzeczywistości, aby poszukać Gwiazdy Khorali.

Pierścień musi być gdzieś ukryty. Kiedy go znajdziesz, przyniesiesz mi. Teraz możesz odejść.

W milczeniu skinął głową i odszedł. Dziewczyna poczuła się dotknięta, widząc, że jego zachowanie nie zdradzało, by się martwił jej odmową.

Conan skręcił za róg, po czym obejrzał się za siebie, zmienił kierunek marszu i przyspieszył kroku. W kilka chwil później znalazł się w tej części miasta, w której był koński targ. Odszukał pewien dom i załomotał do drzwi, aż w oknie pojawiła się brodata twarz i zaspany głos zapytał o przyczynę tego zamieszania.

— Konia — zażądał Cymeryjczyk. — Najszybszego wierzchowca, jakiego masz.

— Nie otwieram drzwi o tej porze — burknął handlarz koni.

Conan potrząsnął sakiewką.

— Łobuzie, psi synu! Nie widzisz, że jestem sam i mam białą skórę? Zejdź na dół, zanim rozwalę drzwi!

W końcu Conan odjechał na gniadym ogierze w kierunku domu Arama Baksha.

Skręcił z ulicy w aleję biegnącą między tawerną a ogrodem, w którym rosły daktylowce, ale nie zatrzymał się przy bramie. Podjechał do północnego końca muru, po czym zakręcił i pojechał wzdłuż niego, aby w końcu zatrzymać się przed narożnikiem. W pobliżu nie było żadnych drzew, ale rosło trochę niskich krzaków. Do jednego z nich przywiązał konia i już zamierzał wspiąć się na siodło, kiedy usłyszał cichy pomruk głosów.

Wyjął nogę ze strzemienia i podszedłszy do rogu zerknął ostrożnie. Trzej mężczyźni szli drogą w kierunku kępy palm i po rozlazłym chodzie poznał, że to Darfarczycy. Przystanęli na jego wołanie, zbijając się w ciasną grupę, gdy podszedł do nich z mieczem w ręku. Ich oczy błyszczały blado w świetle gwiazd. W mahoniowych twarzach odbijała się zwierzęca żądza, jednak wiedzieli, że ich maczugi nie sprostają stalowemu ostrzu. Barbarzyńca też o tym wiedział.

— Dokąd idziecie? — zapytał.

— Powiedzieć naszym braciom przy jamie, żeby zgasili ognisko — padła ponura, chrapliwa odpowiedź. — Aram Baksh obiecał nam człowieka, ale skłamał. Znaleźliśmy jednego z naszych martwego w pokoju — pułapce. Tej nocy będziemy głodni.

— Chyba nie — uśmiechnął się Conan. — Aram Baksh wyda wam człowieka. Widzicie te drzwi?

Pokazał im małą, obitą żelazem furtę w zachodniej części muru.

— Zaczekajcie tam. Aram Baksh da wam człowieka.

Wycofał się tyłem, aż znalazł się poza zasięgiem ich maczug, a potem obrócił się i zniknął za rogiem. Dotarwszy do konia przystanął, aby upewnić się, że czarni nie poszli za nim, a potem wspiął się na grzbiet wierzchowca i stanął w siodle, uspokajając zwierzę kilkoma cichymi słowami. Sięgnął ręką, chwycił krawędź muru i podciągnął się w górę. Przez chwilę spoglądał na zabudowania. Gospoda wznosiła się w południowym rogu, resztę przestrzeni zajmował ogród i krzaki. Nigdzie

nie dostrzegł żywej duszy. Dom stał cichy i ciemny; barbarzyńca wiedział, że wszystkie drzwi i okna były dokładnie zamknięte i zaryglowane.

Pamiętał, że Aram Baksh śpi w komnacie przylegającej do obsadzonej cyprysami ścieżki wiodącej do drzwi w zachodnim murze. Przemknął jak cień przez zarośla i po chwili lekko zapukał do drzwi komnaty.

— Co jest? — zapytał burkliwy, senny głos.

— Aramie! — syknął Cymeryjczyk. — Czarni przełazą przez mur!

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, ukazując gospodarza stojącego w samej koszuli, ale ze sztyletem w ręku. Wyciągnął szyję spoglądając barbarzyńcy w twarz.

— Co to za bajki... To ty!

Stalowe palce Conana zdusiły mu krzyk w gardle. Obaj upadli na podłogę i Cymeryjczyk wyrwał sztylet z ręki wroga. Błysnęło ostrze i trysnęła krew. Aram Baksh zabalgotał odrażająco, krztusząc się i dławiąc krwią. Conan szarpnięciem postawił go na nogi; znów błysnął sztylet i większość kręconej brody spadła na podłogę.

Wciąż trzymając przeciwnika za gardło — bo człowiek może wydawać nieartykułowane krzyki nawet z odciętym językiem — Cymeryjczyk wywlókł go z komnaty i zaciągnął do drzwi w murze. Jedną ręką odsunął rygiel i otworzył drzwi na oścież, odsłaniając trzy czarne postacie, które czały się tam jak sępy. W ich niecierpliwe ramiona rzucił gospodarza.

Z ust Zamboulańczyka wydobył się straszliwy, zdławiony wrzask, ale gospoda pozostała cicha i ciemna. Ludzie tu byli przyzwyczajeni do nocnych wrzasków.

Aram Baksh walczył jak szalony, nie odrywając swych wytrzeszczonych oczu od twarzy Cymeryjczyka. Nie znalazł w niej litości. Conan myślał o tuzinach nieszczęśników, którzy zawdzięczali swój straszny los chciwości tego człowieka.

Ludożercy z ochotą powlekli go drogą, drwiąc z jego rozpaczliwego bełkotu. Jak mogli poznać Arama Baksha w tej półnagiej, okrwawionej postaci z groteskowo obciętą brodą?

Stojąc przy bramie Conan wciąż słyszał odgłosy szamotaniny, mimo że tamci zniknęli już wśród palm.

Zamknąwszy za sobą drzwi Conan wrócił do swego konia, dosiadł go i

ruszył na zachód, na pustynię, szerokim łukiem omijając kępę palmowych drzew. Jadąc wyciągnął zza pasa pierścień, w którym błyszczał klejnot niezwyklej urody, sypiący skry w świetle gwiazd.

Przyjrzał mu się uważnie, obracając w palcach. Spory woreczek monet cicho brzęczał mu u łęku siodła, niczym obietnica przyszłego bogactwa.

— Zastanawiam się, co by powiedziała, gdyby wiedziała, że od pierwszego spojrzenia poznałem w niej Nafertari, a w nim, Jungira Chana — śmiał się do siebie. — O Gwieździe Khorali też wiedziałem. Będzie piękna scena, jeżeli ona kiedykolwiek domyśli się, że ściągnąłem mu go z palca, kiedy wiązałem go jego pasem. Jednak nigdy mnie nie złapią.

Obejrzał się na cienisty gąszcz palm, wśród których rósł czerwony blask ognia. Pod niebo wzbił się ponury przyśpiew, pełen dzikiej uciechy. Po chwili zmieszał się z nim inny dźwięk — oszalały wrzask, nieartykułowany ryk strachu i rozpacz. Ten krzyk biegł za Conanem odjeżdżającym na zachód pod niebem pełnym blednących gwiazd.

CZERWONE ĆWIEKI

Będąc kapitanem „Wastrela” Conan przez dwa lata z nadzwyczajnym powodzeniem kontynuował piracką karierę. Jednakże inni piraci zingarańscy patrzyli na przybysza zawistnym okiem i w końcu zmusili go do opuszczenia wybrzeży Shemu. Conan uchodzi na ląd, a słysząc o spodziewanej u granic Stygii wojnie, przystaje do Wolnych Towarzyszy — zgrai kondotierów pod dowództwem Zaralla. Jednak zamiast obfitych łupów znajduje tylko mało urozmaiconą służbę strażniczą na pogranicznym posterunku w Sukhmet, blisko granicy z Czarnymi Królestwami. Wino jest kwaśne, a zdobycz niewielka i Conan wkrótce ma już dosyć czarnych kobiet. Nuda kończy się wraz z pojawieniem się w Sukhmet Valerii z Czerwonego Braterstwa — kobiety pirata, którą znał z czasów swego pobytu na Wyspach Barachańskich. Valeria zabiła stygijskiego oficera, zalecającego się do niej w niewybredny sposób i uchodzi przed zemstą jego rodziny, a Conan podąża jej śladem na południe, w nieprzebytą puszcze Czarnych Królestw.

1

Siedząca na koniu kobieta ściągnęła cugle zmęczonemu rumakowi. Wierzchowiec stanął na szeroko rozstawionych nogach, z opuszczoną głową, jak gdyby nawet ciężar zdobionego złotem wędzidła z czerwonej skóry był dla niego zbyt wielki. Kobieta wyjęła obutą stopę ze srebrnego strzemienia i płynnym ruchem zsiadła z połączanego siodła. Uwiązała szybko cugle do rozwidlonego drzewa i odwróciła się z rękami wspartymi na biodrach, badając otoczenie.

A nie wyglądało ono zachęcająco. Gigantyczne drzewa otaczały sadzawkę, w której dopiero co napoiła konia. W posępnym półmroku wyniosłych pasaży utworzonych przez splątane konary rozrastały się, ograniczając widok, kępy poszycia. Kobieta zadrżała kuląc wspaniałe ramiona i zakłęta pod nosem.

Była wysoka, dobrze zbudowana, o pełnych piersiach i ramionach. Jej wygląd zdradzał niezwykłą siłę, nie ujmującą jednak nic z jej kobiecego wdzięku. Stanowiła uosobienie kobiecości, niezależnie od swej postury i zważywszy na otoczenie, raczej nieodpowiedniego stroju. Zamiast spódniczki nosiła krótkie, jedwabne spodnie o szerokich nogawicach kończących się na szerokość dłoni powyżej kolan. Spodnie podtrzymywała szeroka jedwabna szarfa, służąca jako pas. Buty z miękkiej skóry o wywiniętych, sięgających prawie do kolan cholewach i jedwabna koszula z szerokimi rękawami i kołnierzem, dopełniały stroju.

Na jednym kształtnym biodrze wisiał prosty, obosieczny miecz, a na drugim długi sztylet. Opaska ze szkarłatnego atłasu przytrzymywała jej niesforne złote włosy, przycięte prosto u ramion. Na tle ponurej, pierwotnej puszczy wyglądała niezwykle malowniczo, a zarazem dziwnie obco. Jej postać kojarzyła się raczej z bielą nadmorskich obłoków, malowanymi masztami i stadami krążących mew, a w wielkich oczach odbijał się błękit morskich fal.

Była to Valeria z Czerwonego Braterstwa, której czyny sławiono w pieśniach i balladach, gdziekolwiek zebrała się morska brać.

Próbowała przebić spojrzeniem ponury, zielony pułap, splątanych

gałęzi i dojrzyć niebo, które powinno się nad nim znajdować, lecz niebawem zrezygnowała mrużąc ciche przekleństwo. Pozostawiając uwiązanego konia ruszyła na wschód, od czasu do czasu oglądając się na sadzawkę by zapamiętać drogę.

Panująca wokół cisza wprawiała ją w przygnębienie. Żaden ptak nie zaśpiewał wysoko w konarach, żaden szelest w krzakach nie wskazywał na obecność drobnej zwierzyny. Przez całe staje podróżowała przez królestwo zadumanej ciszy, naruszanej jedynie odgłosami jej ucieczki. Uprzednio ugasiła pragnienie w sadzawce, ale teraz czuła skurcze głodu i zaczęła rozglądać się za owocami, którymi podtrzymywała swe siły od kiedy wyczerpała się żywność w jukach. Wkrótce ujrzała przed sobą wyłaniającą się z mroku i wznoszącą wśród drzew, turnię z czarnej, podobnej do krzemienia skały. Wierzchołek turni skrywała gęsta chmura listowia. Może szczyt skały wznosi się ponad wierzchołki drzew i mogłaby z niego zobaczyć, co znajduje się dalej? — o ile oczywiście dalej znajdowało się cokolwiek prócz tej wyglądającej na bezkresną puszczy, przez którą jechała od tyłu dni.

Wąski występ tworzył naturalną półkę wiodącą w górę pionowej ściany skalnej. Wspiąwszy się na jakieś pięćdziesiąt stóp dotarła do pasa liści otaczających skałę. Pnie drzew nie tłoczyły się wprawdzie przy samej turni, lecz końce niższych gałęzi wyciągały się ku niej, osłaniając szczyt woalem listowia. Valeria poruszała się po omacku w gąszczu liści, nie widząc nic ani przed, ani za sobą, aż wreszcie dojrzała błękit nieba i w chwilę później wyszła na otwartą, nagrzaną słońcem przestrzeń. U swych stóp zobaczyła rozciągającą się po horyzont bezkresną puszcę.

Valeria stała na szerokim występie, znajdując się niemalże na tym samym poziomie co wierzchołki drzew. Z występu wznosiła się skalna iglica stanowiąca szczyt turni. Jednakże w tej chwili coś innego przykuwało uwagę kobiety. Stopą trąciła coś wśród nawianych tu, zeschniętych liści zaścielających półkę. Rozrzuciła liście kopnięciem i spojrzała na ludzki szkielet. Powiodła doświadczonego okiem po zbiegających kościach, ale nie dostrzegła ani śladu złamań czy innych oznak przemocy. Człowiek ten najwidoczniej umarł naturalną śmiercią, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego musiał wspiąć się w tym celu na tak wysoką turnię.

Valeria wdrapała się na wierzchołek iglicy i rozejrzała się po

widnokręgu. Leśny pułap — wyglądający ze szczytu skały jak zielony dywan — był tak samo nieprzenikniony z góry, jak z dołu. Nie mogła nawet dostrzec sadzawki przy której zostawiła konia. Spojrzała ku północy, w kierunku z którego przybyła. Ujrzała jedynie falujący, zielony ocean, rozciągający się coraz dalej i dalej. Pasma wzgórz, które przekroczyła kilka dni wcześniej zagłębiając się w leśne pustkowie, odznaczało się teraz tylko niewyraźną, niebieską linią w oddali.

Na wschodzie i zachodzie widok był taki sam, pozbawiony nawet niebieskiej linii górskiego pasma, lecz gdy skierowała wzrok na południe zeszywniała nagle i wstrzymała oddech. O milę dalej las rzedniał i urywał się gwałtownie, ustępując miejsca porośniętej kaktusami równinie, zaś pośrodku równiny wznosiły się mury i wieże wielkiego miasta. Valeria zakłęta ze zdumienia. To było wprost niewiarygodne!

Nie zdziwiłby jej widok innego ludzkiego osiedla; kopiastych chat czarnych ludzi, czy też skalnych kryjówek tajemniczej, brązowej rasy, która jak głosiły legendy zamieszkiwała niektóre obszary tej niezbadanej krainy. Jednakże napotkanie otoczonego murami miasta tutaj, o tak wiele długich tygodni marszu od najbliższych przyczółków cywilizacji, było niepokojącym przeżyciem.

Przytrzymała się iglicy, aż ręce zaczęły jej omdlewać, wtedy opuściła się na półkę, marszcząc brwi w zadumie. Przybyła z daleka — z obozu najemnych żołnierzy leżącego na trawiastych równinach przy nadgranicznym mieście Sukhmet, gdzie awanturnicy z wielu krain i ras bronili stygijskich rubieży przed zagonami, ciągnącymi czerwoną falą z Darfaru. Uchodziła na oślep, przez ziemię, której zupełnie nie znała. Teraz wahała się między pragnieniem jazdy wprost do miasta na równinie, a instynktowną ostrożnością doradzającą ominąć je szeroko i podjąć dalej samotną ucieczkę. Cichy szelest liści wyrwał ją z tych rozmyślań. Obróciła się na pięcie zwinnie jak kot i zastygła w bezruchu, patrząc szeroko otwartymi oczami na stojącego przed nią człowieka.

Był to mężczyzna gigantycznej postury, o mięśniach prężących się płynnie pod zbrązowiałą od słońca skórą, odziany w strój podobny do ubioru Valerii z wyjątkiem szerokiego skózanego pasa, jaki nosił zamiast szarfy. U pasa zwisał mu szeroki miecz i sztylet.

— Conan Cymmerianin! — wykrztusiła kobieta. — Co ty tutaj robisz?
Uśmiechnął się nieznacznie, a w jego niebieskich oczach zapalił się

błysk zrozumiały dla każdej kobiety, gdy obrzucił spojrzeniem jej wspaniałą sylwetkę zatrzymując nieco dłużej wzrok na wypukłościach wspaniałych piersi ukrytych pod cienką koszulą i odsłoniętych skrawkach białego ciała, widocznych między spodniami, a cholewami butów.

— Nie wiesz? — zaśmiał się. — Czyż nie wyraziłem jasno mojego podziwu, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy?

— Ogier nie wyraziłby tego jaśniej — odparła pogardliwie. — Jednak nigdy nie spodziewałam się, że mogę cię spotkać tak daleko od Sukhmet; od beczek piwa i mis z mięsiwem. Naprawdę pojechałeś za mną, czy też kijami wypędzili cię z obozu za łotrostwo?

Roześmiał się na jej zuchwalstwo i napiął potężne bicepsy.

— Wiesz, że Zarallo nie ma tylu łotrów by zdołali mnie wypędzić z obozu — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Oczywiście, że pojechałem za tobą. Masz szczęście, dziewczucho! Kiedy zadźgałaś tego stygijskiego oficera utraciłaś łaski i ochronę Zarallo, a Stygijczycy wyjęli cię spod prawa.

— Wiem o tym — odparła ponuro — ale co innego mogłam zrobić? Widziałeś jak mnie sprowokował.

— Jasne — zgodził się. — Gdybym tam był, sam bym go zadźgał. Jednak kiedy kobieta przebywa w męskim obozie wojennym, może się spodziewać takich rzeczy.

Valeria tupnęła obutą stopą i zaklęła.

— Dlaczego mężczyźni nie dadzą mi żyć po męsku?

— To oczywiste! — ponownie obrzucił ją wygłodzonym spojrzeniem. — Rozsądnie uczyniłaś uciekając. Stygijczycy obdarliby cię ze skóry. Brat tego oficera ścigał cię; nie wątpię, że szybciej niż sądziłaś. Był już bardzo blisko, kiedy go dopadłem. Miał lepszego konia niż ty. Jeszcze kilka mil, a dogoniłby cię i poderżnął ci gardło.

— I co? — dopytywała się.

— Co i co? — wydawał się być zdumiony.

— I co z tym Stygijczykiem?

— A jak sądzisz? — odparł niecierpliwie. — Zabiłem go, oczywiście, a trupa zostawiłem sępom. To mnie zatrzymało i nieomal zgubiłem twój trop, kiedy przekraczałaś kamieniste grzbiety wzgórz. Inaczej już dawno bym cię dogonił.

— A teraz myślisz, że zawleciesz mnie z powrotem do obozu Zarallo?
— sarknęła.

— Nie mów głupstw — mruknął. — No, dziewczyno nie bądź taką złośnicą. Wiesz, że nie jestem taki, jak ten Stygijczyk, którego zadźgałaś.

— Włóczęga bez grosza! — urągała. Roześmiał się na to.

— A siebie jak byś nazwała? Nie masz tyle pieniędzy by kupić sobie łąkę na siedzenie spodni. Twój wzgardliwy ton mnie nie zwiedzie. Wiesz, że dowodziłem większymi okrętami i liczniejszymi załogami niż ty kiedykolwiek w swoim życiu. A co do tego, że nie mam grosza przy duszy — który korsarz ma pieniądze przez dłuższy czas? Roztrwonilem w morskich portach świata dość złota, by napełnić nim galerę. Wiesz o tym dobrze.

— Gdzie są teraz te piękne okręty i śmiałkowie, którymi dowodziłeś?
— sarknęła.

— Głównie na dnie morza — odparł uprzejmie. — Zingarańczycy zatopili mój ostatni okręt przy brzegach Shemu. Właśnie dlatego zaciągnąłem się do Wolnych Towarzyszy pod komendę Zarallo, ale kiedy pomaszerowaliśmy nad granicę Darfaru przekonałem się, że mnie nabrali. Zapłata była nędzna, wino kwaśne, a poza tym nie lubię czarnych kobiet. Tylko takie przychodziły do naszego obozu w Sukhmet; z kólkami w nosach i spiłowanymi zębami — ba! Dlaczego przyłączyłaś się do Zarallo? Sukhmet leży o wiele dni drogi od słonej wody.

— Czerwony Ortho chciał uczynić mnie swoją kochanką — odparła ponuro. — Pewnej nocy, gdy rzuciliśmy kotwicę przy wybrzeżu Kush, skoczyłam za burtę i dopłynęłam do brzegu. Było to koło Zabhela. Kupiec ze Shemu powiedział mi, że Zarallo prowadzi swych Wolnych Towarzyszy by strzegli granicy z Darfarem. Nie było innej oferty. Przyłączyłam się do karawany podążającej na wschód i dotarłam do Sukhmet.

— Szaleństwem było zapuszczać się na południe — komentował Conan — ale było to również mądre, bo patrolom Zarallo nie wpadło do głowy szukać cię w tym kierunku. Tylko brat człowieka, którego zabiłaś natrafił na twój ślad.

— Co masz zamiar teraz zrobić? — spytała.

— Skręcić na zachód — odparł. Byłem już tak daleko na południu, ale nie tak bardzo na wschód. O wiele dni drogi na zachód leżą rozległe

sawanny, gdzie czarne szczepy wypasają bydło. Mam wśród nich przyjaciół. Dotrzemy do wybrzeża i znajdziemy jakiś statek. Mam już dość dżungli.

— Ruszaj więc — doradziła. — Ja mam inne plany.

— Nie bądź głupia! — po raz pierwszy zirytował się. — Nie możesz włóczyć się po tej puszczy.

— Mogę, jeśli zechcę.

— Co chcesz robić?

— To nie twoja sprawa — ucięła.

— Tak, moja — odparł chłodno. — Myślisz, że jechałem za tobą tak daleko by zawrócić i odjechać z pustymi rękami? Bądź rozsądna dziewczucho; nic ci nie zrobię.

Ruszył ku niej. Valeria odskoczyła, dobywając miecza.

— Trzymaj się z dala, barbarzyński psie! Nadzieję cię jak pieczoną świnie!

Zatrzymał się niechętnie i zapytał: — Chcesz, żebym zabrał tę zabawkę i dał ci parę klapsów?

— Słowa! Nic tylko słowa! — szydziła. W zuchwałych oczach tańczyły ogniki, jak odbłaski słońca na błękitnej wodzie.

Wiedział, że to prawda. Żaden człowiek nie mógł rozbroić gołymi rękami Valerii z Czerwonego Braterstwa. Zmarszczył się groźnie, miotany przeciwstawnymi uczuciami. Był zły, lecz również rozbawiony i pełen podziwu dla jej odwagi. Płoneła w nim żądza, by złapać tę piękną dziewczynę i' skruszyć w swych żelaznych ramionach, ale pragnął też gorąco nie czynić jej krzywdy. Wahał się między pragnieniem przytulenia jej, a chęcią solidnego potrząśnięcia. Wiedział, że jeżeli zbliży się jeszcze o krok, Valeria zatopi mu miecz w sercu. Zbyt wiele razy widział ją zabijającą ludzi w potyczkach granicznych i podczas kłótni w tawernach, by mieć jakieś złudzenia. Wiedział, że jest tak szybka jak tygrysica. Mógł dobyć swego miecza i rozbroić ją wytrącając ostrze z jej dłoni, ale myśl o podniesieniu miecza na kobietę, nawet bez zamiaru zranienia, była mu niemiła.

— Niech cię лихо, ty ladaco! — wykrzyknął zirytowany — Zabiorę ci...

Złość odebrała mu rozsądek; ruszył ku niej, przygotowanej do zadania śmiertelnego pchnięcia. Śmieszna i groźna scenę przerwał nagle

wstrząsający dźwięk. Oboje drgnęli gwałtownie.

— Co to było? — wykrzyknęła Valeria.

Conan odwrócił się szybko jak kot, a wielki miecz zabłysnął mu w dłoni. Puszcza w dole rozbrzmiewała przeraźliwymi odgłosami — końskim kwikiem przerażenia i agonii zmieszany z trzaskiem łamanych kości.

— Lwy zabijają konie! — krzyknęła Valeria.

— Lwy, akurat! — prychnął Conan z błyskiem w oku. — Słyszałaś ryk lwa? Ja też nie! Słuchaj jak trzaskają kości — nawet lew nie zrobiłby tyle hałasu zabijając konia. Pospiesznie ruszył w dół. Podążyła za nim, zapominając o osobistej urazie w instynktownym dla awanturników odruchu jednoczenia się wobec wspólnego zagrożenia. Kiedy przedarli się przez zielony welon otaczających skałę liści, kwik ucichł.

— Znalazłem twego konia uwięzowanego tam przy sadzawce — mruczał stąpając tak bezgłośnie, że przestała się dziwić, jak zdołał ją zaskoczyć na skałę. — Przywiązałem swego obok i ruszyłem po twoich śladach. Teraz uważaj!

Wynurzyli się z gęstwiny liści i spojrzeli na dolne partie lasu. Nad nimi zielony pułap rozciągał się mrocznym baldachimem, przez który sączyło się nikłe światło tworząc nefrytowej barwy półmrok. Gigantyczne pnie drzew p sto jardów dalej wyglądały upiornie i groźnie.

— Konie powinny być tam, za tymi zaroślami — szepnął Conan, a jego głos był jak tchnienie wiatru wśród gałęzi.

— Słuchaj!

Valeria nasłuchiwała i krew zastygła jej w żyłach. Bezwiednie położyła swą białą dłoń na muskularnym, brązowym ramieniu towarzysza.

Zza zarośli dochodziły odgłosy straszliwej uczyty; głośny trzask pękających kości i rozdieranego ciała połączony z żuciem i mlaskaniem.

— Lwy nie robiłyby takiego hałasu — wyszeptał Conan. — Coś zjada nasze konie, ale to nie jest lew... Na Croma!

Dźwięki urwały się nagle i Conan zaklął cicho. Nagły podmuch wiatru poniósł ich zapach w kierunku miejsca, gdzie gąszcz ukrywał niewidocznego zabójcę.

— Nadchodzi! — mruknął Gymmerianin unosząc miecz.

Zarośla zatrzęsły się gwałtownie i Valeria ścisnęła ramię Conana.

Niewiele wiedząc o dżungli, zdawała same jednak sprawę, że żaden zwierz, jakiego kiedykolwiek widziała nie mógłby tak wstrząsać wysokimi krzewami.

— Musi być wielki jak słoń — zawtórował jej myśłom Conan. — Co u diabła — jego głos zamarł w zdumionej ciszy.

Z gęstwiny wyłoniła się głowa jak z sennego koszmaru szaleńca. Wyszczierzona paszcza obnażała rzędy ociekających śliną, żółtych kłów, W pomarszczonym, jaszczurczym pysku jarzyły się olbrzymie ślepie, jak tysiąckrotnie powiększone oczy pytona, spoglądające bez mrugnięcia na dwoje skamieniałych ludzi przywierających do skały. Pokryte łuską, obwisłe wargi umazane były krwią kapiącą z ogromnej paszczy.

Przypominając krokodyli, lecz znacznie większy, łeb osadzony był na długiej, okrytej łuskami szyi o rzędach sterczących, zębatych kolców. Dalej miażdżąc krzewy wrzośca i młode drzewka, kołyszającym chodem poruszał się tułów; gigantyczny, beczkowaty korpus na absurdalnie krótkich nogach. Białawy brzuch niemal ciągnął się po ziemi, podczas gdy zębaty grzebień wznosił się wyżej niż Conan mógłby dosięgnąć stając na palcach. Z tyłu ciągnął się długi, kolczasty ogon, jak u skorpiona.

— Z powrotem na skałę, szybko! — rzucił Conan, ciągnąc za sobą dziewczynę. — Nie sądzę, żeby umiał się wspinać, ale może stanąć na tylnych łapach i dosięgnąć nas...

Potwór zbliżał się, gniotąc krzaki i łamiąc drzewka; uciekali przed nim na skałę, jak liście gnane wiatrem. Nurkując w gęstwinę listowia Valerię rzuciła okiem w tył i ujrzała przerażające monstrum stojące na swych masywnych, tylnych łapach tak, jak to Conan przewidział.

Na widok tego Valeria wpadła w panikę.

Wyprostowana, bestia wyglądała na jeszcze większą; zakończony potwornym pyskiem łeb górował nad drzewami. Żelazna dłoń Conana zamknęła się na przegubie dziewczyny ciągnąc ją głową naprzód w maskujący zamęt liści i z powrotem w gorące promienie słońca właśnie w chwili, gdy potwór opadł przednimi łapami na tumie ze wstrząsem, od którego cała skała zadygotała.

Olbrzymi łeb wylądował z trzaskiem wśród gałązek tuż za uciekającymi, którzy przez jedną przerażającą chwilę spoglądali na koszmarnie oblicze obramowane zielonymi liśćmi; na płonące ślepie i rozdziawioną paszczę. Gigantyczne kły kłapnęły bezsilnie i łeb cofnął się,

znikając sprzed ich oczu jakby zanurzył się w sadzawce.

Spozierając w dół przez połamane gałęzie opierające się o skałę zobaczyli, że potwór przywarował na zadzie u stóp skały wpatrując się w nich nieruchomym spojrzeniem.

Valeria wzdrygnęła się.

— Długo będzie tam czatował — jak myślisz?

Conan trącił stopą czaszkę leżącą wśród liści pokrywających półkę.

— Ten człowiek musiał wspiąć się tutaj uciekając przed tym lub innym podobnym potworem. Musiał umrzeć z głodu. Nie ma żadnych kości połamanych. Ten tam w dole to musi być smok — taki o jakim czarni mówią w swych legendach. Jeżeli tak, to nie odejdzie stąd dopóki oboje nie będziemy martwi.

Valeria patrzyła na niego pustym wzrokiem, zapomniawszy o niechęci.

Usiłowała opanować ogarniający ją strach. Tysiące razy dowiodła swej zuchwałej odwagi w zaciekłych walkach na morzu i lądzie; na suskich od krwi pokładach płonących okrętów wojennych, na murach obleganych miast i na zdeptanych piaskach plaż gdzie straceńcy z Czerwonego Braterstwa nożami rozstrzygali walki o przywództwo. Jednakże groza obecnej sytuacji mroziła krew w jej żyłach. Śmierć od miecza w ogniu walki była niczym, lecz bezczynne i bezradne wysiadanie na nagiej skale obleganej przez potworny relikwiarz dawnych wieków w oczekiwaniu na śmierć głodową — na tę myśl ogarniała ją panika.

— Będzie musiał odejść, by jeść i pić — powiedziała bezradnie.

— Nie będzie musiał daleko odchodzić — dowodził Conan. — Dopiero co nazwał się końskiego mięsa, a jako gad może obejść się długo bez jedzenia i picia. Wydaje się jednak, że nie zapada w sen po jedzeniu, jak węże. A w każdym razie nie potrafi wspiąć się na turnię.

Conan przemawiał z niezmaconym spokojem. Był barbarzyńcą — straszliwa cierpliwość dziczy i jej dzieci była częścią jego natury, tak jak gwałtowne żądze i namiętności Potrafił znosić takie sytuacje ze spokojem nieosiągalnym cywilizowanej osobie.

— Czy nie moglibyśmy dostać się na drzewa i uciec podążając po gałęziach jak małpy? — pytała Valeria z rozpaczą w głosie.

Potrząsnął głową. — Myślałem o tym. Gałęzie dotykające turni są

zbyt cienkie. Złamałyby się pod naszym ciężarem. Poza tym mam wrażenie, że ten diabelski stwór mógłby wyrwać każde z tych drzew z korzeniami.

— To znaczy, że będziemy po prostu siedzieć tu na tyłkach, aż umrzemy z głodu, tak?! — krzyknęła z wściekłością. Kopnięta czaszka potoczyła się z chrzęstem po półce. — Ja nie mam zamiaru! Zejdę na dół i utnę mu ten przeklęty łeb!

Conan usadowił się na skalnym występie u stóp iglicy. Spoglądał z podziwem na błyszczące oczy i spiętą, drżącą postać, lecz widząc, że w tym nastroju jest zdolna do każdego szaleństwa, nie wyraził głośno swego podziwu.

— Siadaj — mruknął, chwytając ją za nadgarstek i sadzając sobie na kolanach. Była zbyt zaskoczona by się opierać gdy wyjął miecz z jej dłoni i wepchnął go z powrotem do pochwy. — Siedz cicho i uspokój się. Złamałabyś tylko swój miecz na jego łuskach. Pożarłby cię jednym kęsem lub zgniótł jak jajko swym kolczastym ogonem. Jakoś wydostaniemy się z tych tarapatów, ale na pewno nie damy się przeżuć i połknąć.

Valeria nie odpowiedziała i nie próbowała zrzucić jego ręki ze swej kibici. Czuła strach, a to uczucie było czymś nowym dla Valerii z Czerwonego Braterstwa. Tak więc potulnie siedziała na kolanach towarzysza. Zarallo, który przeklął ją jako diabolicę prosto z piekielnego seraju, byłby szczerze zdumiony. Conan bawił się leniwie jej złotymi lokami, najwyraźniej pochłonięty tylko tym podbojem. Ani szkielet u jego stóp, ani potwór czający się w dole w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały mu i nie zmniejszały jego zainteresowania.

Niespokojne oczy dziewczyny błędzące wśród listowia, odkryły barwne plamy wśród zieleni; Duże, ciemnoczerwone kule owoców zwisały z konarów drzewa i szczególnie gęstych i jasnozielonych liściach. Uświadomiła sobie, że jest głodna i spragniona, chociaż pragnienie nie męczyło jej dopóki nie dowiedziała się, że nie może zejść z turni, by znaleźć żywność i wodę.

— Nie musimy głodować — powiedziała. — Tam są owoce; można ich dosięgnąć.

Conan popatrzył we wskazanym kierunku.

— Gdybyśmy je zjedli obeszloby się bez smoka — mruknął. — Czarni ludzie Kush nazywają je Jabłkami Derkety. Derketa jest Królową

Zmarłych. Wypij trochę soku albo skrop nim swoje ciało, a będziesz martwa zanim zwalisz się do stóp turni.

— Och!

Valeria pogrążyła się w zatrwożonym milczeniu. Wygląda na to, że nie ma wyjścia z tej paskudnej sytuacji — rozmyślała. Nie widziała żadnej szansy ucieczki, a Conan zdawał się być zainteresowany jedynie jej smukłą talią i złotymi lokami. Jeżeli próbował ułożyć plan ucieczki, to nie okazywał tego.

— Gdybyś zdjął ze mnie swoje ręce choć na chwilę i wdrapał się na ten wierzchołek — rzekła wreszcie — zobaczyłbyś coś, co by cię zdziwiło.

Rzucił jej pytające spojrzenie, lecz posłuchał wzruszając potężnymi, ramionami. Przywierając do skalnej iglicy powiódł wzrokiem po otaczającej puszczy. Stał długą chwilę w milczeniu, upozowany na skale jak statua z brązu.

— To miasto otoczone murami, jak nic — wymamrotał w końcu. — To tam chciałaś iść, kiedy próbowałaś wysłać mnie samego w drogę do wybrzeża?

— Zobaczyłam je, zanim nadszedłeś. Kiedy opuszczałam Sukhmet nic o nim nie wiedziałam.

— Ktoby pomyślał, że tu można znaleźć miasto? Nie wierzę, żeby Stygijczycy kiedykolwiek przeniknęli tak daleko. Czy czarni ludzie mogli wybudować takie miasto? Nie widzę stąd na równinie, żadnych śladów upraw ani poruszających się ludzi.

— Jak mogłeś mieć nadzieję, że zobaczysz to wszystko z tej odległości? — dopytywała się.

Wzruszył ramionami i opuścił się na dół.

— No, ludzie z miasta nie mogą nam teraz pomóc, a nawet gdyby mogli, nie wiadomo, czy by chcieli. Ludy Czarnych Krain są w większości wrogie wobec obcych. Prawdopodobnie naszpikowaliby nas dzidami...

Conan przerwał i stał w milczeniu wpatrując się w szkarłatne kule pośród liści, jak gdyby zapomniał, o czym mówił.

— Dzidy! — wymamrotał. — Co za przekłety głupiec ze mnie, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Widać, jak śliczna kobieta działa na mężczyznę.

— O czym mówisz? — pytała Valeria.

Nie odpowiadając na jej pytanie zszedł do gęstwiny liści i spojrzał przez nie w dół. Olbrzymia bestia warowała u stóp skały, obserwując turnię z przerażającą cierpliwością gadziego rodu. Tak mógł patrzeć u zarania dziejów przedstawiciel tego gatunku na ich przodków — jaskiniowców zapędzonych na wysoką skałę. Conan przeklął go bez zapału i począł ucinąć gałęzie, sięgając i odrąbując je tak daleko, jak tylko zdołał sięgnąć. Gwałtowne poruszania liści niepokoiły potwora. Uniósł zad i tłukł swym ohydny ogonem, łamiąc drzewka jak wykałaczki. Conan obserwował go uważnie kątem oka i kiedy Valeria była przekonana, że potwór zaraz rzuci się znów na skałę, Cymmerianin wycofał się na występ niosąc ucięte gałęzie: trzy cienkie drzewca długie prawie na siedem stóp, ale nie grubsze od kciuka. Uciął też kilka mocnych, cienkich pędów winorośli. — Gałęzie są za lekkie na drzewce włócznie, a pnącza nie grubsze od sznurka — powiedział, wskazując na listowie wokół turni. — Nie wytrzymałyby naszego ciężaru — ale w jedności siła. Tak zwykli mówić nam, Cymmerianom Aquilońscy renegaci, kiedy przybywali w nasze góry zebrać wojska i najechać na swój własny kraj. Lecz my zawsze walczyliśmy klanami i szczepami.

— Co to do diabła ma wspólnego z tymi kijami? — dopytywała się.

— Poczekaj a zobaczysz.

Zbierając kije w jedną wiązkę, wepchnął między nie rękojęść swego sztyletu. Związał je razem pędami winorośli i kiedy zakończył dzieło, otrzymał włócznie niemałej mocy, o krzepkim siedmiostopowym drzewcu.

— Co dobrego tym zrobisz? — dociekała. — Mówiłeś, że ostrze nie przebije jego łusek.

— Nie ma łusek wszędzie — odparł Conan. — Jest więcej niż jeden sposób zdzierania skóry z pantery.

Podchodząc do skraju liści sięgnął włócznie i ostrożnie przeszył ostrzem jedno z Jabłek Derkety, odchylając się w bok, by uniknąć ciemnoczerwonych kropli kapiących z przebitego owocu. Niebawem wycofał ostrze i pokazał jej błękitną stal splamioną szkarłatnoczerwonym sokiem.

— Nie wiem, czy to dokona dzieła, czy nie — powiedział. — Jest tu dość trucizny, by zabić słonia, lecz... no, zobaczymy.

Valeria podążała tuż za nim, gdy opuszczał się między listowie.

Trzymając ostrożnie zatrute ostrze z daleka od siebie, Conan wychylił głowę z gęstwiny i zwrócił się do potwora:

— Na co tam czekasz, ty bękarcu potomku podejrzanych moralnie rodziców? — Oto jedno z nielicznych pytań nadających się do druku. — Wystaw tu znów swój paskudny łeb, długoszyja bestio — czy też chcesz, żebym zszedł tam i kopnął cię w nieprawy krzyż?

I tak dalej — z elokwencją wprawiającą Valerię w zdumienie, mimo jej obycia z wulgarnym językiem żeglarzy. Wywarło to zamierzony wpływ na potwora. Tak jak zbyt ciche ujadanie psa niepokoi i rozwściecza inne, z natury ciche zwierzęta, tak krzykliwy głos człowieka budzi strach niektórych bestii, a szaloną wściekłość innych. Nagle, z przerażającą szybkością, kolos stanął na swych potężnych tylnych łapach wyciągając szyję we wścieklej próbie osiągnięcia tego hałaśliwego karła, którego jazgot zakłócał odwieczną ciszę prastarego królestwa.

Jednak Conan dokładnie ocenił odległość: Potężny łeb wylądował ze straszliwym trzaskiem wśród gałęzi, o jakieś pięć stóp poniżej Cymmerianina.

Potworna paszcza rozdziawiła się jak u wielkiego węża i w tej samej chwili Conan wbił włócznię w czerwone mięśnie gardzieli. Uderzył z całą siłą obu ramion, wbijając długie ostrze sztyletu po rękojeść w ciało, żyły i kości. W tej chwili szczęki zwały się konwulsyjnie, przerabując drzewce i prawie strącając Conana z wąskiej półki. Byłby spadł, gdyby stojąca za nim dziewczyna nie chwyciła go za pas. Przytrzymał się skalnego występu i rzucił jej uśmiech podziękowania.

W dole potwór tarzał się po ziemi, jak pies, któremu sypnięto pieprzem w ślepiach. Potrząsał łbem z boku na bok, tarł łapami i raz po raz otwierał paszczę na całą szerokość. Wreszcie zdołał przydepnąć drzewce olbrzymią przednią łapą i wydrzeć ostrze. Wtedy uniósłszy tryskającą krwią, rozwarty pysk, spojrzął na turnię z tak stężoną, inteligentną wściekłością w ślepiach, że Valeria zadrżała i dobyła miecza. Łuski na grzbiecie i bokach potwora zmieniły kolor z rdzawobrazowego na jaskrawoczerwony, lecz najstraszniejsze było to, że przerwał milczenie. Dźwięki, jakie wydobyły się z jego spływającej krwią gardzieli nie przypominały niczego, co mogłoby wydać z siebie jakiegokolwiek żyjące na ziemi stworzenie.

Z odrażającym, zgrzytliwym rykiem smok rzucił się na turnię, będącą

cytadelą wrogów. Raz za razem potężny łeb przebijał gęstwinę gałęzi, daremnie kłując powietrze. Całym ciężarem niezgrabnego cielska tłukł o skałę, aż dygotała od podstawy do szczytu. Wreszcie, stając na tylnych nogach ścisnął skałę przednimi łapami, próbując wyrwać ją z korzeniami jak drzewo. Ten pokaz pierwotnej siły zmroził krew w żyłach Valerii, lecz Conan sam był buski prymitywu, by odczuwać coś więcej niż pełne zrozumienia zainteresowanie. Barbarzyńca, inaczej niż Valeria, nie widział wielkiej różnicy między zwierzętami, a ludźmi. Dla Conana miotający się u stóp skały potwór był zaledwie formą życia o innym kształcie zewnętrznym, lecz obdarzoną podobnymi do ludzkich cechami charakteru. We wściekłości potwora widział odpowiednik swego gniewu, a w rykach i charkocie tylko równoważnik przekleństw, jakimi uprzednio obrzucił gada. Poczuwając się do pokrewieństwa ze wszystkim co dzikie, nawet ze smokiem, nie doświadczał mdlącego przerażenia, jakie ogarnęło Valerię na widok okrutnej bestii.

Siedział spokojnie obserwując smoka i wskazując zmiany, jakim ulegały jego głos i ruchy.

— Trucizna zaczyna działać — powiedział z przekonaniem.

— Nie wierzę.

Valerii wydawało się niedorzecznością twierdzić, że cokolwiek choćby nie wiem jak śmiertelności, mogło poskutkować na tę górę mięśni i wściekłości.

— Słysząc ból w jego głosie — stwierdził Conana. — Z początku był tylko wściekły z powodu ukłucia w szczękę. Teraz czuje pieczenie trucizny. Patrz! Zatacza się. Za parę chwil oślepnie. No, co ci mówiłem?

Smok nagłe zachwiał się i ruszył z trzaskiem przez krzaki.

— Ucieka? — dopytywała się niespokojnie Valeria.

— Idzie do sadzawki — Conan zerwał się, błyskawicznie gotów do działania. — Trucizna wywołała pragnienie. Chodź! Za chwilę będzie ślepy, ale wróci do turni po węchu i jeżeli wyczuje, że jeszcze tu jesteśmy, będzie siedział pod nią do śmierci, a jego wrzaski mogą zwabić inne smoki. Chodźmy!

— Na dół? — Valeria była przerażona.

— Pewnie! Udamy się do miasta! Mogą nam tam uciąć głowy, ale to nasza jedyna szansa. Możemy wpaść po drodze na tysiąc innych smoków, ale zostać tu, to pewna śmierć. Jeżeli będziemy czekać aż zdechnie,

możemy mieć tuzin innych na karku. Za mną, szybko!

Ruszył w dół zwinnie jak małpa, przystając tylko po to, by pomóc swej mniej zręcznej towarzyszce, która, dopóki nie ujrzała wspinającego się Cymmerianina, uważała że dorównuje każdemu mężczyźnie we wspinaczce po takielunku czy po pionowych ścianach skalnych. Zeszli w panujący pod gałęziami półmrok i cicho ześliznęli się na ziemię. Valerii zdawało się, że bicie jej serca można usłyszeć z daleka. Głośny bulgot i chłeptanie dochodzące zza gęstych krzewów wskazywały, że smok pije wodę z sadzawki.

— Wróci, jak tylko napełni żołądek — mamrotał Conan. — Mogą upłynąć godziny, nim trucizna go zabije — o ile w ogóle zabije.

Daleko za lasem słońce opadało za horyzont. Mglisty półmrok puszczy zapełniły czarne cienie i niewyraźne kształty. Conan chwycił Valerię za rękę i oddalał się z nią cicho od podnóża skały. Czynił mniej hałasu niż wietrzyk przelatujący wśród pni; Valerii wydawało się, że stapanie jej butów zdradza całej puszczy ich ucieczkę,

— Nie sądzę, żeby zdołał pójść za tropem — mruczał Conan. — Ale jeśli wiatr przyniesie mu nasz zapach, może nas wywęszyć.

— Mitro, spraw by wiatr nie powiał! — wysapała Valeria. Błady owal jej twarzy majaczył w półmroku. W wolnej ręce ścisnęła miecz, ale dotyk oprawnej w rekinia skórę rękojeści wyzwalał w niej jedynie poczucie bezsilności. Mieli jeszcze kawał drogi do skraju puszczy, kiedy usłyszeli za sobą trzask i łomot. Valeria przygryzła wargę, tłumiąc okrzyk.

— Jest na naszym tropie! — szepnęła. Conan potrząsnął głową.

— Nie poczuł naszego zapachu na skale, więc błądzi po omacku po lesie próbując nas znaleźć. Chodź! Albo dotrzemy do miasta, albo koniec z nami! On może wyrwać każde drzewo, na które byśmy się wspięli. Jeżeli tylko nie będzie wiatru...

Skradali się, aż drzewa przed nimi zaczęły rzednąć. Puszcza stała wokół jak czarny, nieprzenikniony ocean, a w oddali błakający się smok wciąż łamał drzewa ze złowieszczym trzaskiem.

— Przed nami równina — dyszała Valeria. — jeszcze trochę i...

— Na Croma! — zaklął Conan. — Mitro! — szepnęła Valeria. Od południa zerwał się wiatr.

Przeleciał nad nimi prosto w stronę czarnej puszczy i natychmiast straszliwy ryk wstrząsnął lasem. Beładne trzaski łamanych krzaków

zmieniły się w jednostajny hałas, gdy smok ruszył jak huragan prosto ku miejscu, z którego dolatywał zapach wrogów.

— Biegiem! — warknął Conan, z oczyma płonącymi jak u wilka schwytanego w pułapkę. — Tylko to możemy zrobić!

Żeglarskie buty nie są stworzone do wyścigów, a życie pirata nie czyni go biegaczem. Po stu jardach Valeria dyszała i zwolniła kroku, podczas gdy trzaski z tyłu przeszły w narastający łomot — potwór wydostał się z gąszczu na mniej zarośniętą przestrzeń.

Żelazne ramię Conana otoczyło kibić dziewczyny na wpół ją unosząc, tak że stopami ledwie dotykała ziemi, pędząc z szybkością, jakiej sama nigdy by nie osiągnęła. Jeśli zdołają się utrzymać z dala od bestii, może ten zdradziecki wiatro zaraz ucichnie... Lecz wiatr wiał nadal i szybkie spojrzenie przez ramię ukazało Conanowi, że potwór prawie ich dogonił, nadciągając jak galera wojenna na skrzydłach huraganu. Cymmerianin odepchnął silnie Valerię, tak że przeleciała parę jardów łapiąc równowagę i upadła u stóp najbliższego drzewa, a sam stawiał czoło pędzącej bestii. Przekonany, że wybiła jego ostatnia godzina, Cymmerianin zachował się zgodnie ze swoją naturą; rzucił się na spotkanie potwora.

Skoczył jak ryś, ciął, poczuł, jak jego miecz wbija się głęboko w łuski ochraniające potężny pysk — i straszliwe uderzenie odrzuciło go półżywego i pozbawionego tchu o pięćdziesiąt stóp dalej.

Cymmerianin sam nie wiedział jakim cudem stanął na nogach. W jego mózgu zachowała się tylko jedna myśl: że tam na drodze rozpędzonej bestii leży oszołomiona i bezradna kobieta. Ze świstem wciągnął powietrze w płuca i już stał nad nią z mieczem w dłoni.

Valeria leżała tam, gdzie ją pchnął, próbując podnieść się do siedzącej pozycji. Nie tknęły jej ani straszliwe kły, ani miażdżące łapy. Conan został uderzony barkiem lub przednią łapą potwora, który pognął dalej w nagłych kurczach agonii zapominając o niedoszłych ofiarach. Pędząc na łeb, na szyję trzasnął wreszcie nisko zwieszonym łbem o pień gigantycznego drzewa. Siła uderzenia wyrwała drzewo z korzeniami i zmiażdżyła ukryty w niekształtnej czaszce mózg zwierzęcia. Drzewo runęło przykrywając potwora; dwoje oszołomionych ludzi patrzyło, jak wstrząsane konwulsjami skrytego cielska gałęzie i liście nieruchomieją zwolna.

Conan postawił Valerię na nogi i ruszył ciągnąc ją za sobą. Kilka chwil później wyszli na bezdrzewną równinę okrytą ciszą i mrokiem. Conan przystanął na chwilę i obejrzał się za siebie. W mahoniowej głuszy nie zadrżał ani jeden liść, nie zaświergotał żaden ptak. Puszcza stała tak cicha, jak musiała być przed stworzeniem człowieka.

— Chodź — mruknął Cymmerianin biorąc dziewczynę za rękę. — Jeszcze tylko chwilę. Jeżeli inne smoki wyjdą z lasu...

Nie musiał kończyć zdania.

Miasto zdawało się bardzo odległe, dalej, niż to wyglądało z turni.

Valerii brakło tchu, a serce łomotało jej w piersiach. Przy każdym kroku spodziewała się, że usłyszy trzask krzaków i ujrzy następnego kolosa szarżującego na nich. Jednak nic nie zakłócało ciszy.

Kiedy oddalili się o milę od lasu, Valeria odetchnęła. Powoli wracała je pogodna pewność siebie. Słońce zaszło i równinę ogarnęła ciemność, rozjaśniana trochę przez gwiazdy zamieniające kępy kaktusów w przerażające zjawy.

— Nie ma bydła, nie ma pól uprawnych — mamrotał Conan. — Jak ci ludzie żyją?

— Może bydło zagnano na noc do zagród — sugerowała Valeria — a pola i pastwiska są po drugiej stronie miasta.

— Może — przytaknął. — Jednakże z turni nie dostrzegłem niczego takiego.

Księżyc wszedł nad miastem i w jego żółtej poświacie ostro odcinały się czarne kontury wież i murów. Valeria zadrżała. Dziwne, czerniejące na tle księżyca miasto wyglądało ponuro i złowrogo. Conan chyba doznał tego samego uczucia, bo stanął, rozejrzał się dookoła i szepnął:

— Zatrzymamy się tu. Nie ma sensu podchodzić do wrót po nocy; i tak by nas nie wpuścili. Co więcej, musimy odpocząć, a nie wiemy jak nas przyjmą. Kilka godzin snu i będziemy w lepszej formie do walki lub ucieczki. Podeszedł do kępy kaktusów tworzących okrag — zjawisko częste na pustyniach południa. Wyciął mieczem przejście i gestem zachęcił Valerię do wejścia.

— Przynajmniej będziemy tu bezpieczni przed węzami. Valeria spojrzała ze strachem na odległą o prawie sześć mil, czarną linię puszczy.

— A jeśli smok przyjdzie z lasu?

— Będziemy trzymać straż — odparł, chociaż nie czynił żadnych propozycji, co zrobić w takim wypadku. Spojrzał na wznoszące się kilka mil dalej miasto.

Nawet promyk światła nie błyskał na wieżach i blankach. Wznosiło się pod gwiaździstym niebem jak ogromna, czarna bryła tajemnicy.

— Kładź się i śpij. Ja będę czuwał pierwszy.

Valeria zawahała się, patrząc na niebo niepewnie, ale Conan już usiadł w przejściu ze skrzyżowanymi nogami i mieczem na kolanach, zwrócony twarzą ku równinie, a plecami do niej. Bez zbędnych uwag położyła się na piasku wewnątrz kolczastego kręgu.

— Obudź mnie, kiedy księżyc będzie w zenicie — nakazała. Cymmerianin nie odpowiedział i nie spojrzał w jej stronę.

Zapadła w sen zabierając pod powiekami obraz jego muskularnej postaci, przypominającej wykuty w brązie posąg, wznoszący się na tle rozgwieźdzonego nieba.

2

Valeria obudziła się nagle i stwierdziła, że nad równiną wstaje szary świt. Usiadła, trąc oczy, Conan przykucnął przy kaktusie, odcinając grube liście i sprawnie wyrrywając kolce.

— Nie obudziłeś mnie — powiedziała oskarżycielsko. — Pozwoliłeś mi spać przez całą noc!

— Byłaś zmęczona — odparł. — I z pewnością bolała cię tylna część ciała po tak długiej jeździe. Wy, piraci nie jesteście przyzwyczajeni do końskiego grzbietu.

— A ty?

— Zanim zostałem piratem byłem kozakiem — odparł.

— Oni żyją w siodle. Ja ucinam sobie drzemki jak pantera czekająca przy ścieżce na przechodzącego jelenia. Kiedy moje oczy śpią, uszy czuwają.

Rzeczywiście, olbrzymi barbarzyńca wyglądał tak świeżo, jakby przespał całą noc na złożonym łóżku. Usunął kolce, obrał grubą skórę i podał dziewczynie mięsisty, soczysty liść.

— Zjedz go. To pokarm i woda ludzi pustyni. Kiedyś byłem wodzem Zuagirów — koczowników zajmujących się grabieniem karawan.

— Jest coś, czego nie robiłeś? — pytała Valeria na wpół kpiąco, na wpół z podziwem.

— Nigdy nie władałem hyboreańskim królestwem — wyszczerzył zęby w uśmiechu, odgryzając potężny kęs kaktusa — chociaż śniło mi się to. Może któregoś dnia zostanę królem... Dlaczego by nie?

Potrząsnęła głową podziwiając jego chłodne zuchwalstwo i zaczęła pochłaniać swoją porcję kaktusa. Okazał się niezły w smaku i pełen orzeźwiającego, gaszącego pragnienie soku. Kończąc posiłek Conan wytarł ręce w piasek, wstał, przygładził palcami swą gęstą, czarną grzywę, podciągnął pas i rzekł:

— No — chodźmy. Jeżeli ludzie w tym mieście mają poderżnąć nam gardła, równie dobrze mogą to zrobić teraz, nim zaczniesz się skwar.

Jego czarny humor był mimowolny, lecz Valerię olśniła myśl, że mógł

być proroczy. Wstając również podciągnęła pas z mieczem. Wczorajszy strach minął. Ryczące smoki odległego lasu zdawały się niewyraźnym snem. Buńczucznie stawiała stopy idąc obok Cymmerianina. Jakiegokolwiek niebezpieczeństwa na nich oczekiwały, ich wrogami będą ludzie. A Valeria z Czerwonego Braterstwa nie widziała jeszcze twarzy człowieka, którego by się obawiała. Conan popatrzył na nią gdy tak szła dziarskim krokiem, podobnym do jego stąpania.

— Idziesz jak góral, nie jak żeglarz — powiedział. — Musisz być Aquilonką. Słońce Derfaru nie przybrązowiło twej białej skóry. Wiele księżniczek mogłoby ci tego pozazdrościć.

— Pochodzę z Aquilonii — odparła. Jego komplementy już jej nie irytowały. Wyraźny podziw, jakim ją obdarzał sprawiał jej przyjemność. I nie wykorzystał swej przewagi, jaką uzyskał, gdy Valeria okazała swój strach i słabość. Ostatecznie — pomyślała

— Conan nie jest zwykłym mężczyzną.

Słońce weszło nad miastem, oblewając jego wieże złowieszczym szkarłatem.

— W nocy czarne na tle księżyca — mamrotał Conan z oczami zasnutymi mgłą barbarzyńskich przesądów — i krwawoczerwone jak ponura groźba w porannym słońcu. Nie podoba mi się to miasto.

Pomimo to podążali ku jego murom, a gdy szli, Conan zwrócił uwagę na fakt, że żadna droga nie wiodła do miasta od pomocy.

— Nie ma śladów bydlą po tej stronie miasta — rzekł — i od lat, a może od wieków żaden lemiesz nie tknął tej ziemi. Patrz

— jednak kiedyś ją uprawiali.

Valeria zobaczyła prastare rowy nawadniające, które wskazywał, miejscami na pół zasypane i zarośnięte kaktusami. Zmarszczyła brwi, zatroskana, wodząc oczyma po rozciągającej się na wszystkie strony równinie, otoczonej ginącym w oddali lasem. Spojrzała niechętnie na miasto. Na blankach nie widać było błyszczących hełmów i grotów włóczni, nie zagrzmiały trąby, z wież nie ozwały się krzyki straży. Nad murami i basztami wisiała głucha cisza.

Słońce było wysoko na niebie, gdy stanęli przed wielką bramą po północnej stronie miasta. Rdza upstrzyła żelazne wiązania potężnego portalu z brązu, a na zawiasach, progu i zaryglowanych wrotach srebrzyły się gęste pajęczyny.

— Te wrota nie były otwierane od lat! — wykrzyknęła Valeria.

— Martwe miasto — przytaknął Conan. — Dlatego rowy są zasypane, a ziemia leży odłogiem.

— Ale kto je zbudował? Kto tu mieszkał? Dlaczego je opuszczono?

— Kto wie? Może wybudował je klan wygnanych Stygińczyków. Może nie. To nie wygląda na stygijską architekturę. Może ludność została wybita przez wrogów, a może wymarła od zarazy...

— W takim razie kurz i pajęczyna nadal pokrywają ich skarby — podpowiedziała Valeria, w której obudził się instynkt posiadania — nieodłączna cecha jej profesji — potęgowany przez kobietę ciekawość.

— Czy można otworzyć bramę? Wejdzmy i rozejrzyjmy się trochę.

Conan popatrzył z powątpiewaniem na masywny portal, lecz oparł swe mocarne ramię o wrota i pchnął ile sił w udach i łydkach. Brama uchyliła się opornie z przeraźliwym zgrzytem zardzewiałych zawiasów. Conan wyprostował się i dobył miecza. Valeria zagłębła mu przez ramię i krzyknęła ze zdziwienia. Nie spoglądali na ulicę czy dziedziniec, tak jak można by się spodziewać. Otwarta brama, czy też raczej drzwi, prowadziły prosto do długiego, szerokiego holu, ciągnącego się coraz dalej i dalej, by wreszcie zginąć w półmroku. Gigantycznych rozmiarów sala miała podłogę z kwadratowych płyt dziwnego, czerwonego kamienia, który wydawał się płonąć przytłumionym blaskiem płomieni. Ściany wykonano z błyszczącego, zielonego budulca.

— Niech będę Shemitą, jeśli to nie nefryt! — zaklął Conan.

— Nie w takiej ilości — protestowała Valeria.

— Ograbiłem dość karawan z Khitanu by wiedzieć, co mówię — zapewniał. — To nefryt!

Łukowate sklepienie z lapis lazuli wyłożone było niezliczonymi ilościami wielkich kamieni, błyszczących jadowito zieloną poświatą.

— Zielone kamienie ognia — mruknął Conan. — Tak nazywa je lud Puntu. Uważa się je za skamieniałe oczy tych prehistorycznych węży, które starożytni nazywali Żłotymi Żmijami. Płoną w ciemnościach jak kocie ślepie. W nocy rozświetliłyby cały hol, ale byłoby to piekielnie posępne oświetlenie. Rozejrzyjmy się trochę. Może znajdziemy jakąś skrytkę z klejnotami.

— Zamknij drzwi — doradziła Valeria. — Nie bardzo bym chciała ścigać się ze smokiem w tym holu.

Conan roześmiał się i odparł:

— Nie wierzę, by smoki w ogóle wychodziły z lasu. Jednak usłuchał rady i wskazał na złamany rygiel po wewnętrznej stronie drzwi.

— Zdawało mi się, że słyszałem jak coś pęka, kiedy je pchnąłem. Spójrz: ten rygiel jest świeżo złamany. Rdza prawie go przeżarła. Gdyby ludzie uciekli, po co ryglowałiby drzwi od wewnątrz?

— Zapewne wyszli przez inną bramę — sugerowała Valeria. Zastanawiała się, ile wieków upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni światło dnia wpadło otwartą bramę do tego wielkiego holu. Światło słoneczne docierało tu jednak jakimś sposobem i szybko wykryli jego źródło. Wysoko, w wygiętym sklepieniu wybito otwory osadzając w nich przezroczyste tafle jakiejś krystalicznej substancji. W plamach cienia między nimi mrugały zielone klejnoty błyszczące jak oczy rozłoszczonych kotów. Czerwona posadzka pod stopami płonęła posępnie wszystkimi odcieniami płomieni. Dwoje ludzi wędrowało jakby dnem piekieł, mając nad głową migoczące upiornie gwiazdy. Po każdej stronie holu biegły, jeden nad drugim, trzy krużganki.

— Czteropiętrowy dom — mruknął Conan. — A ten hol sięga aż po dach i jest długi jak ulica. Wydaje mi się, że widzę bramę na drugim końcu.

Valeria wzruszyła białymi ramionami.

— Wobec tego twoje oczy są lepsze od moich, choć znana jestem wśród korsarzy z sokolego wzroku.

Weszli w pierwsze lepsze drzwi i przekroczyli kilka pustych komnat o posadzkach takich jak w holu, o ścianach z zielonego nefrytu, marmuru, kości słoniowej lub chalcedonu, wyłożonych brązem, srebrem lub złotem. W sufitach osadzono zielone kamienie ognia, a ich blask był upiorny i mamiący, tak jak to Conan powiedział. W ich magicznej poświacie dwoje intruzów wyglądało jak widma. Niektóre pomieszczenia nie miały takiego oświetlenia i drzwi do nich ziały ciemnością jak Wrota Piekieł. Conan i Valeria unikali takich komnat, trzymając się zawsze tych oświetlonych.

W kątach wisiały pajęczyny, lecz nie widać było nawet śladu kurzu na posadzce ani na wypełniających komnaty stołach i stolcach z marmuru, nefrytu czy kornelianu. Tu i ówdzie leżały dywany z jedwabiu znanego jako khitański, który jest praktycznie niezniszczalny. Nigdzie jednak nie

znaleźli okien ani drzwi wychodzących na ulice lub dziedzińce. Każde przejście prowadziło jedynie do następnej komnaty lub holu.

— Dlaczego nie wychodzimy na ulicę — utyskiwała Valeria. — Ten pałac, czy co to jest, musi być wielki jak seraj władcy Turanu.

— Nie mogli wymrzeć od zarazy — powiedział Conan medytując nad tajemnicą opustoszałego miasta. — Inaczej znaleźlibyśmy szkielety. Może to miejsce jest nawiedzone i wszyscy stąd uciekli. Może...

— Może, do, diabła! — przerwała mu szorstko Valeria.

— Nigdy się nie dowiemy. Patrz na te fryzy — ukazują ludzi. Do jakiej rasy oni należą?

Conan popatrzył uważnie i potrząsnął głową.

— Nigdy nie widziałem takich ludzi. Ale mają w sobie coś wschodniego: może Vendhya albo Kosala.

— Byłeś królem Kosah? — zapytała, kpiną pokrywając zainteresowanie.

— Nie, ale byłem wodzem wojennym Afghulisów żyjących w górach Himelii przy granicach Vendhyi. Ci ludzie na freskach przypominają Kosalańczyków. Tylko po co Kosalańczycy mieliby budować miasto tak daleko na zachodzie?

Sceny przedstawiały szczupłych, oliwkowych mężczyzn i kobiety o delikatnie rzeźbionych, egzotycznych rysach. Wszyscy nosili cienkie tuniki i wysadzone kamieniami ozdoby, a ukazani byli głównie w tańcu, zabawie i miłości. — To na pewno ludzie ze wschodu — powtórzył Conan.

— Lecz nie wiem skąd. Musieli wieść nieprzyzwoicie spokojne życie, inaczej nie brakowałoby tu obrazów wojen i walk. Wejdźmy po tych schodach.

Kręte schody ze słoniowej kości prowadziły w górę. Minęli trzy kondygnacje i doszli do obszernej komnaty na czwartym, prawdopodobnie ostatnim piętrze budynku. Przez otwory w suficie padało światło i kamienie ognia lśniły bladawo, przyćmione jego blaskiem. Zaglądając w drzwi znajdowali kolejne, podobnie oświetlone komnaty. Tylko jedne drzwi prowadziły na otaczający hol krużganek, o wiele mniejszy od tego, który niedawno odkryli na dole.

— Niech to wszyscy diabli! — zniesmaczona Valeria usiadła na nefrytowej ławie. — Opuszczając miasto mieszkańcy musieli zabrać

wszystkie skarby ze sobą. Mam dość tego błąkania się po pustych pokojach.

— Wygląda na to, że wszystkie górne komnaty są oświetlone — rzekł Conan. — Chciałbym, żebyśmy znaleźli okno z widokiem na miasto. Zobaczymy, co jest za tamtymi drzwiami.

— Sam zobacz — doradziła Valeria. — Ja tu posiedzę i dam odpocząć nogom.

Conan zniknął w drzwiach znajdujących się naprzeciw tych, które wiodły na krużganek, a Valeria oparła się o ścianę z dłońmi splecionymi pod głową i wyciągnęła przed siebie nogi Ciche komnaty i przedsionki o świecących zielono powalach i płonących krwawo podłogach zaczęły działać na nią przygnębiająco, Chciałaby, żeby znaleźli wyjście z labiryntu, w jaki się zagłębiali i wyszli na ulicę.

Zastanawiała się leniwie, czyje ciemne stopy stąpały ukradkiem po tych płonących posadzkach w minionych wiekach, na ile okrutnych i tajemniczych czynów spoglądały mrugające na sufitach klejnoty, gdy cichy dźwięk wyrwał ją z rozmyślań. Z mieczem w dłoni, zerwała się na równe nogi nim jeszcze uświadomiła sobie, co ją zaniepokoiło. Conan nie wrócił i wiedziała, że to nie jego usłyszała.

Dźwięk dobiegał gdzieś spoza drzwi wiodących na krużganek.

Prześliznęła się przez nie bezszelestnie na miękkich, skórzanych podeszwach, podkrađa się do balustrady i zerknęła między grubymi słupkami.

PRZEZ HOL SKRADAŁ SIĘ CZŁOWIEK!

Widok ludzkiej istoty w mieście uznanym za opustoszałe był dla Valerii gwałtownym wstrząsem. Przyczajona za kamiennymi balaskami spoglądała na skradającą się postać, czując nerwowe mrowienie na całym ciele. Mężczyzna nie przypominał postaci ukazanych na ścianach. Nieco' więcej niż średniego wzrostu, o ciemnej, lecz nie czarnej skórze, nagi, jeśli nie liczyć skąpej jedwabnej przepaski częściowo tylko okrywającej biodra i szerokiego, skózanego pasa wokół wąskiej talii. Długie, czarne włosy zwisały mu prostymi pasmami do ramion, nadając dziki wygląd. Wychudłe ciało znaczyły jednak sznury i węzły mięśni na ramionach i nogach pozbawionych miękkiej tkanki, zapewniającej przyjemną symetrię konturów. Ekonomiczna budowa jego ciała sprawiała niemal odrażające wrażenie, lecz na Valerii większe wrażenie

wywarło jego zachowanie niż wygląd zewnętrzny. Przemykał się chyłkiem, skulony, i rozglądał się na boki. W prawej ręce — jak widziała — drżącej z emocji, ścisnął miecz o szerokim ostrzu.

Był przerażony, wprost trząsał się ze strachu. Gdy obrócił głowę pochwyciła błysk oszalałych oczu pod spadającymi na czoło pasmami czarnych włosów.

Nie widział jej. Prześliznął się na palcach przez hol i zniknął w otwartych drzwiach. W chwilę później Valeria usłyszała zduszony krzyk i znów zapadła cisza. Zżerana przez ciekawość dziewczyna przekradła się galerią, aż dotarła do drzwi znajdujących się piętro wyżej od tych, w które wszedł człowiek. Prowadziły na inny, mniejszy krużganek otaczający sporą komnatę na trzecim piętrze, której sufit znajdował się niżej niż strop holu. Oświetlały ją tylko kamienie ognia; ich upiorny, zielony blask zostawiał przestrzeń pod galerią w cieniu.

Valeria otworzyła szeroko oczy. Człowiek, którego widziała, był jeszcze w komnacie. Leżał twarzą w dół na ciemnoczerwonym dywanie pośrodku komnaty. Ręce miał szeroko rozrzucone a ciało wiotkie. Zakrzywiony miecz leżał obok.

Zastanawiała się, dlaczego tak leży bez ruchu. Popatrzyła na dywan i zmrużyła oczy. Materiał dookoła leżącego miał nieco inną barwę. — żywszą i bardziej szkarłatną. Drżąc lekko przycupnęła za balustradą, intensywnie wpatrując się w cień pod otaczającą pokój galerią, lecz nie dostrzegła niczego. Nagle pojawiła się druga postać ponurego dramatu. Podobny do pierwszego, mężczyzna wszedł drzwiami naprzeciw. Jego oczy zabłyśły na widok człowieka na podłodze i powiedział jasnym, wyraźnym głosem coś, co zabrzmiało jak „Chicmec!”. Leżący nie poruszył się.

Człowiek podszedł do niego szybko, pochylił się i chwyciwszy za ramię obrócił leżącego. Wydał zduszony krzyk, gdy głowa leżącego opadła bezwładnie w tył, odsłaniając poderżnięte od ucha do ucha gardło. Mężczyzna upuścił ciało na zalany krwią dywan i skoczył na równe nogi, dygocząc jak liść na wietrze, z twarzą popielatą ze strachu. Nagle zamarł w pół ruchu, nieruchomy jak posąg, patrząc rozszerzonymi oczami w drugi koniec komnaty.

W cieniu pod balkonem pojawił się dziwny blask; poświata nie pochodząca z kamieni ognia. Valeria czuła, jak włosy stają jej na głowie,

gdy na to patrzyła. Ledwie widoczna w pulsującej poświacie unosiła się ludzka czaszka i z tej właśnie czaszki — ludzkiej, lecz przerażająco niekształtnej — wydawało się emanować upiorne światło. Wisiała w powietrzu jak odcięta od szkieletu, wywołana z mroku i cieni tajemnym zaklęciem, coraz lepiej widoczna, ludzka i nieludzka zarazem. Człowiek stał bez ruchu, jak uosobienie skamieniałego przerażenia, wpatrując się uporczywie w zjawę. Ta ruszyła ku niemu rzucając groteskowy cień. Zwolna cień dał się poznać jako podobna do człowieka postać, której nagi korpus i członki świeciły blado jak pobielające kości. Naga czaszka na jej ramionach patrzyła pustymi oczodołami na człowieka niezdolnego oderwać od niej spojrzenia. Wojownik stał milcząc, miecz kołysał się w jego pozbawionych czucia palcach, a na twarzy malował się wyraz hipnotycznego oszołomienia.

Valeria uświadomiła sobie, że to nie tylko strach sparaliżował mężczyznę. Jakaś piekielna właściwość pulsującego światła pozbawiła go zdolności myślenia i działania. Nawet bezpieczna powyżej dziewczyna czuła skiby napór nieznannej siły zagrażającej zdrowym zmysłom. Zjawa sunęła w kierunku swej ofiary i ta poruszyła się wreszcie; człowiek upuścił miecz i padł na kolana, zakrywając oczy rękami. Otępiały, oczekiwał ciosu ostrza błyszczącego teraz w ręce widma, stojącego nad nim jak tryumfująca nad ludzkością śmierć.

Valeria zachowała się zgodnie ze swą nieobliczalną naturą. Jednym tygrysim skokiem przesadziła balustradę i zeskoczyła na posadzkę za przerażającą postacią. Na głuchy łoskot miękkich butów na podłodze zjawa odwróciła się, lecz w tej samej chwili proste ostrze opadło i dzika radość napełniła Valerię, gdy poczuła, że miecz rozcina śmiertelne ciało i twarde kości.

Zjawa krzyknęła bełkotliwie i padła, rozcięta od barku po mostek. Płonąca czaszka potoczyła się po posadzce, odsłaniając czarny wiecheć prostych włosów i ciemnoskórą twarz, wykrzywioną w agonii. Pod przerażającą maską ukrywała się ludzka istota — mężczyzna podobny do klęczącego biernie na dywanie. Ten ostatni na odgłos ciosu i okrzyk uniósł głowę; zdumiony, spoglądał teraz oszalałym wzrokiem na kobietę o białej skórze, stojącą nad trupem z okrwawionym mieczem w dłoni. Wojownik wstał chwiejnie, bełkocząc coś, jak gdyby ten widok pozbawił go rozsądku. Valeria ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że go rozumie.

Mówił po stygijsku, chociaż nieznanym jej dialektem.

— Kim jesteś? Skąd przybyłaś? Co robisz w Xucholt? — nie czekając na odpowiedź ciągnął pospiesznie. — Obojętnie czy boginią, czy demonem, jesteś mi przyjacielem! Zabiłaś Płonącą Czaszkę! A jednak to tylko człowiek skrywał się pod nią! Sądziliśmy, że to demon, którego oni wywołali z katakumb. Słuchaj!

Gwałtownie urwał swoje bełkotliwe okrzyki i nasłuchiwał. Dziewczyna nic nie słyszała.

— Musimy się spieszyć — szepnął. — Oni są na zachód od Wielkiej Sali! Mogą być wszędzie dookoła! Może już się do nas podkradają!

Chwycił jej ramię kurczowym chwytem, z którego z trudem się wyrwała.

— Kogo masz na myśli, mówiąc „oni”? — odpytywała się. Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, jakby nie mógł pojąć jej ignorancji.

— Oni? — wyjąkał niewyraźnie — No... ludzie z Xotalanc! To klan męczyzny, którego zabiłaś. Mieszkają przy wschodniej bramie.

— Chcesz powiedzieć, że to miasto jest zamieszkałe? — zakrzyknęła.

— Tak! Tak! — kręcił się niespokojnie. — Chodźmy sąd! Chodź szybko! Musimy wracać do Tecuhtli!

— Gdzie to jest? — spytała.

— To dzielnica przy zachodniej bramie! — Znów chwycił ją za rękę i ciągnął w stronę drzwi, którymi przyszedł. Wielkie krople potu spływały mu po ciemnym czole, a w oczach widniał strach.

— Zaczekaj chwilę! — warknęła wyrывая się — z uścisku. — Trzymaj ręce przy sobie albo rozłupię ci czaszkę. O co tu chodzi? Kim jesteś? Gdzie mamy iść?

Wziął się w garść i rzucając spojrzenia na boki zaczął mówić tak szybko, że słowa zlewały się ze sobą.

— Nazywają mnie Techotl. Jestem z Tecuhtli. Ja i ten człowiek, który leży z przeciętym gardłem. Przyszliśmy do Sal Ciszy by zasadzić się na Xotalancan. Rozdzieliliśmy się i kiedy tu wróciłem, zastałem go nieżywego. Wiem, że zrobiła to Płonąca Czaszka; tak samo zarzęłaby mnie, gdybyś się nie zjawiała. Jednak on nie mógł być sam; Inni Xotalancanie mogą się tu skradać! Nawet bogowie wzdragają się przed losem tych, którzy wpadną żywcem w ich ręce!

Na samą myśl zatrząsł się jak w febrze, a jego skóra stała się

szaropopielata. Valeria zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Czowała, że w tych bajdurzeniach jest jakiś sens, ale nie potrafiła go odnaleźć. Odwróciła się do czaszki nadal świecącej i pulsującej na posadzce zamierzając ją kopnąć obutą stopą, gdy człowiek zwący siebie Techotlem podskoczył ku niej z krzykiem.

— Nie dotykaj jej! Nawet nie patrz na nią! W niej ukrywa się szaleństwo i śmierć. Magowie Xotalanc zrozumieli jej sekret. Znaleźli ją w katakumbach, gdzie spoczywają kości straszliwych królów rządzących Xuchotl w minionych, czarnych wiekach. Widok jej mrozi krew i niszczy umysł człowieka, który nic pojmuje jej tajemnicy; Jej dotknięcie powoduje szaleństwo i zgubę,

Nie wiedząc, co czynić, popatrzyła na niego groźnie. Nie wzbudzał zaufania ze swą szczupłą, muskularną sylwetką i gwałtownymi ruchami. W jego oczach oprócz błysku przerażenia migotał upiorny płomień, jakiego nigdy nie widziała w oczach zdrowego człowieka. Mimo to jego protesty wyglądały na szczere.

— Chodź! — prosił, wyciągając rękę i cofając ją, gdy przypomniał sobie jej ostrzeżenie. — Jesteś tu obca. Nie wiem skąd się tu wzięłaś, lecz czy jesteś boginią czy demonem, chodź pomóc Tecuhltli, a dowiesz się wszystkiego o co mnie pytałaś. Musisz być zza wielkiej puszczy, skąd przybyli nasi przodkowie. Jesteś przyjacielem, inaczej nie zabiłabyś mojego wroga. Chodź prędko, nim Xotalancanie znajdą nas i zabiją!

Valeria odwróciła wzrok od jego odpychającej, roznamiętnionej twarzy ku złowrogiej czaszce jarzącej się na posadzce obok trupa. Niewątpliwie ludzka, lecz niepokojąco zdeformowana i nieproporcjonalna, wyglądała jak twór sennego koszmaru. Istota, do której należała, musiała być potworna i odrażająca za życia. Życia? Sama czaszka zdawała się żyć własnym życiem. Szczęki rozwarły się nagle i zamknęły z kłapnięciem. Poświata stawała się jaśniejsza, pulsowała szybciej i niepokojące uczucie stawało się również silniejsze; to sen, całe życie jest snem...

Ponaglający głos Techotla wyrwał Valerię z mrocznych czeluści w jakie zdawała się zapadać.

— Nie patrz na czaszkę! Nie patrz na czaszkę! — dobiegał ją krzyk jak z nieprzebytych pustkowi.

Valeria otrząsnęła się, tak jak lew wstrząsa grzywą i znów ujrzała

wszystko wyraźnie. Techotl terkotał:

— Za życia kryły mózg straszliwego króla magów! Wciąż drzemie w niej życie i magiczna siła!

Zwinnie jak pantera, Valeria skoczyła z przekleństwem i czaszka rozprysnęła się na tysiąc kawałków pod ciosem jej miecza. W tej samej chwili gdzieś w komnacie, a może w niejasnych głębiach jej świadomości, zabrzmiał głuchy, nieludzki krzyk bólu i wściekłości. Ręka Techotla wpijała się w ramię dziewczyny, a on sam bełkotał:

— Strzaskałaś ją! Zniszczyłaś! Cała mroczna wiedza Xotalacan jej nie wskrzesi! Chodź stąd! Chodź stąd szybko!

— Nie mogę — protestowała. — Mam tu gdzieś przyjaciela...

Błysk w jego oczach sprawił, że zatrzymała się wpół zdania — spoglądał przez ramię z upiornym grymasem na twarzy. Odwróciła się akurat w chwili, gdy czterech mężczyzn wpadło różnymi drzwiami do komnaty pędząc ku stojącej na środku dywanu parze.

Byli podobni do tych, których już widziała, a takich samych prostych kruczoczarnych włosach, z węzłami mięśni na wychudłych kończynach i szaleństwem w otwartych szeroko oczach. Stojem i uzbrojeniem nie różnili się od Techotla, jedynie tym, że na piersiach każdego z nich widniała namalowana biała czaszka.

Bez wyzwisk i bojowych okrzyków Xotalancanie rzucili się wrogom do gardeł, jak oszalałe z żądzy krwi tygrysy. Techotl stawiał im czoła z furią rozpacz. Uniknął ciosu szerokiego ostrza i zważywszy się z napastnikiem pociągnął go na posadzkę, gdzie toczyli się bez słowa w morderczym zmaganiu.

Pozostali trzej runęli na Valerię, a ich posępne oczy nabiegły krwią jak ślepią wściekłych psów. Zabiła pierwszego, który znalazł się w zasięgu jej meczą nim zdążył zadać cios. Długie, proste ostrze rozłupało mu czaszkę w chwili, gdy podniósł swój miecz do ciosu. Uskoczyła przed pchnięciem drugiego napastnika, jednocześnie parując cięcie trzeciego. W oczach miała groźny błysk, a na wargach bezlitosny uśmiech. Znów była Valerią z Czerwonego Braterstwa i świst stan' brzmiał w jej uszach jak pieśń weselna.

Miecz Valerii ominął gardę przeciwnika i wbił się na sześć cali w osłonięty skórzanym pasem brzuch. Mężczyzna padł na kolana z jękiem agonii, ale jego wysoki towarzysz natarł wściekle, uderzając raz po raz z

taką furją, że Valeria nie miała możliwości zadania ciosu. Cofała się z zimną rozwagą, parując uderzenia i czekając na okazję, by wymierzyć śmiertelne pchnięcie. Nie będzie mógł długo utrzymać tego huraganu ciosów — myślała. Jego ramię osłabnie, zabraknie mu tchu; zmęczy się i ustanie, a wtedy jej ostrze gładko wbije się w jego serce. Zerkając w bok ujrzała Techotla klęczącego na piersi przeciwnika i starającego się oswobodzić rękę uzbrojoną w sztylet. Pot perlił się na czole jej napastnika, a jego oczy płonęły jak węgle. Wytężając wszystkie siły nie był w stanie przełamać ani osłabić jej obrony. Zaczął dyszeć spazmatycznie i jego ciosy padały nieskładnie. Valeria odskoczyła w tył by wytrącić go z równowagi — i jej nogi znalazły się w stalowym uścisku. Zapomniała o rannym napastniku.

Klęcząc aa posadzce, raimy przytrzymał ją obejmując oburącz uda, a jego towarzysz zarechotał z tryumfem i począł zachodzić ją z lewej strony. Valeria szarpała się i wyrywała — daremnie. Mogła oswobodzić się z niebezpiecznego uścisku jednym cięciem miecza, ale w tej chwili zakrzywiona klinga wysokiego wojownika strzaskałaby jej czaszkę. Ranny, jak dzika bestia, wbił zęby w nagie udo dziewczyny.

Valeria sięgnęła lewą ręką i chwyciwszy za długie włosy pociągnęła głowę rannego w tył, tak że uniósł w górę twarz błyskając białymi zębami i tocząc błędnym spojrzeniem. Wysoki napastnik krzyknął dziko i doskoczył wymierzając z całej siły wściekły cios. Dziewczyna niezręcznie odparowała cios i ostrze spadło na płask uderzając ją w głowę, aż zobaczyła wszystkie gwiazdy. Zachwiała się, a napastnik wzniósł ponownie miecz wydając głuchy, zwierzęcy okrzyk tryumfu. Wtedy wyłoniła się za nim gigantyczna postać i stal opadła z piorunującą szybkością. Okrzyk wojownika urwał się nagle a on sam padł jak wół pod toporem rzeźnika, z mózgiem tryskającym z czaszki rozplątanej aż po gardziel.

— Conan! — wydyszała Valeria. W porycie pasji zwróciła się ku Xotalancaninowi, którego długie włosy nadal ścisnęła w lewej ręce. — Do piekła, psie!

Jej меч świsnął przecinając powietrze zamaszystym łukiem i bezgłowe ciało upadło ciężko, tryskając krwią. Cisnęła przez komnatę odrąbaną głowę.

— Co się tu dzieje, do diabła? — Conan ze swoim szerokim mieczem

w dłoni obszedł ciało człowieka, którego zabił, spoglądając na niego ze zdumieniem.

Krwawiący z głębokiej rany w udzie Techotl podniósł się znad wijącego się w agonii ciała ostatniego z Xotalancan, strząsając czerwone krople z ostrza sztyletu. Patrzył na Conana rozszerzonymi oczyma.

— Co to wszystko znaczy? — dopytywał się Conan. Jeszcze nie otrząsnął się ze zdziwienia w jakie wpadł znalazłszy Valerię wplątaną w dziką bitwę z tymi dziwnymi mieszkańcami mis które uznał za opuszczone. Kiedy wrócił z bezowocnej wyprawy do górnych komnat i stwierdził, że Valerii nie ma w miejscu gdzie ją pozostawił, ruszył w kierunku z jakiego dochodziły odgłosy utarczki,

— Pięć martwych psów! — wykrzyknął Techotl z oczami płonącymi upiorną radością. — Pięciu zabitych! Pięć krwawych ćwieków dla Czarnej Kolumny! Bogom krwi niech będą dzięki!

Podniósł w górę drżące ręce, a potem ze zwierzęcym grymasem na twarzy począł pluć na zwłoki i kopać je, tańcząc z niesamowitej radości. Nowi sprzymierzeńcy spoglądali na niego ze zdumieniem.

— Kim jest ten szaleniec? — zapytał Conan po aquilońsku.

Valeria wzruszyła ramionami.

— Mówi, że na imię ma Techotl. Z jego bełkotania zrozumiałam tylko, że jego lud mieszka na jednym końcu tego zwariowanego miasta, a tamci — wskazała ruchem głowy na leżących — na drugim. Chyba lepiej będzie pójść z nim. Wydaje się przyjaźnie nastawiony, a jak łatwo zauważyć, ci z drugiego klanu nie powitali nas miło.

Techotl przestał tańczyć i znów nasłuchiwał jak pies, z głową przechyloną na bok. Na jego odrażającej twarzy strach mieszał się z tryumfem.

— Chodźcie stąd... Natychmiast! — szepnął. — Dosyć zrobiliśmy! Pięć martwych psów! Mój lud powita was z radością! Uhonoruje was! Chodźcie! Do Tecuhlti jest daleko. W każdej chwili Xotalancanie mogą nadejść w liczbie zbyt wielkiej nawet dla waszych mieczy!

— Prowadź — zgodził się Conan.

Techotl skierował się natychmiast ku schodom wiodącym na krążanek, dając wędrowcom znak, by poszli w jego ślady. Ruszyli spiesznie trzymając się tuż za nim. Osiągnąwszy galerię zanurzyli się w prowadzące na zachód korytarze i szybko przemierzali komnatę za

komnatą, wszystkie oświetlone światłem zielonych kamieni lub padającym przez otwory w sufitach.

— Ciekawe, co to za lud — zamruczała pod nosem Valeria.

— Crom wie! — odparł Conan. — Widziałem już jednak takich jak on. Zamieszkują brzegi jeziora Zuad, blisko granicy Kuch. Są mieszkańcami Stygijczyków i innej rasy, która przywędrowała do Stygii ze wschodu kilkaset lat temu i została przez nich wchłonięta. Nazywają siebie Hazitlanami. Gotów jestem jednak się założyć, że to nie oni wybudowali to miasto.

Mimo iż oddalali się od komnaty, gdzie leżeli zabici, przestkach Techotla wcale nie wydawał się zmniejszać. Ustawicznie obracał głowę nasłuchując odgłosów pościgu i wpatrywał się z napiętą uwagą w każde drzwi, które mijali.

Valeria drżała mimowolnie. Nie obawiała się żadnego człowieka, lecz posępna posadzka pod stopami, niesamowity blask zielonych kamieni, przyczajone w kątach cienie i przerażenie milczącego przewodnika napełniały ją dziwnym lękiem i poczuciem zagrożenia.

— Mogą być między nami a Tecuhltli! — szepnął Techotl. — Musimy się wystrzeżać, bowiem mogą czekać w ukryciu!

— Dlaczego nie wyjdziemy z tego piekielnego pałacu i nie pójdziemy ulicami? — dopytywała się Valeria.

— Nie ma ulic w Xuchotl — odparł — ani placów, ani dziedzińców. Całe miasto zbudowane jest jak olbrzymi pałac, pod jednym wielkim dachem. Najbardziej podobna do ulicy jest Wielka Sala, ciągnąca się od północnej bramy do południowej. Jedyna droga na zewnątrz wiedzie przez bramy miasta, ale od pięćdziesięciu z górą lat nie przeszedł przez nie żaden człowiek.

— Od jak dawna mieszkacie tutaj? — spytał Conan.

— Urodziłem się w zamku Tecuhltli trzydzieści pięć lat temu. Nigdy nie postawiłem stopy poza murami miasta. Na litość boską — bądźmy cicho! Te sale mogą być pełne ukrytych wrogów. Olmec opowie wam wszystko, gdy dotrzemy do Tecuhltli.

Tak więc podążali w milczeniu. Zielone kamienie lśniły nad ich głowami, posadzki płonęły posępnym blaskiem i Valerii zdawało się, że wędrują przez Piekło, prowadzeni przez goblina o ciemnej skórze i prostych włosach. Gdy przechodzili przez niezwykle szeroką komnatę

Conan dał znak, by się zatrzymali. Jego wyćwiczony w leśnej dziczy słuch był jeszcze lepszy niż wyostrzony przez lata walki w tych cichych korytarzach słuch Techotla.

— Myślisz, że kilku twoich wrogów może czekać przed nami w zasadzce?

— Kręcą się po tych komnatach przez cały czas — odparł Techotl — tak jak i my. Sale i korytarze między Tecuhltli a Xotalanc to obszar sporny, ziemia niczyja. Nazywamy je Salami Cisy. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ przed nami są ludzie — rzekł Conan. — Słyszałem brzęk stali uderzającej o kamień.

Techotl znów zadygotał i zacisnął zęby, by powstrzymać szcęknięcie.

— Może to twoi przyjaciele? — poddała Valeria.

— Nie wolno nam ryzykować — wysapał i ruszył z szaloną szybkością. Przemknął przez boczne drzwi do komnaty na lewo, z której schody z kości słoniowej wiodły w dół, w ciemności.

— Prowadzą do nieoświetlonego korytarza pod nami! — syknął. Wielkie krople potu perliły mu się na czole. — Tam też mogą się czaić. To może być podstęp, żeby nas tam zwabić. Musimy jednak zaryzykować i przyjąć, że zastawili na nas pułapkę w pokojach na górze. Chodźcie... cicho!

Bezszelestnie jak zjawy zeszli po schodach do ciemnego jak noc korytarza. Przez chwilę czaili się, nasłuchując, po czym wtopili się w ciemność.

Valerii ciarki przebiegły po plecach; idąc po ciemku w każdej chwili spodziewała się morderczego ciosu. Oprócz żelaznego uścisku palców Conana na swym ramieniu nie czuła fizycznej obecności swych towarzyszy. Żaden nie robił więcej hałasu niż kot Wokół panował absolutny mrok. Dziewczyna dotykała ściany jedną wyciągniętą ręką, od czasu do czasu wyczuwając pod palcami drzwi. Wydawało się, że korytarz nigdy się nie skończy.

Nagle dolatujący z tyłu dźwięk pobudził ich do działania. Valeria znów poczuła dreszcz przebiegający po plecach; rozpoznała odgłos cicho otwieranych drzwi. Jacyś ludzie weszli za nimi do korytarza. W tej samej chwili potknęła się o coś, co przypominało ludzką czaszkę i potoczyło się z przeraźliwie głośnym grzechotem po posadzce.

— Biegiem! — zawył Techotl histerycznym głosem i pomknął

korytarzem szybko jak duch.

Valeria ponownie poczuła, że ramię Conana nieledwie unosi ją w powietrzu i ciągnie w ślad za przewodnikiem. Conan nie widział lepiej niż ona w ciemnościach, ale posiadał jakieś instynktowne wyczucie kierunku. Bez jego pomocy i przewodnictwa przewróciłaby się lub wpadła na ścianę. Pędzili korytarzem, a cichy tupot nóg ścigających ciągle się przybliżał.

Nagle Techotl wydyszał:

— Na schody! Za mną, szybko! Och, szybko! — wyciągnął w mroku rękę i chwycił Valerię za ramię, gdy potknęła się na stopniach.

Czuła jak pół ciągną pół wnoszą ją po schodach. W połowie drogi Cymmerianin puścił jej rękę i odwrócił się. Słuch i instynkt podpowiadały mu, że prześladowcy siedzą mu na karku.

I NIE WSZYSTKIE DŹWIĘKI WYWOŁANE BYŁY PRZEZ LUDZKIE ISTOTY

Coś wypęzło na schody; coś co wiło się, szeleściło i powodowało zimny powiew w powietrzu. Conan ciął swym wielkim mieczem i poczuł, jak ostrze rozcina coś, co mogło być ciałem i kością i wbija się głęboko w stopnie. Jego stopy dotknęło coś zimnego jak dotknięcie mrozu, a potem ciemność w dole przeszył straszliwy trzask i łomot oraz ludzki krzyk agonii.

W następnej chwili Conan przebiegł schody i otwarte drzwi na ich szczycie. Valeria i Techotl już tam byli; Techotl zatrzaskał drzwi i zasunął rygiel — pierwszy, jaki Conan widział od czasu gdy przekroczyli bramy miasta.

Tecuhltlanin obrócił się i pobiegł w głąb jasno oświetlonej komnaty, w której się znajdowali. Kiedy przebiegali przez drzwi na jej końcu Conan rzucił okiem w tył i zobaczył, że zamknięte drzwi uginają się i trzeszczą pod gwałtownym naporem z drugiej strony. Techotl zdawał się odzyskiwać pewność siebie, chociaż nie zwalniał kroku i nie zaniechał ostrożności. Zachowywał się jak człowiek znajdujący się na dobrze znanym terenie, blisko przyjaciół.

Mimo to wpadł ponownie w przerażenie, gdy Conan zapytał:

— Co to było, to, z czym walczyłem na schodach?

— Ludzie z Xotalanc — odparł Techotl nie oglądając się. — Mówiłem wam, że pełno ich w komnatach.

— To nie był człowiek — mruknął Conan. — To było coś pełzającego, w dotknięciu zimne jak lód. Sądzę, że przeciąłem to na pół. Spadło na ludzi, którzy nas ścigali i musiało zabić jednego z nich w śmiertelnych skurczach.

Techotl odwrócił gwałtownie głowę — twarz miał popielato — szarą. Z najwyższym trudem przyspieszył kroku.

— To był Pełzacz! Potwór, którego wywołali z katakumb do pomocy! Nigdy go nie widzieliśmy, ale znajdowaliśmy naszych ludzi straszliwie przez niego zmasakrowanych. Na Seta — pospieszcie się! Jeżeli jest na naszym tropie, będzie nas ścigał aż do samych wrót Tecuhltli!

— Wątpię — mruknął Conan. — Tam na schodach zadałem mu potężny cios.

— Spieszcie się! Spieszcie się! — jęczał Techotl.

Przebiegli kilka zielono oświetlonych komnat, przecięli szeroki przedsionek i stanęli przed olbrzymimi wrotami z brązu.

— To jest Tecuhltli! — rzek Techotl.

3

Techotl załomotał w drzwi zaciśniętą pięścią i stanął bokiem do nich, tak że mógł obserwować przedsionek.

— Zdarzało się, że ludzie ginęli tutaj kiedy sądzili, że są bezpieczni — rzekł.

— Dlaczego nie otwierają bramy? — zapytał Conan.

— Patrzą na nas przez Oko — odparł Techotl. Wasz widok ich zadziwił. Podniósł głos i zawołał — Otwieraj, Excelanie! To ja, Techotl wraz z przyjaciółmi z wielkiego świata za puszcza!

— Otworzą — zapewnił sprzymierzeńców.

— Lepiej niech zrobią to szybko — rzekł Conan ponuro. — Słyszę, jak coś pełźnie po posadzce do przedsionka.

Techotl ponownie poszarżał i zaatakował wrota pięściami:

— Otwórzcie, durnie, otwórzcie! Pełzacz depcze nam po piętach!

W tejże chwili wielkie wrota z brązu uchyliły się bezszelestnie, odsłaniając ciężki łańcuch, a za nim lśniące ostrza włócznie i spoglądające czujnie na przybyszów twarze o dzikich rysach. Po chwili łańcuch opadł i Techotl z nerwowym pośpiechem nieomal przeciągnął ich przez próg.

Gdy wrota zamykały się, Conan spojrzął przez ramię w głąb rozległego, mrocznego przedsionka i ujrzał na jego końcu niewyraźnie zarysowany, gadzi kształt. Bładowe, wijące się z trudem zwoje przelewały się przez drzwi komnaty do obszernego przedsionka, a odrażający, zlany krwią łeb kiwał się chwiejnie. Później zamykające się wrota zasłoniły widok.

Kiedy znaleźli się wewnątrz czworobocznej komnaty, zasunięto masywne rygle i założono łańcuch. Wrota mogły wytrzymać ciężkie oblężenie. Pilnowało ich czterech strażników — ciemnoskórych, prostowłosych jak Techotl, z włóczniami w dłoniach i mieczami u boku. W ścianie przy wrotach znajdował się skomplikowany układ luster tak ustawiony, że przez wąską szybę z kryształu można było spoglądać nie dając się zauważyć z zewnątrz. Conan odgadł, że to jest wspomniane przez Techotla Oko.

Czterej strażnicy, ze zdumieniem spoglądali na przybyłych, lecz nie zadawali pytań, a Techotl nie raczył im udzielić żadnych wyjaśnień. Zachowywał się z dużą pewnością siebie, tak jakby niezdecydowanie i strach opuściły go z chwilą, gdy przekroczył próg.

— Chodźcie! — popędzał swych nowych przyjaciół, ale Conan spojrzął na wrota.

— A co z tymi, co nas ścigali? Nie będą szturmować bramy? Techotl potrząsnął głową.

— Wiedzą, że nie mogą wyłamać Wrót Orła. Ruszą z powrotem do Xotalanc razem ze swą pełzającą bestią. Chodźcie! Powiodę was do władców Tecuhltli.

Jeden ze strażników otworzył drzwi naprzeciwko i wkroczyli do przedsionka oświetlonego światłem padającym przez otwory i promieniami mrugających kamieni ognia, podobnie jak większość pomieszczeń na tym poziomie. Jednak w przeciwieństwie do innych komnat jakie widzieli, to pomieszczenie nosiło ślady zamieszkania.

Aksamitne gobeliny pokrywały błyszczące, nefrytowe ściany; grube dywany leżały na czerwonych posadzkach, a ławy, otomany i fotele z kości słoniowej wyścielono atłasem. Na końcu znajdowały się zdobione drzwi, przed którymi nie wystawiono straży. Techotl bezceremonialnie wszedł i wprowadził przyjaciół do obszernej komnaty, gdzie około trzydzieścioro ciemnoskórych mężczyzn i kobiet, wylegujących się na wyłożonych atłasem sofach, skoczyło na ich widok na równe nogi wydając okrzyk zdumienia.

Oprócz jednego, wszyscy mężczyźni wyglądali podobnie jak Techotl, również ich kobiety, choć dość ładne w pewien posępny, mroczny sposób, miały dziwne oczy i zbyt żylaste ciała. Nosiły sandały, złote napierśniki i krótkie jedwabne spódniczki podtrzymywane paskami inkrustowanymi szlachetnymi kamieniami, a ich czarne grzywy przycięte u nagich ramion przytrzymywały srebrne obręcze.

Na podium z nefrytu stał szeroki fotel z kości słoniowej, a na nim siedziało dwoje ludzi znacznie różniących się od pozostałych. On, olbrzym o potężnie sklepionej piersi i barkach byka jako jedyny ze zgromadzonych nosił gęstą, kruczoczną brodę, sięgającą niemal do pasa. Okrywała go toga z purpurowego jedwabiu, błyszczącego wszystkimi odcieniami czerwieni przy każdym ruchu. Jeden szeroki

rękaw, podciągnięty do łokcia, odsłaniał węzły mięśni na potężnym przedramieniu. Podtrzymująca jego kruczoczarne loki obręcz była wysadzana błyszczącymi klejnotami.

Siedząca u jego boku kobieta na widok przybyszów porwała się na równe nogi z okrzykiem zdumienia i zaledwie przelotnie spojrzawszy na Conana, utkwiała palące spojrzenie w Valerii.

Wysoka i gibka, była najpiękniejszą ze zgromadzonych w komnacie kobiet. Nosiła strój jeszcze bardziej skąpy niż inne kobiety; zamiast spódniczki zaledwie dwa szerokie paski z przetykanej złotem purpurowej tkaniny przymocowane do pasa z przodu i z tyłu. Napierśniki i zdobiona klejnotami obręcz na skroniach dopełniały stroju, noszonego z cyniczną obojętnością. Ze wszystkich ciemnoskórych ludzi tylko w jej oczach nie czaił się pełgający płomień szaleństwa. Po pierwszym okrzyku zdziwienia nie wypowiedziała nawet słowa; stała zaciskając pięści i z napięciem wpatrując się w Valerię. Mężczyzna w fotelu z kości słoniowej siedział bez ruchu.

— Książę Olmec — przemówił Techotl wyciągając ręce o zwróconych grzbietami w dół dłoniach — przywiodłem sprzymierzeńców ze świata za puszcza. W Komnacie Tezota Płonąca Czaszka zabiła Chicmeca, mego towarzysza.

— Płonąca Czaszka! — rozległy się drżące, przestraszone głosy.

— Tak! Potem ja nadszedłem i znalazłem Chicmeca z poderżniętym gardłem. Nim zdołałem ujść, Płonąca Czaszka dopadła mnie i kiedy na nią spojrzałem krew w mych żyłach zamieniła się w lód, a szpik wysechł w mych kościach. Nie mogłem ani walczyć, ani uciec. Mogłem tylko czekać na cios. Wtedy zjawiała się ta kobieta o białej skórze, powaliła ją swym mieczem i słuchajcie! To był xotalancański pies ze skórą pomalowaną na biało i żyjącą czaszką pradawnego czarnoksiężnika na głowie! Teraz czaszka jest rozbita na kawałki, a pies, który ją nosił nie żyje!

Ostatnie słowa wypowiedział z trudną do opisaną, szaloną radością i tłum słuchaczy zawtórował mu dzikimi okrzykami uciechy.

— Czekaście! — zakrzyknął Techotl. — To nie wszystko! Kiedy rozmawiałem z kobietą, napadło na nas czterech Xotalancan! Jednego ja zabiłem — rana w mym udzie dowodzi, jak zaciekła to była walka. Dwóch zabiła kobieta. Lecz byliśmy w ciężkich opałach, gdy nadszedł ten

człowiek i rozłupał czaszkę czwartego. Tak! Pięć czerwonych ćwieków wbijemy w słup zemsty!

Wskazał na czarną kolumnę z hebanu stojącą za podium. Setki czerwonych punktów znaczyło jej wypolerowaną powierzchnię — jasnoczerwone główki miedzianych ćwieków wbitych w czarne drzewo.

— Pięć czerwonych ćwieków jak pięć martwych Xotalancan! — cieszył się Techotl, a straszliwa radość na twarzach słuchaczy czyniła ich niepodobnymi do ludzi.

— Kim są ci ludzie? — zapytał Olmec głosem, który zabrzmiał jak odległy niski ryk byka. Żaden z mieszkańców Xuchotl nie mówił głośno, tak jakby ich dusze wchłonęły ciszę pustych sal i opuszczonych komnat.

— Ja jestem Conan, Cymmerianin — odparł krótko barbarzyńca. — Ta kobieta to Valeria z Czerwonego Braterstwa, korsarz aquiloński. Zbiegliśmy z armii u granic Darfaru, daleko na północy i próbujemy dotrzeć do wybrzeża.

Kobieta na podium przemówiła głośno, płacząc się w pośpiechu:

— Nigdy nie dotrzecie do wybrzeża! Z Xuchotl nie ma ucieczki! Tutaj spędzicie resztę swych dni!

— Co to znaczy? — warknął Conan chwytając za rękojeść miecza i ustawiając się tak, by móc widzieć jednocześnie podium i resztę pomieszczenia. — Chcesz nam powiedzieć, że jesteśmy więźniami?

— Nie to miała na myśli — wtrącił się Olmec. — Jesteśmy przyjaciółmi. Nie zatrzymamy was wbrew waszej woli. Obawiam się tylko, że inne okoliczności uniemożliwią wam opuszczenie Xuchotl.

Rzucił spojrzenie Valerii i opuścił wzrok.

— Ta kobieta to Tascela — rzekł. — Jest księżniczką Tecuhltli. Pozwólmy jednak, by przeniesiono gościom jadło i napoje. Bez wątpienia są głodni i strudzeni długą podróżą.

Wskazał na stół z kości słoniowej i po krótkiej wymianie spojrzeń, awanturnicy usadowili się za nim. Podejrzliwy Cymmerianin wodził po komnacie niespokojnymi oczyma i trzymał miecz na podorędziu. Z zasady nigdy jednak nie odmawiał zaproszenia do jedzenia i picia. Ustawicznie spoglądał na Tascelę, lecz księżniczka wpatrywała się jedynie w jego białoskórą towarzyszkę.

Owiązawszy zranione udo kawałkiem jedwabiu, Techotl usadowił się za stołem by baczyć na potrzeby swych przyjaciół, najwyraźniej

uważając to za zaszczyt i przywilej. Oglądał jadło i napoje przynoszone w złotych dzbanach i półmiskach, próbując wszystkiego, nim postawił przed gośćmi. Podczas gdy jedli, Olmec przyglądał im się ze swojego fotela, spoglądając w milczeniu spod czarnych brwi. Tascela siedziała obok niego z brodą w dłoniach i łokciami wspartymi na kolanach. Jej ciemne, zagadkowe oczy płonęły dziwnym blaskiem, nie odrywając się ani na chwilę od postaci Valerii. Za plecami księżniczki przystrojona, lecz posępna dziewczyna w wolnym rytmie poruszała wachlarzem ze strusich piór.

Posiłek składał się z egzotycznych owoców nieznanymi wędrowcom, ale bardzo smacznych i ciężkiego czerwonego wina o aromatycznym zapachu.

— Przybyliście z daleka — rzekł w końcu Olmec. — Czytałem księgi naszych ojców. Aquilonia leży za ziemią Stygijczyków i Shemitów, za Argos i Zingarą. A Cymeria leży za Aquilonią.

— Oboje lubimy włóczęgę — odparł Conan niedbale.

— Dziwi mnie, jak przebyliście puszcę — rzekł Olmec. — W minionych dniach tysiąc wojowników z trudem zdołało się przedrzeć przez te niebezpieczne ostępy.

— Napotkaliśmy jakiegoś potwora o nogach jak ławy i wielkiego jak mastodont — powiedział Conan obojętnie wyciągając rękę z pucharem, który Techotl z wyraźną przyjemnością napełnił winem — ale kiedy go zabiliśmy, nie mieliśmy więcej kłopotów.

Dzban z winem wypadł z ręki Techotla i z trzaskiem rąbnął o posadzkę. Ciemnoskóra twarz wojownika przybrała barwę popiołu. Olmec skoczył na równe nogi i stał jak uosobienie zdziwienia, a pozostali wydali okrzyk przerażenia i podziwu. Kilka osób osunęło się na kolana, jak gdyby tracąc nagle władzę w nogach. Tylko Tascela zdawała się nie słyszeć.

Conan spoglądał na nich z niedowierzaniem.

— O co chodzi? Czemu tak patrzycie?

— Za... Zabiliście boga — smoka?

— Boga? Zabiłem smoka. Czemu nie? Próbowałem nas pożreć!

— Ale smoki są niepokonane! — wykrzyknął Olmec. — Zabijają się wzajemnie, lecz nigdy jeszcze człowiek nie zabił smoka! Tysiąc wojowników — naszych przodków nie mogło ich zwyciężyć! Miecze

łamały się jak chrust na smoczych łuskach!

— Gdyby waszym przodkom przyszło do głowy, by umaczać włócznie w trującym soku Jabłek Derkety — rzekł Conan z pełnymi ustami — i dźgać nimi w oczy, pysk i tym podobne miejsca, to zobaczyliby, że smoki nie są bardziej nieśmiertelne, niż kawał wołowiny. Ścierwo leży na skraju lasu, przy pierwszych drzewach. Idźcie sobie zobaczyć, jeżeli mi nie wierzycie.

Olmec potrząsnął głową nie z powątpiewaniem, lecz z podziwem.

— To z powodu smoków nasi przodkowie schronili się w Xuchotl — powiedział. — Gdy dotarli na równinę nie ośmielili się ponownie wejść do lasu po drugiej stronie. Zanim dotarli do miasta smoki schwytały i pożarły wielu z nich.

— Zatem wasi przodkowie nie wybudowali Xuchotl? — spytała Valeria.

— Stało już od wieków, kiedy tu przybyli. Od jak dawna — tego nie wiedzieli nawet jego zdegenerowani mieszkańcy.

— Wasz lud przywędrował znad Jeziora Zuad? — pytał Conan.

— Tak. Ponad pół wieku temu szczep Tlazitlan zbuntował się przeciw stygijskiemu władcy i pobity w bitwie umknął na południe. Przez wiele tygodni wędrowali przez trawiaste równiny, pustynie i wzgórza; w końcu doszli — tysiąc wojowników ze swymi kobietami i dziećmi — do wielkiego lasu. Tam napadły na nich smoki i wielu rozdarły na strzępy. Uciekając przed nimi w obłędym strachu, wydostali się na równinę i pośrodku ujrzeni miasto — Xuchotl.

Rozbili obóz w pobliżu miasta, nie ośmielając się opuścić równiny, albowiem w nocy słyhać było odrażające ryki walczących w puszczy potworów. Smoki nieustannie walczyły ze sobą, ale nie wychodziły na równinę. Mieszkańcy miasta zamknęli bramy i zasypali naszych ludzi gradem strzał z murów. Tlazitlanie byli uwięzieni na równinie, otoczeni ścianą lasu jak wielkim pierścieniem; bo zapuszczanie się w puszcze byłoby szaleństwem. W nocy do ich obozu przyszedł skrycie niewolnik z miasta, krew z ich krwi, który jako młody człowiek zawędrował w te strony na długo przedtem z grupą badających teren żołnierzy. Smoki pożarły wszystkich jego towarzyszy, lecz on dotarł do miasta i został niewolnikiem. Zwał się Tolkmec.

Na dźwięk tego imienia płomień zapalił się w ciemnych oczach

słuchaczy, a kilku z nich zakłęto plugawię lub splunęło.

— Obiecał otworzyć bramy wojownikom. Prosił tylko, by wszystkich jeńców oddano w jego ręce. O świcie otworzył bramy. Wojownicy wpadli do środka i posadzki Xuchotl spłynęły krwią. Przebywało tu tylko kilkuset mieszkańców — wymierające resztki potężnego niegdyś ludu. Tolkmec twierdził, że przybyli tutaj dawno temu ze wschodu, ze Starej Kosali, gdy przodkowie tych, którzy teraz zamieszkują Kosalę nadeszli z południa i wygnali pierwotnych mieszkańców. Ci wywędrowali daleko na zachód i w końcu znaleźli tę otoczoną lasem równinę, zamieszkiwaną natenczas przez szczep czarnych ludzi. Z czarnych zrobiono niewolników i zapędzono do budowy miasta. Ze wzgórz na wschodzie sprowadzano marmur, nefryt i lapis lazuli oraz złoto, srebro i miedź, stada słoni dostarczały kości słoniowej. Gdy ukończono budowę, zabito wszystkich czarnych niewolników. Magowie postawili na straży miasta straszliwe potwory; dzięki swej czarnoksięskiej sztuce wskrzesili zamieszkujące kiedyś tę zagubioną ziemię smoki, których olbrzymie kości znaleźli w puszczy. Kości obdarzyli ciałem i życiem, by żywe bestie chodziły po ziemi tak samo, jak czyniły to u zarania czasu. Jednak zakłęcie magów trzymało je w głębi lasu i nie pozwalało im wyjść na równinę.

Tak więc przez długie wieki ludzie zamieszkiwali w Xuchotl i uprawiali żyzną ziemię, dopóki ich mędrcy nie nauczyli się, jak hodować owoce w mieście. Owoce nie sadzone w ziemi, lecz czerpiące pokarm z powietrza — wtedy pozwolili wyschnąć rowom nawadniającym i pograżyli się w zbytku i gnuśności, aż zaczęli chylić się ku upadkowi. Byli już wymierającą rasą, kiedy nasi przodkowie przedarli się przez puszcę i przybyli na równinę. Magowie dawno pomarli a lud zapomniał prastarych sztuk czarnoksięskich. Nie umieli walczyć ani czarami, ani orężem.

Tak więc ojcowie nasi pozabijali mieszkańców Xuchotl, wszystkich prócz setki jeńców, których oddano Tolkmecowi — ich byłemu niewolnikowi i przez wiele dni i nocy sale rozbrzmiewały echemi ich przeraźliwych wrzasków podczas tortur.

Tlazitlanie zamieszkali tutaj, żyjąc przez pewien czas w pokoju pod rządami Tecuhltli i Xotalanca oraz Tolkmeca. Ten ostatni wziął dziewczynę ze szczepu za żonę, a ponieważ otworzył bramę i znał wiele sekretów Xuchotlan, dzielił władzę nad szczepem z braćmi, którzy

przewodzili podczas buntu i ucieczki.

Przez kilka lat żyli w mieście w pokoju, głównie oddając się uciechom stołu i łoża oraz wychowując dzieci. Nie musieli uprawiać ziemi, bo Tolkmec nauczył ich, jak hodować owoce pobierające pokarm z powietrza.

Poza tym zagłada Xuchotlan złamała zakłęcie trzymające smoki w puszczy i nocami ryczały one pod murami miasta. Równina spłynęła krwią wskutek ich odwiecznej wojny i właśnie wtedy...

Ugryzł się w język w środku zdania i po lekkim wahaniu prawił dalej, lecz Conan i Valeria czuli, że powstrzymał się przed wyznaniem czegoś, co uznał za niemądre.

— Żyli w pokoju przez pięć lat. Później — Olmec rzucił krótkie spojrzenie milczącej kobiecie u swego boku — Xotalanc pojął za żonę kobietę, której pożąдали zarówno Tecuhltli jak i stary Tolkmec. W swym szaleństwie Tecuhltli porwał ją. Co prawda, poszła dość chętnie. Tolkmec, na złość Xotalancowi, pomógł Tecuhltli. Xotalanc żądał, by ją oddali z powrotem, a rada szczepu postanowiła pozostawić decyzję kobiecie. Zdecydowała pozostać z Tecuhltli. Rozgniewany Xotalanc starał się odebrać ją siłą i stronnicy obu braci starli się w Wielkiej Sali. Nikt nie chciał ustąpić. Krew popłynęła po obydwu stronach. Spór przerodził się w potyczkę, potyczka w otwartą wojnę. Z zamętu wyłoniły się trzy stronnictwa — Tecuhltli, Xotalanca i Tolkmeca. Już wcześniej, w dniach pokoju, podzielili miasto między siebie. Tecuhltli zamieszkiwał zachodnią dzielnicę miasta, Xotalanc wschodnią, a Tolkmec ze swoją rodziną południową. Złość, niechęć i zazdrość zaowocowały przelewem krwi, gwałtem i mordem. Gdy raz sięgnięto po miecz, nie było już odwrotu; krew żądała krwi i zemsta chyżo ścigała okrucieństwo. Tecuhltli walczył z Xotalancem, a Tolkmec wspomagał raz jedno, raz drugie stronnictwo zdradzając oba, gdy mu to było wygodne. Tecuhltli ze swymi ludźmi wycofał się do dzielnicy przy zachodniej bramie, tu gdzie teraz jesteśmy. Xuchotl jest zbudowane w kształcie okręgu. Tecuhltlanie, którzy nazwali się tak od imienia swego księcia, zajmują zachodnią część okręgu.

Zablokowano wszystkie drzwi łączące dzielnicę z resztą miasta, za wyjątkiem jednych wrót na każdej kondygnacji, które można łatwo obronić. Tecuhltlanie zeszli do podziemi i postawili mur odcinający od

reszty miasta katakumby, gdzie leżą ciała pradawnych Xuchotlan i zabitych w walkach Tlazitlan. Zamieszkaliśmy jak w obleżonym zamku, czyniąc wycieczki i wypadki na wrogów.

Ludzie Xotalanca podobnie umocnili wschodnią dzielnicę miasta, a Tolkmec zrobił to samo przy południowej bramie. Środkowa część została pusta i niezamieszkała. Sale i komnaty stały się polem bitwy i siedliskiem strachu.

Tolkmec walczył z obydwoma klanami. Był bestią w ludzkiej skórze, gorszą niż Xotalanc: znał wiele tajemnic miasta, których nigdy nie wyjawiał. W kryptach katakumb ograbił martwych z ich strasznych sekretów i tajemnic pradawnych królów i czarowników, dawno zapomnianych przez zdegenerowanych Xuchotlan wybitych przez naszych przodków. Mimo to, cała jego magia nie pomogła mu w dniu, gdy my — Tecuhltlanie zdobyliśmy jego warownię i wyrznęliśmy wszystkich jego ludzi. Tolkmeca torturowano przez wiele dni.

Głos Olmeca stał się monotony i spoglądał gdzieś w dal, jakby z głęboką przyjemnością patrzył na scenę z minionych lat.

— Tak — trzymaliśmy go przy życiu, aż wypatrywał śmierci niczym oblubienicy. W końcu wynieśliśmy go jeszcze żywego z sali tortur i cisnęliśmy do lochu, by szczury ogryzały jego kości, gdy umrze. Zdołał jednak uciec jakimś sposobem i zniknął w katakumbach. Tam z pewnością umarł, bowiem jedyna droga z katakumb pod Xuchotl wiedzie przez Tecuhltli, a tu nigdy się nie pojawił. Nigdy nie znaleziono jego kości, a przesądni wśród naszych ludzi przysięgają, że jego duch do dziś nawiedza krypty, skowycząc wśród kości zmarłych. Dwanaście lat temu wyrznęliśmy klan Tolkmeca, lecz wojna między Tecuhltlanami a Xotalancanami trwa i będzie trwać, aż do ostatniego człowieka. Pięćdziesiąt lat temu Tecuhltli porwał żonę Xotalanca, Od pół wieku trwa walka. Trwała, gdy się urodziłem. Trwała, gdy rodzili się wszyscy obecni w tej komnacie — prócz Tascei. Sądzymy, że będzie trwać do naszej śmierci...

Jesteśmy wymierającą rasą, taką jaką byli Xuchotlanie, których pozabijali nasi przodkowie. Gdy rozpoczynała się wojna każde stronnictwo liczyło kilkaset osób. Teraz jest nas, Tecuhltlan tyłu, ilu stoi przed tobą, nie licząc ludzi pilnujących czterech bram; razem czterdzieści osób. Jak wielu Xotalancan pozostało — nie wiem, lecz wątpię, by było

ich więcej od nas. Od piętnastu lat nie urodziło się u nas ani jedno dziecko i nie widzieliśmy żadnego u Xotalancan. Wymieramy, ale nim umrzemy, zabijemy tylu Xotalancan ilu bogowie pozwolą.

Z ogniem w posępnych żrenicach Olmec opowiadał długo o tej strasznej wojnie, toczącej się w cichych komnatach i mrocznych salach przy blasku kamieni ognia, na posadzkach płonących piekielną czerwienią i zbryzganych krwią z rozrąbanych ciał. Długotrwała rzeź wyniszczyła całą generację. Xotalanc nie żył od dawna, zabity w ponurej bitwie na schodach z kości słoniowej. Nie żył też Tecuhltli, żywcem obdarty ze skóry przez rozwścieczonych Xotalancan, którzy go pojмали.

Bez śladu wzruszenia Olmec opowiadał o straszliwych bitwach w ciemnych korytarzach, o zasadzkach na krętych schodach, o krwawych rzeziach. Głęboko osadzone, ciemne oczy pałały czerwonym blaskiem, gdy mówił o mężczyznach i kobietach obdartych żywcem ze skóry, okaleczonych i porąbanych, o jeńcach wyjątych z bólu podczas tortur tak okropnych, że nawet Cymmerianin — barbarzyńca wzdragał się z odrazy. Nic dziwnego, że Techotl trząsał się ze strachu na myśl o wpadnięciu żywcem w ręce wrogów! A jednak wyruszył by zabić, jeśli zdoła, wiedziony nienawiścią silniejszą od strachu. Olmec mówił dalej, o sprawach mrocznych i tajemniczych, o czarnej magii i sztukach czarnoksięskich, o upiornych stworzeniach ciemności przywoływanych na pomoc z czarnych głębi katakumb. W tym wszystkim Xotalancanie mieli przewagę, bo to we wschodniej części katakumb spoczywały kości prastarych Xuchotlan, razem z ich zapomnianymi sekretami.

Valeria słuchała z chorobliwym zainteresowaniem.

Waśń stała się straszliwym, prymitywnym żywiołem, popychającym mieszkańców Xuchotl ku nieuniknionej zagładzie i samozniszczeniu. Zemsta wypełniała im całe życie. Rodzili się i zamierzali umrzeć w walce. Nigdy nie opuszczali swej zabarykadowanej warowni, chyba żeby zakraść się do Sal Ciszy leżących między wrogimi obozami, by zabijać i dawać się zabić. Czasem wojownicy wracali z oszalałymi ze strachu jeńcami lub z ponurymi dowodami zwycięstwa. Czasem nie wracali w ogóle lub powracali tylko jako porąbane ochłapy, porzucone pod zaryglowanymi wrotami z brązu. Ludzie ci wiedli niesamowity, koszmarne żywot, odcięci od reszty świata, schwytani jak króliki w tę samą pułapkę, wyrzynając się nawzajem, czając się i skradając

mrocznymi korytarzami, mordując, kalecząc i torturując.

Gdy Olmec opowiadał, Valeria czuła wpatrzona w nią oczy Tasceli. Księżniczka zdawała się nie słyszeć tego, o czym mówił Olmec. Na wspomnienie zwycięstw albo klęsk jej twarz nie przybierała wyrazu dzikiej radości, ani zwierzęcej wściekłości, ukazujących się na twarzach innych Tecuhltlan. Waśń, która stała się obsesją ludzi jej klanu, nie miała dla niej znaczenia. Ta gruboskóra nieczułość wydała się Valerii bardziej odrażająca niż nagie okrucieństwo Olmeca.

— Nigdy nie opuszczamy miasta — mówił Olmec. — Przez pięćdziesiąt lat opuścili je tylko ci...

Znów przerwał w połowie zdania.

— Gdyby nawet zagrażały nam smoki — ciągnął — my, urodzeni i wychowani w mieście, nie ośmielilibyśmy się stąd odejść. Nikt z nas nie postawił stopy za murami. Nie przywykliśmy do słońca i nieba nad głową. Nie, urodziliśmy się w Xuchotl i w Xuchotl umrzemy.

— No — rzekł Conan — za waszym pozwoleniem, my zaryzykujemy ze smokami. Ta waśń to nie nasza sprawa. Jeśli pokażecie nam drogę do zachodnich wrót ruszymy zaraz.

Tascela zacisnęła dłonie i zaczęła coś mówić, lecz Olmec przerwał jej:

— Już zmierzcha. Jeżeli będziecie wędrować nocą po równinie, niechybnie staniecie się łupem smoków.

— Przeszliśmy równinę zeszłej nocy i spaliliśmy pod gołym niebem nie widząc żadnego z nich — zareplikował Conan.

Tascela uśmiechnęła się ponuro — Nie ośmielicie się opuścić Xuchotl!

Conan spojrzał na nią z instynktowną wrogością. Nie patrzyła na niego, lecz na siedzącą naprzeciw niego Valerię.

— Myślę, że się ośmielą — stwierdził Olmec. — Conanie i Valerio, bogowie musieli nam was zesłać, by oddać zwycięstwo w ręce Tecuhltlan! Jesteście zawodowymi wojownikami — dlaczego nie mielibyście walczyć dla nas? Mamy obfitość bogactw; w Xuchotl jest tyle cennych klejnotów, ile brukowców w miastach całego świata. Niektóre Xuchotlanie przynieśli ze sobą z Kosali. Inne, jak kamienie ognia, znaleźli w górach na wschodzie. Pomóżcie nam rozprawić się z Xotalancanami, a damy wam tyle klejnotów, ile zdołacie unieść.

— A pomożecie nam zgładzić smoki? — spytała Valeria. — Trzydziestu ludzi uzbrojonych w łuki i strzały może zabić wszystkie

smoki w puszczy.

— Tak! — odparł Olmec pospiesznie. — Zapomnieliśmy, jak obchodzić się z łukiem, walcząc wręcz przez długie lata, ale możemy się znów nauczyć.

— Co ty na to? — Valeria spytała Cymmerianina.

— Jesteśmy włóczęgami bez grosza — uśmiechnął się zuchwale. — Mogę równie dobrze zabijać Xotalancan jak kogoś innego.

— A więc zgadzacie się? — wykrzyknął Olmec, a Techotl wprost nie posiadał się z radości.

— Tak. Teraz może pokażecie nam komnaty, w których będziemy spać, byśmy wypoczęli, nim zaczniemy jutro zabijać.

Olmec skinął głową. Na ten gest Techotl i jedna z kobiet poprowadzili awanturników korytarzem, którego wejście znajdowało się na lewo od nefrytowego podium. Oglądając się za siebie Valeria zobaczyła odprowadzającego ich wzrokiem Olmeca, siedzącego na tronie z brodą opartą na pięści. Jego oczy płonęły posepnym blaskiem. Wygodnie oparta Tascela szeptała coś do ucha Jasali — służącej o ponurej twarzy, która pochyliła głowę nadstawiając ucha szepczącym wargom księżniczki.

Przedsionek był węższy niż większość tych, przez które przeszli, lecz dość długi. Niebawem kobieta zatrzymała się, otworzyła drzwi i usunęła się na bok przepuszczając Valerię.

— Czekaj chwilę — warknął Conan. — Gdzie ja śpię? Techotl wskazał na następne drzwi, umieszczone po drugiej stronie korytarza. Conan zawahał się i zdawał się mieć zastrzeżenia, ale Valeria uśmiechnęła się pogardliwie i zamknęła mu drzwi przed nosem. Cymmerianin zamruczał coś niepochlebnego o wszystkich kobietach i pomaszerował korytarzem za Techotlem.

Conan rozejrzał się po bogato zdobionej komnacie, jaką mu przydzielono i spojrzął na świetliki pod sufitem. Kilka otworów miało wystarczającą średnicę, by szczupły mężczyzna mógł się nimi precyzyjnie przeczisnąć po rozbiciu szkła.

— Dlaczego Xotalancanie nie wejdą na dach i nie przedostaną się przez te okna? — zapytał.

— Są nietłukące — odparł Techotl. Ponadto trudno byłoby wspinać się po dachach. Większość z nich to kopuły i iglice o ostrych krawędziach.

Techotl dobrowolnie udzielił innych informacji o zamku. Tak jak

reszta miasta, zamek miał cztery poziomy — czy też piętra, komnat o dachach wyciągniętych w wieże. Każde piętro miało swoją nazwę. Xuchotlanie nadali nazwy każdej komnacie, sali, każdym schodom w mieście — tak, jak mieszkańcy bardziej normalnych miast nazywają ulice i dzielnice. W Tecuhltli piętra nosiły następujące nazwy: najwyższe, czwarte — Orła i kolejno: Małpy, Tygrysa i Żmii.

— Kim jest Tascela? — spytał Conan. — Żoną Olmeca? Techotl wzdrygnął się i szybko spojrzął za siebie nim odpowiedział.

— Nie. Ona jest... jest Tascelą! To żona Xotalanca — kobieta, którą porwał Tecuhltli, przez co rozpoczęła się wojna.

— O czym ty mówisz? — pytał Conan. — Ta kobieta jest młoda i piękna. Chcesz mi wmówić, że była mężatką pięćdziesiąt lat temu?

— Tak! Przysięgam! Była dojrzałą kobietą, kiedy Tlazitlanie wyruszyli znad Jeziora Zuad. Xotalanc i jego brat zbuntowali się i umknęli w puszcę, ponieważ władca Stygii chciał uczynić Tascelę swą nałożnicą. To czarownica; zna sekret wiecznej młodości.

— Jaki sekret? — spytał Conan.

— Nie pytaj! Nie ośmielę się wyjawić! To zbyt straszne, nawet jak na Xuchotl.

Przykładając palec do ust, wyśliznął się z komnaty.

4

Valeria odpięła pas z mieczem i położyła go przy łożu, na którym miała spać. Zauważyła drzwi zaopatrzone w rygle i spytała, gdzie prowadzą.

— Te do sąsiednich komnat — odpowiedziała kobieta, wskazując drzwi po prawej i po lewej stronie — a te na korytarz wiodący ku schodom, którymi schodzi się do katakumb — wskazała na obite miedzią drzwi naprzeciw wejścia. — Ale nie lękaj się. Nic ci tu nie grozi.

— Kto mówi o lęku? — ucięła Valeria. — Chcę tylko wiedzieć w jakim porcie zarzucam kotwicę. Nie, nie chcę byś spała przy moim łóżku. Nie przywykłam by mi ktoś usługiwał — przynajmniej nie kobieta. Możesz odejść.

Gdy została sama zaryglowała wszystkie drzwi, kopnięciem zrzuciła buty i wyciągnęła się wygodnie na łożu. Wyobraziła sobie Conana podobnie ułożonego w swoim pokoju, ale kobieca próżność poddała jej natychmiast inny obraz: boleśnie upokorzony Cymmerianin, gniewnie mamrocząc, ciska się po swym samotnym łożu. Zapadając w drzemkę uśmiechnęła się złośliwie.

Nad miastem zapadła noc. Nocny wiatr jęczał jak zbłąkana dusza gdzieś między ciemnymi wieżami. W salach Xuchotl zielone kamienie ognia lśniły jak oczy prehistorycznych kotów. Mrocznymi korytarzami poczęły się skradać niewyraźne, bezcielesne postacie.

Valeria obudziła się nagle. W mglistym, szmaragdowym blasku kamieni ognia ujrzała pochyloną nad nią, niewyraźną postać. W oszołomionych oczach Valerii zjawą zdała się przez chwilę być częścią snu, jaki śniła. Wydawało się jej, że leży tak jak leżała, na sofie w komnacie, a nad nią pulsuje, faluje olbrzymi czarny kwiat tak wielki, że sięga sufitu. Jego egzotyczny zapach owładnął nią całkowicie, wprowadzając w rozkoszne, zmysłowe omdlenie będące czymś więcej, a zarazem mniej niż snem. Zapadała w pachnące fale błogiej nieświadomości, gdy coś dotknęło jej twarzy. Oszołomione zmysły Aquilonki były tak wyczulone, że lekkie dotknięcie przywróciło ją

natychmiast do przytomności jak silny cios. Wtedy zobaczyła nas sobą nie potwornej wielkości kwiat, lecz ciemnoskórą kobietę.

Wraz ze świadomością przyszedł gniew i natychmiastowe działanie. Kobieta odwróciła się chyżo, lecz nim zdołała uciec, Valeria stanęła na nogi i chwyciła ją za ramię. Kobieta walczyła przez chwilę jak dziki kot, ale poddała się czując miazdzącą przewagę przeciwniczki. Valeria obróciła ją szarpnięciem twarzą do siebie, wolną ręką ujęła za brodę i zmusiła do uniesienia głowy. Była to Yasala, służąca Tasceli.

— Co tu robiłaś, do diabła? Co tam masz w ręce? Kobieta nie odpowiedziała, próbując coś odrzucić w kąt.

Valeria wykręciła jej rękę i „coś” upadło na posadzkę — duży, czarny, egzotyczny kwiat na nefrytowozielonej łodydze, z pewnością wielki jak kobieca głowa, lecz maleńki w porównaniu z sennym majakiem.

— Czarny lotos! — wycedziła Valeria przez zęby. — Kwiat, którego zapach sprowadza głęboki sen. Próbowalaś mnie uśpić! Gdybyś nie dotknęła przypadkiem mojej twarzy płatkami... Dlaczego to robiłaś?

Yasala trwała w ponurym milczeniu, Valeria z przekleństwem obróciła ją i wykręcając jej rękę na plecy zmusiła, by uklękała.

— Mów, albo wyrwę ci rękę!

Yasala skręcała się z bólu, gdy Valeria bezlitośnie wykręcała jej ramię, ale jedyną jej odpowiedzią było gwałtowne potrząsanie głową.

— Suka! — Valeria cisnęła ją na podłogę i spoglądając na powaloną roziskrzonym wzrokiem. Lęk i wspomnienie palącego spojrzenia Tasceli zmieszały się w niej, budząc drapieżny instynkt samozachowawczy. Ten lud chylił się ku upadkowi; można się było po nich spodziewać każdej przewrotności. Jednak Valeria czuła, że kryje się za tym coś więcej, jakaś groźna tajemnica gorsza niż zwykły podstęp. Ogarnęła ją fala lęku i obrzydzenia do tego posępnego miasta, którego mieszkańcy nie byli normalnymi ludźmi. Szaleństwo tliło się w ich oczach, z wyjątkiem okrutnych, zagadkowych oczu Tasceli, kryjących tajemnice i zagadki mroczniejsze niż szaleństwo.

Uniosła głowę i nasłuchiwała bacznie. Sale Xuchotl były ciche, jak gdyby było ono naprawdę wymarłym miastem. Zielone klejnoty oblewały komnatę koszmarnym blaskiem, w którym zwrócone ku Valerii oczy klęczącej na posadzce kobiety lśniły niesamowicie. Dreszcz lęku przeszył Aquilonkę, pozbawiając jej dziką duszę resztek litości.

— Dlaczego próbowałaś mnie uspić? — syknęła, chwytając kobietę za czarne włosy i zaglądając w uparte oczy o długich rzęsach. — Tascela cię wysłała?

Brak odpowiedzi. Valeria zakłęła jadowicie i otwartą dłonią uderzyła kobietę w twarz, najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Komnata rozbrzmiewała odgłosem uderzeń, ale Yasala nie wydała dźwięku.

— Dlaczego nie wrzeszczysz? — dopytywała się wściekła Valeria. — Obawiasz się, że ktoś cię usłyszy? Kogo się boisz? Tasceli? Olmece? Conana?

Yasala nie odpowiadała. Skulona, wpatrywała się w prześladowczynię oczyma złowrogimi, jak u bazyliuszka. Uparte milczenie budzi złość. Valeria obróciła się i urwała kawał sznura z wiszącej obok draperii.

— Uparta suko! — wycedziła przez zęby. — Rozbiorę cię do naga, przywiążę do tego łoża i będę chłostać, aż powiesz co tu robiłaś i kto cię przysłał.

Yasala nie zaprotestowała ani nie stawiała oporu, gdy Valeria spełniała pierwszą część groźby z furią spotęgowaną przez upór schwytej. Później przez dłuższą chwilę w komnacie rozlegał się jedynie świst i chłaięcia mocno splecionego, jedwabnego sznura na nagim ciele. Yasala nie mogła poruszyć mocno przywiązanymi rękami i nogami. Ciało jej wiło się i kurczyło w czasie chłosty, a głowa kołysała się z bolcu na bok w rytmie ciosów. Przygryzła zębami dolną wargę aż do krwi — ale nie krzyczała.

Giętki sznur nie czynił wiele hałasu spadając na drgające ciało pojmanej — jedynie suchy trzask — lecz każdy cios pozostawiał czerwoną pręgę na ciemnym ciele Yasali. Valeria wymierzała karę z całej siły zahartowanego wojaczka ramienia, z bezlitosną sprawnością jakiej nabyła wiodąc życie, w którym ból i męki były na porządku dziennym, z całą cyniczną pomysłowością jaką tylko kobieta może wykazać wobec innej kobiety. Yasala cierpiała bardziej, fizycznie i psychicznie, niżby cierpiała pod ciosami mężczyzny, nawet bardzo silnego.

Właśnie ten kobiecy cynizm poskromił w końcu Yasalę. Z jej ust wydobył się cichy skowyt i Valeria zatrzymała się z uniesionym ramieniem odgarniając z czoła wilgotny kosmyk jasnych włosów.

— No, będziesz mówić? — spytała. — Jeżeli trzeba, mogę to robić całą

noc!

— Litości! — szepnęła kobieta. — Będę mówić...

Valeria przecięła więzy na jej przegubach i kostkach i postawiła ją na nogi. Yasala osunęła się na sofę, półleżąc na jednym nagim biodrze, wsparta na ramieniu, krzywiąc się, gdy obolałe ciało dotknęło sofy. Dygotała cała.

— Wina! — błagała suchymi wargami, wskazując trzęsącą się ręką złote naczynie na stole z kości słoniowej. — Daj mi pić. Osłabłam z bólu. Potem wszystko ci powiem.

Valeria podała jej naczynie i Yasala uniosła się chwiejnie na nogi. Wzięła naczynie, podniosła je do ust — i chlusnęła całą jego zawartość w twarz Aquilonki. Valeria zatoczyła się do tyłu, otrząsając się i wycierając rękami oczy, zalane piekącym płynem. Jak przez mgłę widziała Yasalę podbiegającą do okutych miedzią drzwi, odsuwającą rygiel i wybiegającą na korytarz przez otwarte drzwi. W jednej chwili ruszyła za nią z mieczem w dłoni i żądzą mord w sercu.

Yasala jednak wystartowała pierwsza i biegła z szaloną szybkością kobiety, którą tylko co wychłostano, aż do histerycznego załamania. Minęła zakręt korytarza kilka jardów przed Valerią i kiedy ta dobiegła do rogu, zobaczyła tylko pusty przedsionek, a na jego końcu ziejące czernią otwarte drzwi. Dobywał się z nich wilgotny zapach pleśni. Valeria zadrżała. Te drzwi musiały prowadzić do katakumb. Yasala poszukała schronienia wśród martwych.

Valeria podeszła do drzwi i zajrzała w głąb. Kamienne stopnie szybko ginęły w kompletnych ciemnościach. Najwidoczniej nie łączyły się z niższymi piętrami, prowadząc wprost do podziemi pod miastem. Wzdrygnęła się lekko na myśl o tysiącach okrytych zbutwiałymi szatami zwłok leżących w kamiennych kryptach na dole. Nie miała zamiaru zapuszczać się tam po omacku. Yasala niewątpliwie знаła każdy zakręt i zakamarek tych podziemnych tuneli.

Zawróciła, zawiedziona i wściekła, gdy z ciemności dobiegł jękliwy krzyk. Zdawał się dochodzić z wielkiej głębokości, ale można było rozróżnić niewyraźne słowa i to, że należał do kobiety.

— Och, pomocy! Pomocy, na Seta! Aaaach! — głos zginął w dali i Valerii zdawało się, że pochwyciła uchem echo upiornego chichotu. Dreszcz przebiegł po plecach dziewczyny. Co się przytrafiło Yasali w

gęstych ciemnościach na dole. Valeria nie miała wątpliwości, że to ona krzyczała. Co mogło jej zagrażać? Czyżby ukrywał się tam jakiś Xotalancanin? Olmec zapewnił, że katakumby pod Tecuhtli są oddzielone murem od reszty, zbyt mocnym, by wrogowie mogli się tamtędy przedrzeć. Poza tym ten chichot wcale nie przypominał dźwięku wydawanego przez ludzką istotę.

Aquilonka pospieszyła z powrotem korytarzem, nie tracąc czasu na zamykanie drzwi. Wróciwszy do swej komnaty zatrzasnęła drzwi i zasunęła rygiel. Naciągnęła buty na nogi i przypięła pas z mieczem. Zdecydowała się pójść do pokoju Conana i ponaglić go, jeżeli jeszcze żyje, by przyłączył się do niej i spróbował wyrąbać sobie drogę z tego miasta upiorów.

W momencie, gdy podeszła do drzwi prowadzących na korytarz, w salach zabrzmiał przeciągły krzyk ginącego człowieka, po którym rozległ się tupot biegnących nóg i szczęk mieczy.

5

Na trzecim piętrze, zwanym Poziomem Orła dwaj wojownicy przesiadywali w warowni. Zachowywali się z obojętną, zwyczajową czujnością. Zawsze należało się liczyć z możliwością ataku z zewnątrz na wielkie wrota z brązu, chociaż od wielu lat żadna ze stron nie podjęła takiej próby.

— Przybysze to potężni sojusznicy — powiedział jeden.

— Jestem pewny, że Olmec ruszy jutro na wroga.

Przemawiał tak, jak żołnierz na wojnie. W maleńkim świecie Xuchotl każda garstka zwaśnionych była armią, a puste sale między wrogimi ugrupowaniami polem ich bitwy. Drugi strażnik medytował przez dłuższą chwilę.

— A jeżeli z ich pomocą zniszczymy Xotalančan — rzekł.

— Co wtedy, Xatmec?

— No — odparł Xatmec — wbijemy wiele czerwonych ćwieków. Jeńców będziemy przypiekać, obdzierać ze skóry i ćwiartować.

— Ale potem? — naciskał tamten. — Jak już zabijemy ich wszystkich? Czy to nie będzie dziwne — nie mieć z kim walczyć? Przez całe życie walczyłem i nienawidziłem Xotalančan. Co będę robił, kiedy waśń się skończy?

Xatmec wzruszył ramionami. Nigdy nie wybiegał myślami poza chwilę zniszczenia wrogów. Nie był do tego zdolny. Nagle obaj zdrętwieli, słysząc jakiś hałas za bramą.

— Do drzwi, Xatmec! — syknął ostatni z rozmawiających. — Popatrzę przez Oko.

Z mieczem w garści Xatmec oparł się o mosiężne wrota, wyęzając słuch by usłyszeć coś przez grubą, metalową płytę. Jego towarzysz spojrział w lustro i drgnął gwałtownie. Wokół drzwi tłoczyli się ciemnoskórzy mężczyźni, o ponurych twarzach, trzymając miecze w zębach — I ZATYKALI PALCAMI USZY. Jeden z nich, o głowie przystrojonej piórami miał kilka złączonych rur, które przytknął do warg. W chwili, gdy Tecuhltlanin zamierzał wydać ostrzegawczy okrzyk,

z rur wydobył się cichy pisk.

Krzyk zamarł w gardle strażnika, kiedy wysoki, posępny dźwięk przeniknął metalowe wrota i wpadł mu w uszy. Xatmec pozostał oparty o drzwi, jak sparaliżowany. Jego twarz zdrętwiała w przerażonym zasłuchaniu. Drugi strażnik, bardziej oddalony od źródła dźwięku, czuł grozę sytuacji i straszliwe niebezpieczeństwo' kryjące się w upiornych dźwiękach. Czuł posępne nuty wdzierające się jak niewidzialne palce w komórki jego mózgu, napełniając go obcymi wzruszeniami i budzące szaleństwo. Z najwyższym wysiłkiem woli strząsnął czar z siebie i wrzasnął ostrzegawczo nieswoim głosem. W tej samej chwili melodia przeszła w nieznośne zawrodożenie przesywające jego uszy jak nóż. Xatmec wrzasnął w męce i rozsądek opuścił go jak zdmuchnięty wichrem płomyk. Jak szaleniec zerwał łańcuch, rozwarł gwałtownie drzwi i wypadł na zewnątrz, nim towarzysz zdołał go zatrzymać. Runął na ziemię, powalony tuzinem ciosów, a po jego pokrwawionym ciele Xotalancanie wpadli do strażnicy z przeciągłym, oszalałym z żądy krwi wyciem, które roznosiło się niezliczonym echem w niezwyčajnych hałasach.

Odyskując przytomność umysłu, pozostały przy życiu strażnik skoczył im na spotkanie z nastawioną włócznią. Oszołomienie, w jakie wprawiły go czary których był świadkiem, ustąpiło miejsca przerażeniu. Wróg dostał się do Tecuhltli. Grot włóczni strażnika przeszył czyjeś ciemne ciało, a później nie czuł już nic, bo opadający miecz rozplątał mu czaszkę w chwili, gdy jego dzikoocy pobratymcy nadbiegali z dalszych komnat.

Dziki wycia i szcęk stali poderwały Conana z sofj. W jednej chwili zupełnie przebudzony, dopadł drzwi z mieczem w dłoni i otworzył je szarpnięciem. Wyglądając na korytarz ujrzał nadbiegającego Techotla z oczyma płonącej szaleństwem.

— Xotalancanie! — wrzasnął Techotl głosem niepodobnym do ludzkiego. — Przedostali się przez bramę!

Conan wybiegł na korytarz i jednocześnie Valeria pojawiła się w drzwiach swojej komnaty.

— Co jest, do diabła? — zawołała.

— Techotl mówi, że Xotalancanie wdarli się do Tecuhltli — odparł pospiesznie. — Sądząc po tym rabaniu, ma rację.

Z Tecuhltlaninem depczącym im po piętach wpadli do sali tronowej i zobaczyli obraz przekraczający najdziksze sny o krwi i przemocy. Dwudziestka mężczyzn i kobiet z rozwianymi, czarnymi włosami i wymalowanymi na piersiach czaszkami, zwarła się w walce z mieszkańcami Tecuhltli. Po obu stronach kobiety stawały równie zaciekle jak mężczyźni. Sala i przedsionek były już zasłane trupami.

Olmec nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach, walczył opodal swego tronu, a w chwili gdy Conan i Valeria wkroczyli na scenę, Tascela wybiegła z bocznej komnaty z mieczem w ręku.

Xatmec i jego towarzysz byli martwi, tak więc nie miał kto opowiedzieć Tecuhltlanim, jak wrogowie dostali się do warowni. Nikt też nie mógł powiedzieć, co wywołało ten szaleńczy atak.

Straty Xotalancan musiały być jednak większe i ich położenie znacznie gorsze, niż sądzili Tecuhltlanie. Okaleczenie ich gadziego sprzymierzeńca, zniszczenie Płonącej Czaszki oraz wiadomość, wyszeptana przez umierającego, że tajemniczy białoskórzy przybysze przyłączyli się do ich wrogów przywiodły Xotalancan do szalonej desperacji. Postanowili umrzeć w śmiertelnej walce z odwiecznymi wrogami.

Tacuhltlanie, otrząsnąwszy się z oszołomienia wywołanego niespodziewanym atakiem, podczas którego zepchnięto ich do sali tronowej zadając ciężkie straty, oddawali ciosy z równą wściekłością. Nadbiegali pędem strażnicy z niższych pięter, by rzucić się w wir walki. Walczyli jak stado rozszalałych wilków; zaślepieni, dyszący i bezlitośni. Bitwa przewalała się tam i z powrotem od drzwi do podium. Błyskały ostrza tnące ciała, tryskała krew, niósł się tupot nóg po czerwonej posadzce, na której tworzyły się ciemnoczerwone kałuże. Połamano stoły z kości słoniowej, rozbito w drzazgi ławy, aksamitne draperie zostały podarte i zbryzgane krwią. Każdy z walczących wiedział, że nadszedł finał krwawej, półwiecznej walki. Ostateczny wynik był z góry przesądzony. Tecuhltlanie prawie dwukrotnie przewyższali liczebnie napastników. Ten fakt oraz pojawienie się na polu bitwy jasnoskórych sprzymierzeńców dodały im serca. Conan i Valeria rzucili się w wir walki z niszczącą siłą przelatującego przez zagajnik huraganu. Conan był silniejszy niż trzech Tlazitlan razem wziętych i pomimo swej wagi znacznie zwinniejszy. Wpadł w skłębiony, wirujący tłum pewnie i

niszcząco jak szary wilk w stado ulicznych kundli i kroczył naprzód, pozostawiając za sobą zasłaną trupami posadzkę.

Valeria walczyła u jego boku, z uśmiechem na twarzy i roziskrzonym wzrokiem. Silniejsza niż przeciętny mężczyzna, górowała nad przeciwnikami szybkością i zręcznością w posługiwaniu się mieczem, który w jej ręce wydawał się żywą istotą. Podczas gdy Conan miażdżył przeciwników samą siłą ciosów, łamiąc włócznie, rozcinając czaszki i torsy do pasa, Valeria prezentowała finezję sztuki szermierczej zdumiewając i oszałamiając tych, którzy skrzyżowali z nią ostrza. Raz po raz unoszący w górę swój ciężki brzeszczot wojownik otrzymywał pchnięcie w gardło nim zdążył uderzyć. Conan, górując nad placem bitwy, kroczył wśród zamętu, zadając razy na prawo i lewo, a Valeria poruszała się jak łudzająca zjawą, ciągle zmieniając pozycję, nieustannie tnąc, siekąc i kłując. Raz po raz miecze chybiały jej przeszywając puste powietrze a ich właściciele umierali z jej klingą w sercu lub gardle, słysząc szyderczy śmiech Aquilonki.

W szale bitewnym walczący nie zważali na płęć czy stan przeciwników. Jeszcze nim Conan i Valeria przyłączyli się do walki, pięć xotolancańskich kobiet padło w bitwie, a na każdego ранnego osuwającego się na posadzkę czekał cios nożem po bezbronny gardle lub miażdżące czaszkę kopnięcie obutą w sandał stopą.

Od ściany do ściany, od drzwi do drzwi przetaczały się fale potyczki, rozlewając się po przyległych komnatach. W końcu wielkiej sali tronowej pozostali na nogach jedynie Tecuhtlanie i ich jasnoskórzy sprzymierzeńcy. Ledwie żywi, spoglądając na siebie pustym wzrokiem, pobladli, jak pozostali przy życiu po Sądzie Ostatecznym czy końcu świata. Na szeroko rozstawionych nogach, ściskając poszczerbione i ociekające krwią miecze, spływając krwią własną i cudzą, patrzyli na siebie ponad posiekanymi ciałami przyjaciół i wrogów. Brakło im tchu, by krzyżeć, tylko zwierzęce, oszalałe wycie tryumfu dobywało się z ich ust. Conan chwycił Valerię za ramię i obrócił ją twarzą do siebie.

— Masz ranę w łydce — mruknął.

Popatrzyła w dół, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że pieką ją mięśnie prawej nogi. Któryś z umierających na posadzce wojowników ostatnim wysiłkiem wbił w nią swój sztylet.

— Sam wyglądasz jak rzeźnik — zaśmiała się. Strząsnęła czerwone

bryzgi ze swych rąk.

— To nie moja krew. Och, draśnięcie tu i ówdzie. Nie ma czym się martwić. Ale twoją nogę trzeba zabandażować!

Olmec przeszedł przez pobojuwisko — wyglądał jak upiór. Potężne, nagie ramiona miał zbryzgane krwią, czarną brodę umoczoną w posoce, a nabiegłe czerwone oczy paliły się w wykrzywionej radością twarzy.

— Zwycięstwo! — wykrzyknął chrapliwie w oszołomieniu. — Waść skończona! Psy xotalancańskie martwe! Och, żeby tak choć jednego jeńca do obdarcia żywcem ze skóry! Mimo to, dobrze widzieć ich zwłoki. Dwadzieścia martwych psów! Dwadzieścia czerwonych ćwieków dla czarnej kolumny!

— Lepiej zajmijcie się swoimi rannymi — mruknął Conan odwracając głowę. — Hej, dziewczyno, pokaż mi nogę!

— Czekaj chwilę! — odtrąciła go niecierpliwie. — Skąd wiemy, że to są wszyscy? To mogła być tylko część nieprzyjaciół.

— Nie rozdzielaliby klanu na taki wypad jak ten — powiedział Olmec potrząsając głową i odzyskując nieco zdrowego rozsądku. Bez purpurowej togi wyglądał raczej na odrażającego drapieżnika niż na księcia.

Tascela podeszła wycierając miecz o nagie udo i trzymając w drugiej ręce przedmiot odebrany zabitemu przywódcy Xotalancan, przystrojonymu w pióra.

— Piszczalki szaleństwa — powiedziała. — Jeden z wojowników powiedział mi, że Xatmec otworzył bramę Xotalancanom i został zarąbany, gdy szturmowali strażnicę. Ten wojownik nadbiegł właśnie z dalszej komnaty i zdążył to zobaczyć, a także usłyszeć ostatnie dźwięki posępnej muzyki, od której niemal dusza w nim zamarła. Tolkmec zwykł mówić o tych piszczałkach, a Xuchotlanie przysięgali, że są ukryte gdzieś w katakumbach razem z kośćmi starożytnego maga, który używał ich za swego życia. Xotalancańskie psy zdołały je jakoś odnaleźć i odkryć ich tajemnicę.

— Ktoś powinien pójść do Xotalanc i zobaczyć, czy nie został tam ktoś przy życiu — powiedział Conan. — Pójdę, jeśli ktoś mnie poprowadzi.

Olmec spojrzał na resztę swoich ludzi. Tylko dwudziestka Tecuhltlan przeżyła bitwę, przy czym kilkoro z nich leżało jęcząc na posadzce.

Tascela jako jedyna wyszła zupełnie bez szwanku, chociaż sądząc po

jej wyglądzie, walczyła równie zaciekle jak wszyscy.

— Kto pójdzie z Conanem do Xotalanc? — spytał Olmec. Techotl pokuśtykał ku nim. Do starej rany w udzie doszła nowa, tym razem w lewy bok. Obie rany krwawiły.

— Ja pójdę!

— Nie, ty nie — sprzeciwił się Conan. — I ty też nie, Valerio. Za chwilę noga ci zeszywnieje.

— Ja pójdę! — zgłosił się wojownik obwiązujący bandażem rozcięte ramię.

— Bardzo dobrze, Yanath. Idź z Cymmerianinem. I ty też, Topal.

Olmec wskazał drugiego mężczyznę, który odniósł lekkie obrażenia.

— Ale najpierw pomóżcie przenieść ciężko rannych na łoża, gdzie będzie można opatrzyć ich rany.

Zrobiono to szybko. W pewnej chwili, gdy Olmec pochylał się by podnieść kobietę ogłuszoną uderzeniem maczugi, jego broda otarła się o ucho Topala. Conanowi wydało się, że książę szepnął coś do wojownika, lecz nie był pewien tego. Nie minęło wiele czasu i Cymmerianin ruszył ze swymi dwoma towarzyszami do Xotalanc. Przechodząc przez bramę Conan spojrzał wstecz, na pobojowisko, gdzie na jarzącej się posadzce leżeli martwi, ze zlanymi krwią i wyprężonymi w ostatnim śmiertelnym wysiłku kończynami. Ich zastygłe w maski nienawiści, ciemne twarze wpatrywały się szklanymi oczyma w zielone kamienie ognia, oblewając niesamowitą scenę przyćmionym, szmaragdowym światłem. Żywi krążyli bezcelowo wśród martwych, jak w transie. Conan usłyszał jak Olmec przywołuje jedną z kobiet i nakazuje jej opatrzyć nogę Valerii. Aquilonka podążyła za kobietą do przyległej komnaty, zaczynając już lekko utykać.

Dwaj Tecuhltlanie zachowując ostrożność poprowadzili Conana przez przedsionek za wielkimi wrotami z brązu przez kolejne, migoczące zielonym ogniem komnaty. Nikogo nie spostrzegli, niczego nie usłyszeli po drodze. Kiedy przekroczyli Wielką Salę oddzielającą północną część miasta od południowej, zwiększyli czujność, świadomi bliskości wrogiego terytorium. Komnaty i sale pozostawały jednak puste. W końcu dotarli do szerokiego, mrocznego przedsionka i zatrzymali się przed wrotami z brązu podobnymi do Wrót Orła w Tecuhltli. Ostrożnie pchnęli je. Otworzyły się cicho. Zajrzeli z respektem i podziwem w głąb zielono

oświetlonych pomieszczeń. Przez pięćdziesiąt lat żaden Tecuhltlanin nie wszedł do tych sal za wyjątkiem zmierzających ku okrutnej zgubie jeńców. Pójść do Xotalanc oznaczało najstraszliwszy los, jaki mógł spotkać człowieka z zachodniej dzielnicy miasta. Od najwcześniejszego dzieciństwa koszmar ten nawiedzał ich sny. Dla Yanatha i Topala te drzwi z brązu były wrotami piekieł.

Cofnęli się ze strachem w oczach, kuląc się z przerażenia. Conan przepchał się między nimi i wkroczył do Xotalanc.

Rozglądając się bojaźliwie na boki przekroczyli próg i poszli za nim. Jednakże tylko ich nerwowo przyśpieszone oddechy zakłócały panującą tam ciszę.

Weszli do niewielkiej strażnicy, takiej jak ta za Wrotami Orla i podobnego przedsionka, który prowadził do rozległej Sali będącej odpowiednikiem Tronowej Sali Olmeca. Conan spoglądał na kilimy, otomany i draperie przedsionka nasłuchując uważnie. Niczego nie słyszał. Pomieszczenia wydawały się puste. Nie wierzył, by w Xuchotol pozostali jeszcze jacyś Xotalancanie.

— Chodźmy — mruknął i ruszył korytarzem.

Nie uszedł kilku kroków, gdy zorientował się, że tylko Yanath idzie za nim. Odwrócił się i ujrzał zastygłego z przerażenia Topala wyciągającego rękę, jakby odpychającego grożące niebezpieczeństwo, zahipnotyzowanymi, wybałuszonymi oczami wpatrującego się w coś wystającego zza otomany.

— Ki diabeł?

Nagle Conan zobaczył to, na co patrzył Topal i dreszcz przebiegł na szerokich plecach Cymmerianina. Zza otomany sterczał potworny, gadzi łeb, długi jak u krokodyła. Z górnej szczęki wystawały zakrzywione, wygięte w tył kły. Ciało potwora leżało jednak w nienaturalnym bezwładzie, a ohydne ślepie były szkliste. Conan zajrzał za sofę. Wielki gad, jakiego nigdy jeszcze nie spotkał podczas swych wędrówek po obcych krainach, leżał zwiotczały i martwy. Wokół unosił się smród i ziab czarnych głębi ziemi, a nieokreślonego koloru zwoje miały zmieniający się zależnie od kąta widzenia wyblakły odcień. Wielka rana na karku zdradzała przyczynę śmierci.

— To Pełzacz! — szepnął Yanath.

— To jest to, co rozrąbałem na schodach — przytaknął Conan. —

Ścigało nas aż do Wrót Orła, a potem przywlekło się tu, by zdechnąć. Jak Xotalancanie zdołali zapanować nad tą bestią?

Tecuhltlanie wzdrygnęli się i potrząsnęli głowami.

— Przywiedli to z mrocznych tuneli pod katakumbami. Odkryli tajemnice jakich nie znamy.

— No, w każdym razie to jest martwe, a gdyby mieli jakieś inne stwory zabrali by je ze sobą idąc do Tecuhltli. Chodźcie!

Niemal deptali mu po piętach, gdy przeszedł przez korytarz i pchnął masywne drzwi na jego końcu.

— Jeżeli na tym piętrze nie znajdziemy nikogo — powiedział — to zejdziemy na niższe poziomy. Przeszukamy Xotalanc od podziemi aż po dach. Jeżeli Xotalanc jest podobne do Tecuhltli, to wszystkie komnaty na tym piętrze będą oświetlone... Co, u diabła?

Weszli do obszernej sali, przypominającej Salę tronową Tecuhltli. Taki sam tron z kości słoniowej na podium z nefrytu, te same sofy, gobeliny i draperie na ścianach. Brakowało tylko czarnej, upstrzonej czerwonymi punktami kolumny tronowej, lecz nie zabrakło świadectwa ponurej waśni. Ściana za podium pokryta była rzędami oszklonych półek, na których setki znakomicie zachowanych, ludzkich głów nieruchomymi oczami spoglądały od nie wiedzieć ilu miesięcy i lat.

Topal wymamrotał ciche przekleństwo, Yanath stał w milczeniu z szaleństwem rodzącym się w szeroko otwartych oczach. Conan zmarszczył brew — wiedział, że niemal każdy Tlazitlanin jest o włos od utraty zdrowych zmysłów. Trzęsącym się palcem Yanath wskazał na upiorne trofea.

— Tam jest głowa mojego brata! — wybełkotał. — A tam młodszego brata mego ojca! A tam za nimi — najstarszego syna mojej siostry!

Nagle zaczął płakać bez łez, chrapliwym głośnym szlochem wstrząsającym całym jego ciałem. Nie odrywał oczu od uciętych głów. Jego łkanie przeszło w przeraźliwy, piskliwy śmiech, a ten z kolei w trudny do zniesienia wrzask. Yanath zupełnie oszalał.

Conan położył mu rękę na ramieniu. Jak gdyby to dotknięcie wyzwoliło całe szaleństwo z jego duszy. Yanath wrzasnął, odwrócił się i ciął mieczem. Cymmerianin sparował cios, a Topal próbował chwycić towarzysza za ramię, lecz szaleniec wyrwał się i tocząc z ust pianę wbił miecz głęboko w ciało druha. Topal padł z jękiem, a Yanath miotał się

przez chwilę po sali jak szalony derwisz. Później podbiegł do półek i bluźniąc piskliwie jął rąbać szkło.

Conan zaszedł go od tyłu próbując z zaskoczenia odebrać mu broń, ale szalencie odwrócił się i runął na niego wrzeszcząc jak potępieniec. Osądzwszy, że wojownik jest zupełnie obłąkany, Conan uskoczył przed ciosem i jednym uderzeniem położył go trupem obok jego konającej ofiary.

Barbarzyńca pochylił się nad Topalem i przekonał się, że mężczyzna wydaje ostatnie tchnienie. Nawet nie warto było próbować tamowania krwi tryskającej ze strasznej rany.

— Koniec z tobą, Topal — mruknął Conan. — Chcesz coś przekazać swoim?

— Pochyl się — szepnął Topal.

— Conana usłuchał i w tej samej chwili pochwycił rękę Tecuhltlanina, unikając ciosu sztyletem w piersi.

— Na Croma! — zaklął. — Ty też oszalałeś?

— Olmec tak kazał — wyszeptał umierający. — Nie wiem dlaczego. Gdy przynosiliśmy rannych na łoża... Rozkazał zabić cię, nim wrócimy do Tecuhltli... — rzekł Topal i skonał z imieniem swojego klanu na ustach.

Zdziwiony Conan patrzył na trupa z marsem na czole. Cała ta historia zakrawała na szaleństwo. Czy Olmec też zwariował? Czyżby wszyscy Tecuhltlanie byli bardziej szaleni, niż sądził?

Wzruszył ramionami i opuścił salę, pozostawiając obu zabitych. Z długich półek szklane oczy krewniaków patrzyły pustym spojrzeniem na zlaną krwią posadzkę.

Conan nie potrzebował przewodnika wracające przez labirynt komnat. Instynktowne wyczucie kierunku wiodło go nieomylnie ku Tecuhltli. Z mieczem w dłoni podążał równie czujnie jak przedtem, uważnie badając wzrokiem każdy zakręt i ciemny zakamarek. Obawiał się teraz nie duchów zabitych Xotalancan, lecz niedawnych sprzymierzeńców. Właśnie przebył Wielką Salę i wkroczył do komnat pod drugiej stronie, kiedy usłyszał przed sobą zbliżające się dźwięki. Ktoś gramolił się korytarzem, poruszając się z trudem, dysząc i z trudem łapiąc oddech. W chwilę później Conan ujrzał pełznącego ku niemu mężczyznę, który zostawiał za sobą szeroką, krwawą smugę na jarzącej się posadzce. To był Techotl... Czołgał się z wysiłkiem, jego oczy

zachodziły już mgłą a z głębokiego cięcia na piersi sączył się przez zaciskające ranę palce strumień krwi. Pomagając sobie drugą ręką, wolno posuwał się do przodu.

— Conanie — zawołał zduszonym głosem. — Conanie! Olmec porwał żółtowłosa!

— A więc dlatego kazał Topalowi mnie zabić! — mruknął Conan przyklękając przy wojowniku, który, jak ocenił doświadczonym okiem, był umierający. — Olmec nie jest tak szalony, jak myślałem.

Macające palce Tuchtla zacisnęły się na rękę Conana. W zimnym, pozbawionym miłości, odpychającym świetle Tecuhltlan jego podziw i szacunek dla przybyszów z dalekiego świata tworzyły ciepłą oazę człowieczeństwa, obdarzając go ludzkimi cechami, jakich zupełnie brakowało jego współplemieńcom, przepełnionym jedynie nienawiścią, żądzą zemsty i sadystycznym okrucieństwem.

— Chciałem mu przeszkodzić — wyrzeźbił Tucht. Pieniste bańki krwi pojawiły się na jego wargach. — Ale powalił mnie. Myślał, że mnie zabił, ale poczołgałem się dalej... Na Seta, jak długo pełzłem...! Strzeż się, Conanie, gdy będziesz wracał! Olmec może przygotować zasadzkę! Zabij go! To bestia... Weź Valerię i uchodź! Nie obawiaj się drogi przez puszcę. Olmec i Tascela nie powiedzieli ci prawdy o smokach. Pozabijały się nawzajem wiele lat temu, został tylko najsilniejszy. Od wielu lat był tylko ten jeden... Skoro go zabiliście, nic wam już w puszczy nie zagraża. Smok był bogiem, któremu Olmec oddawał cześć. Składał mu ofiary z ludzi, starców lub dzieci... związanych rzucano z murów... Pospieszaj! Olmec zabrał Valerię do komnaty...

Głowa Tuchtla opadła na bok — umarł.

Conan zerwał się. Oczy płonęły mu jak węgle. Tego więc chciał Olmec, posłużwszy się przybyszami przy zniszczeniu swych nieprzyjaciół! Można się było domyślić, że coś takiego lęgnie się w głowie czarnobrodego degenerata.

Cymmerianin ruszył szybko w kierunku Tecuhltli, na nic nie zważając. Przeliczył w myślach szeregi niedawnych sprzymierzeńców. Tylko dwudziestu jeden Tecuhltlan, wliczając Olmeca, przeżyło straszliwą bitwę w Sali Tronowej. Od tej pory zginęło trzech. Pozostało osiemnastu. Rozwścieczony Conan czuł się na siłach stawić czoła całemu klanowi. Jednak wrodzona mu przebiegłość nabyta przez bytujących w

dziczy przodków, pohamowała szaloną wściekłość. Pamiętał ostrzeżenie Techotla przed zasadzką. Całkiem możliwe, że ksiązę mógł coś takiego przygotować na wypadek, gdyby Topal nie zdołał wykonać jego rozkazu. Olmec z pewnością spodziewa się, że Conan będzie wracał tą samą drogą, którą szedł do Xotalanc.

Cymmerianin spojrzął przez świetlik, pod którym przechodził i dostrzegł przyćmiony blask gwiazd. Jeszcze nie zaczęły blednąć — do świtu było daleko. Nocne wydarzenia przebiegły w stosunkowo krótkim czasie. Barbarzyńca skręcił w bok i zszedł krętymi schodami na niższe piętro. Nie wiedział, gdzie na tym poziomie można znaleźć bramę wiodącą do Tecuhltli i nie miał pojęcia, jak sforsuje zamki. Był przekonany, że wszystkie drzwi będą zamknięte i zaryglowane, jeżeli nie z innej przyczyny, to z nabytego przez pół wieku przyzwyczajenia. Nie miał jednak innego wyjścia: musiał próbować.

Ściskając w garści miecz spieszył bezgłośnie przez labirynt zielono oświetlonych lub ciemnych pokoi i sal. Czuł, że znajduje się blisko Tecuhltli, gdy nagle jakiś odgłos zatrzymał go w miejscu. Rozpoznał co to było — jakaś ludzka istota próbowała krzyczeć przez dławiący knebel. Głos dobiegał gdzieś z przodu. W śmiertelnie cichych komnatach nawet stłumiony dźwięk rozchodził się daleko.

Conan skręcił i zaczął szukać źródła powtarzających się krzyków.

Wreszcie zajrzawszy w uchylone drzwi zobaczył upiorną scenę. W pokoju do którego zaglądał leżała na podłodze żelazna rama a do niej przywiązano rozkrzyżowanego olbrzyna. Jego głowa spoczywała na łożu z żelaznych kolców o końcach czerwonych już od krwi płynącej z poranionej skóry. Wymyślne jarzmo otaczało głowę nieszczęśnika w taki sposób, że skórzana opaska nie chroniła przed kolcami. Ta uprząż łączyła się przez cienki łańcuch z mechanizmem utrzymującym olbrzymią, żelazną kulę zawieszoną nad owłosioną piersią więźnia. Tak długo, jak długo mężczyzna pozostawał bez ruchu, żelazna kula wisiała nieruchomo, lecz kiedy ból wywołany przez żelazne kolce zmuszał go do uniesienia głowy, bryła żelastwa opuszczała się o następne kilka cali. Po chwili obolałe mięśnie karku nie mogły dłużej utrzymać głowy w nienaturalnej pozycji, znów opadała na kolce. Było oczywiste, że w końcu kula zgniecie go na miazgę, wolno i nieubłaganie. Wybałuszone, czarne oczy zakneblowanej ofiary zwróciły się z niemym błaganem ku

stojącemu w drzwiach, zdumionemu Conanowi. Człowiekiem przywiązany do żelaznej ramy był Olmec, księżę Tecuhltli.

6

— Czemu zabrałeś mnie do tej komnaty, by obandażować mi nogę?
— pytała Valeria. — Nie mogłaś tego równie dobrze zrobić w Sali Tronowej?

Siedziała na łożu z wyciągniętą przed siebie zranioną nogą, a Tecuhltlanka właśnie skończyła ją owięzywać jedwabnymi bandażami. Zbroczony krwią miecz Valerii leżał obok niej, na sofie. Mówiąc do kobiety zmarszczyła się groźnie. Ciemnoskóra wykonała swoje zadanie sprawnie i cicho, ale Valerii nie podobał się ani wyraz jej twarzy, ani długotrwały, pieśczośliwy dotyk smukłych palców.

— Resztę rannych zabrano do innych komnat — odparła kobieta miękką mową Tecuhltlanek nie łączącą się ani z miękkością, ani z delikatnością mówiących. Chwilę wcześniej Aquilonka widziała tę samą kobietę przebijającą mieczem pierś Xotalanki i kopnięciem wybijającą oko rannemu wrogowi.

— Ciała zabitych zniosą do katakumb — dodała — żeby duchy nie uciekły do komnat i „nie zamieszkały w nich.

— Wierzysz w duchy? — spytała Valeria.

— Wiem, że duch Tolkmeca mieszka w katakumbach — odparła zapytana ze wzdrygnięciem. — Kiedyś sama go widziałam w krypcie, skulonego wśród kości martwej królowej. Przybrał postać odwiecznego starca z długą, białą brodą i włosami oraz płonącymi czerwono w ciemności oczyma. To był on, Tolkmec. Widziałam go będąc dzieckiem, gdy wzięto go na tortury.

Jej głos opadł do przerażającego szeptu — Olmec się śmieje, ale ja WIEM, że duch Tolkmeca przebywa w katakumbach! Mówią, że to szczury ogryzają ciała zmarłych — ale duchy też jedzą ciała. Kto wie oprócz... Cień padł na sofę i kobieta obejrzała się szybko. Valeria podniosła wzrok i zobaczyła wpatzonego w nią Olmeca. Książę oczyścił swoje ręce, tors i brodę z krwi, którą był zbryzgany — lecz nie zmienił togi. Jego wielkie, ciemnoskóre, włochate ciało okryte purpurową materią nadal przypominało drapieżne zwierzę. Głębokie, czarne oczy

płoneły prymitywną żądzą, a palce gładzące gęstą brodę zdawały się kurczyć gwałtownie. Skupił wzrok na kobiecie, ta podniosła się i wysliznęła z komnaty. Wychodząc rzuciła Valerii przez ramię spojrzenie pełne cynicznego szyderstwa i sprośnej kpiny.

— Niezdarnie to zrobiła — skrytykował księżę podchodząc do otomany i pochylając się nad opatrunkiem. — Pozwól mi...

Z szybkością zdumiewającą u kogoś jego rozmiarów pochwycił jej miecz i odrzucił w kąt. W następnej chwili porwał ją w swoje potężne ramiona. W mgnieniu oka Valeria chwyciła za sztylet i wymierzyła mordercze pchnięcie w gardło napastnika. Niespodziewany cios prawie sięgnął celu. Raczej dzięki szczęściu niż zręczności Olmecowi udało się złapać ją za rękę i rozpoczęły się dzikie zapasy. Aquilonka atakowała pięściami, nogami, kolanami, zębami i paznokciami, używając całej swej siły i umiejętności walki wręcz nabytej przez lata włóczęgi i walk na lądzie i morzu. Wszystko to na nic się nie zdało przeciw brutalnej sile księcia. Już w pierwszym starciu straciła sztylet i nie zostało jej nic, co mogłoby sprawić dotkliwy ból olbrzymiemu napastnikowi. Posępne, czarne oczy Olmeka jarzyły się złowrogim blaskiem, a ich wyraz doprowadził dziewczynę do wściekłości, potęgowanej przez sardoniczny uśmiech przyklejony do jego warg. Te oczy i uśmiech zawierały cały cynizm i okrucieństwo kryjące się w umysłach tej zdegenerowanej, wyrafinowanej rasy. Po raz pierwszy w życiu Valeria doświadczyła strachu przed mężczyzną. Zdawało się jej, że walczy z jakimś potężnym, prymitywnym żywiołem. Żelazne ramiona napastnika udaremniały wszelkie jej ataki z dziecinną łatwością. Sprawiał wrażenie odpornego na każdy ból, jaki mogła mu zadać. Zareagował tylko raz, gdy z pasją zatopiła białe zęby w jego przegubie, aż popłynęła krew. Wtedy trzepnął ją otwartą dłońią w bok głowy tak silnie, że zobaczyła wszystkie gwiazdy i zachwiała się.

Koszula Valerii rozdarła się w czasie szamotaniny. Olmek z zimnym okrucieństwem potarł gęstą brodą nagie piersi dziewczyny wydobywając krzyk bólu i wściekłości z jej ust. Szaleńczy opór był bezskuteczny; rozbrojoną i dyszącą ciężko przygniótł do sof, nie zważając na wściekłe spojrzenia jej płonących oczu. W chwilę później pospiesznie opuszczał komnatę, unosząc dziewczynę w ramionach. Nie stawiała oporu, lecz błysk w oczach zdradzał, że przynajmniej jej duch

pozostał niezwyknięty. Nie krzychała wiedząc, że Conan jest poza zasięgiem głosu i nie przypuszczając, by ktoś w Tecuhltli mógł sprzeciwić się księciu. Zauważyła jednak, że Olmec skradał się nadstawiając ucha, jakby nasłuchując odgłosów pogoni i nie wrócił do Sali Tronowej. Przeniósł ją przez drzwi znajdujące się naprzeciw tych którymi wszedł, przemierzył następny pokój i zaczął cicho iść korytarzem. Kiedy Valeria nabrała pewności, że księżę obawia się, iż ktoś przeszkodzi w porwaniu, obróciła głowę i wrzasnęła ile sił w piersiach. W nagrodę otrzymała policzek, który na wpół ją ogłuszył i Olmec przyspieszył kroku, przechodząc w człapiący galop.

Krzyk poniósł się echem po korytarzu i oglądając się, częściowo oślepiona przez łzy i gwiazdy wirujące jej przed oczami, Valeria zobaczyła kuśtykającego za nimi Techotla.

Olmec odwrócił się z warknięciem, przekładając kobietę pod pachę i trzymając ją w tej niewygodnej, zupełnie pozbawionej godności pozycji wijącą się i kopiącą bezsilnie jak dziecko.

— Olmec! — protestował Techotl. — Nie możesz być takim psem... Nie rób tego! To kobieta Conana! Pomogła nam zabić Xotalancan i...

Bez słowa Olmec zwinął wolną dłoń w olbrzymią pięść i jednym ciosem rozciągnął rannego wojownika u swych stóp. Nie zważając na szamotanie i przekleństwa branki pochylił się, wyjął miecz Techotla z pochwy i pchnął wojownika w pierś. Potem odrzucił broń i ruszył korytarzem. Nie zauważył ciemnej kobiecej twarzy zerkającej ostrożnie spoza draperii. Twarz zniknęła, a po chwili Techotl jęknął, poruszył się, wstał z trudem i odszedł chwiejnym, zataczającym się krokiem jak pijak, wzywając Conana.

Olmec pospiesznie przeszedł korytarz i zszedł po krętych schodach z kości słoniowej. Minął kilka pomieszczeń i w końcu zatrzymał się w obszernej komnacie o trzech ścianach zasłoniętych grubymi draperiami; w czwartej osadzone były ciężkie, mosiężne drzwi podobne do Wrót Orła piętro wyżej. Poruszony do głębi, wskazał na nie.

— To jedne z drzwi prowadzących na zewnątrz Tecuhltli. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat nie są strzeżone. Nie potrzebujemy już straży, bo nie ma już Xotalancan.

— Dzięki Conanowi i mnie, ty przeklęty łotrze! — urągała Valeria trzęsąc się z furii i wstydu. — Zdradziecki psie! Conan poderżnie ci za to

gardło!

Olmec nie trudził się, by wyrazić swoje przekonanie, że zgodnie z wydanym rozkazem to Conan ma już poderżnięte gardło. Był zbyt cyniczny by interesowały go myśli czy opinie Valerii. Pożerał ją płomiennym wzrokiem, zatrzymując go dłużej na wspaniałych przestrzeniach nagiego, białego ciała odsłoniętego w miejscach, gdzie koszula i spodnie rozdarły się w czasie szamotaniny.

— Zapomnij o Conanie — rzekł chropawo. — Olmec jest panem Xuchotl. Nie ma już Xotalancan. Nie będzie więcej walki. Będziemy spędzać czas pijąc wino i kochając się. Najpierw wypijmy!

Usadowił się na stole z kości słoniowej i przemocą posadziwszy sobie Valerię na kolanach, rozsiadł się niczym ciemnoskóry satyr z białą nimfą w ramionach. Ignorując jej przekleństwa, zupełnie nie pasujące do nimfy, trzymał ją bezradną, obejmując jednym ramieniem kibić, a drugim sięgając po naczynie z winem.

— Pij! — rozkazał przytykając je do warg Valerii. Targnęła głową. Trunek rozlał się parząc jej wargi i oblewając nagie piersi.

— Twój gość nie lubi takiego wina, Olmec — przemówił chłodny, sardoniczny głos.

Książę zeszywniał i w jego płomiennych oczach pojawił się lęk. Wolno obrócił wielką głowę i popatrzył na Tascelę upozowaną niedbale w osłanianych draperią drzwiach. Valeria przekręciła się w żelaznym uścisku i chłodny dreszcz przebiegł jej po krzyżu, kiedy napotkała palący wzrok księżniczki. Tej nocy dusza dumnej Valerii doznała wielu nowych wrażeń. Dopiero co nauczyła się strachu przed mężczyzną — teraz dowiedziała się, czym jest strach przed kobietą. Olmec siedział bez ruchu. Jego śniada skóra przybrała szary odcień. Tascela stała z jedną ręką opartą na gładkim biodrze. Teraz wyciągnęła drugą rękę ukazując małe, złote naczynie ukryte do tej pory za plecami.

— Obawiam się, że nie będzie jej smakować twoje wino, Olmec — zamruczała księżniczka — więc przyniosłam trochę swojego, tego, jakiego przyniosłam ze sobą dawno temu znad brzegów Jeziora Zuad. — Rozumiesz, Olmec?

Na czole księcia wystąpiły grube krople potu. Uchwyt, w jakim trzymał Valerię, rozluźnił się na tyle, że zdołała wyrwać się i przebiec na drugą stronę stołu. Mimo że rozsądek nakazywał jej natychmiastową

ucieczkę, jakaś niezrozumiała fascynacja zatrzymywała ją w komnacie. Tascela podeszła do siedzącego księcia kołyszącym, płynnym krokiem, który sam w sobie był szyderstwem. Jej głos brzmiał miękko i pieśczośliwie, lecz w oczach miała niebezpieczne błyski. Szczupłymi palcami lekko pociągnęła za brodę Olmeca.

— Jesteś samolubny, Olmec — mruzczała uśmiechając się. — Zatrzymałbyś naszego pięknego gościa dla siebie, chociaż wiedziałeś, że chcę ją ugościć? Wielka jest twoja wina, Olmec.

Na ułamek chwili maska opadła z jej twarzy, oczy rozbłysły wściekłością, usta wykrzywiły się, a dłoń na brodzie księcia zacisnęła się kurczowo w zadziwiającym pokazie siły wydzierając garść włosów. Lecz nawet ten dowód nadludzkiej mocy był mniej przerażający niż piekielna furia szalejąca pod maską łagodności.

Olmec z rykiem porwał się na nogi i stał kołysząc się jak niedźwiedź, zaciskając i otwierając potężne pięści.

— Suko! — jego dudniący głos napełnił pokój. — Czarownico! Diablico! Tecuhltli powinni cię zabić pięćdziesiąt lat temu! Strzeż się! Za dużo znosiłem! Ta białoscóra dziewczka jest moja! Precz stąd, nim cię zabiję!

Księżniczka zaśmiała się i cisnęła mu w twarz zlepione krwią kłaki. Jej uśmiech był bezlitosny jak brzęk krzemienia o stal.

— Kiedyś mówiłeś inaczej Olmec — szydziła. — Kiedyś w dniach swej młodości, przemawiałeś słowami miłości. Tak, byłeś kiedyś mym kochankiem, wiele lat temu, a ponieważ mnie kochałeś, spałeś w mych ramionach pod zaczarowanym lotosem

— i oddałeś w ten sposób w moje ręce łańcuchy, które cię spętały. Wiesz dobrze, że nie możesz stawić mi czoła. Wiesz, że wystarczy mi tylko spojrzeć na ciebie i magiczna moc, której przed laty nauczył mnie stygijski kapłan, uczyni cię bezsilnym. Przypomnij sobie tę noc pod czarnym lotosem falującym nad nami, poruszonym podmuchem nie z tego świata. Znowu poczujesz nieziemskie zapachy unoszące się wokół i otaczające cię jak chmura, by cię zniewolić. Nie możesz ze mną walczyć. Jesteś moim niewolnikiem, tak jak tamtej nocy — i będziesz nim do końca swych dni.

— Olmecu z Xuchotl!

Głos Tasceli przeszedł w pomruk, brzmiący jak szmer strumienia

płynącego przez rozświetlone gwiazdami ciemności. Zbliżyła się do księcia i położyła rozpostarte palce o długich, ostrych paznokciach na jego szerokiej piersi. Natychmiast wzrok mu zmętniał a wielkie dłonie opadły bezwładnie po bokach. Ze złośliwym uśmiechem okrutna Tascela uniosła naczynie i przytknęła je do jego warg.

— Pij!

Olmec usłuchał bezwiednie. Po pierwszym łyku jego oczy przestały być szkliste. Napełniły się zrozumieniem, wściekłością i przeraźliwym lękiem. Otworzył usta, lecz nie wydał dźwięku. Przez chwilę chwiał się na uginających się nogach, wreszcie osunął się na posadzkę jak zmięty łachman.

Jego upadek wyrwał Valerię z odrętwienia. Obróciła się i skoczyła do drzwi, ale Tascela wyprzedziła ją z szybkością pantery spadającej na ofiarę. Valeria uderzyła pięścią, wkładając w cios całą siłę ramienia. Takie uderzenie powinno rozciągnąć każdego przeciętnego człowieka na podłodze, lecz Tascela zwinnym skrętem tułowia uniknęła ciosu i chwyciła przegub Aquilonki. Następnie unieruchomiła lewą rękę Valerii i trzymając oba przeguby w swojej lewej ręce, spokojnie związała je wydobytym zza pasa sznurem. Valeria myślała, że tej nocy doznała już najgorszego upokorzenia, ale wstyd z powodu sromotnej porażki z księciem był niczym w porównaniu z uczuciami, jakie miały ją po tej walce. Zawsze gardziła innymi przedstawicielkami swojej płci i spotkanie innej kobiety, która mogła obchodzić się z nią jak z dzieckiem, wstrząsnęła nią do głębi. Prawie nie stawiała oporu, gdy Tascela siłą posadziła ją na krześle i przywiązała do niego. Obojętnie przestąpiwszy przez ciało Olmeca, Tascela podeszła do mosiężnych drzwi, trzasnęła rygłem i rozwarła je silnym pchnięciem odsłaniając wąski korytarz.

— Te drzwi prowadzą — napomknęła, po raz pierwszy zwracając się do pojmanej — do komnaty, używanej kiedyś jako sala tortur. Kiedy schroniliśmy się w Tecuhltli zabraliśmy większość urządzeń ze sobą, ale jedno zostało, zbyt ciężkie, by je ruszyć. Nadal działa. Myślę, że będzie zupełnie odpowiednie.

W oczach Olmeca pojawił się błysk zrozumienia i strachu. Tascela podeszła do niego, schyliła się i chwyciła go za włosy.

— Jest tylko chwilowo sparaliżowany — nadmieniła tonem towarzyskiej pogawędki. — Słyszy wszystko, myśli i czuje — o tak, czuje

naprawdę doskonale!

Wypowiedziawszy tę zgryźliwą uwagę ruszyła ku drzwiom z łatwością ciągnąc za sobą olbrzymie cielsko księcia. Valeria otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Księżniczka weszła do korytarza i nie zatrzymując się poszła dalej, znikając ze swą ofiarą w komnacie, z której doleciał ją szczeł żelaza.

Valeria zakłęta cicho i szarpnęła się w więzach, zapierając się nogami o krzesło — daremnie. Sznur, którym ją spętano był najwidoczniej nie do zerwania. Tascela niebawem wróciła, z komnaty zaś dobiegały zduszone jęki. Zamknęła drzwi, lecz nie zaryglowała ich. Najwidoczniej siła przyzwyczajenia nie rządziła nią, podobnie jak inne ludzkie emocje i instynkty.

Valeria siedziała oszołomiona, obserwując kobietę w szczupłych dłoniach której — jak sobie uświadomiła — spoczywał jej los. Tascela chwyciła złote loki Aquilonki i odchyliła jej głowę w tył zaglądając w twarz. Błyszczące, ciemne oczy księżniczki miały dziwny wyraz.

— Czeką cię wielki zaszczyt — powiedziała. — Odnowisz młodość Tasceli. Och, wytrzeszczasz oczy! Wyglądam młodo, lecz w me żyły wkłada się leniwy chłód podeszłego wieku, jak to czułam już tysiące razy. Jestem stara, tak stara, że nie pamiętam swojego dzieciństwa. Kiedyś byłam dziewczyną, a stygijski kapłan pokochał mnie i zdradził sekret nieśmiertelności i wiecznej młodości. Potem umarł — niektórzy mówili, że od trucizny. Ja jednak mieszkałam w moim pałacu nad brzegami Jeziora Zuad i mijające lata nie tknęły mnie ani mej urody. W końcu zapragnął mnie król Stygii, ale mój lud zbuntował się przeciw niemu i przybyliśmy tutaj. Olmec obwołał mnie księżniczką, ale chociaż nie ma w moich żyłach królewskiej krwi, jestem więcej niż księżniczką. Jestem Tascela, której przywrócisz młodość!

Valerii zaschło w ustach. Czuła, że w słowach Tasceli kryje się tajemnica bardziej przerażająca niż mogła się spodziewać po zwyrodniałym umyśle Tecuhltlanina. Księżniczka odwiązała Aquilonkę od krzesła i postawiła na nogi. To nie lęk przed straszną siłą drżącą w mięśniach Tasceli uczynił z Valerii bezradnego, drżącego więźnia. Sprawily to płonące hipnotycznym blaskiem oczy Tasceli.

7.

— No, niech będę Kushitą! — Conan spojrział na leżącego. — Co ty tu robisz, do diabła?

Zza knebla dobiegały zduszone dźwięki. Conan schylił się i wydarł szmatę z ust więźnia, który wrzasnął głośno ze strachu, bowiem w wyniku gwałtownego ruchu żelazna kula opadła w dół, niemal dotykając szerokiej piersi księcia.

— Na Seta, uważaj! — błagał Olmac.

— Niby czemu? — dopytywał się Conan. — Czy myślisz, że obchodzi mnie, co się z tobą stanie? Chciałbym tylko mieć dość czasu, by stać tutaj i patrzeć jak ten kawał żelastwa wycisnie z ciebie flaki. Niestety, spieszę się. Gdzie jest Valeria?

— Uwolnij mnie! — ponaglał Olmec. — Wszystko powiem! — Najpierw powiedz.

— Nigdy! — książę uparcie zacisnął kwadratowe szczęki.

— W porządku — Conan usadowił się na ławce obok. — Sam ją znajdę, kiedy zostanie z ciebie galareta. Myślę, że mogę przyspieszyć ten proces wkręcając ci koniec miecza w ucho — dodał, wyciągając miecz w stronę głowy leżącego.

— Czekaj! — z popielatoszarych warg więźnia posypały się bezładne słowa. — Tascela mi ją zabrała. Zawsze byłem tylko narzędziem w rękach Tasceli.

Tascela? — parsknął Conan i splunął — Ty parszywy...

— Nie, nie! — dyszał Olmec. — Jest gorzej, niż myślisz. Tascela jest stara — ma setki lat. Odnawia swoją młodość i przedłuża sobie życie składając ofiary z pięknych, młodych dziewcząt. Oto jedna z przyczyn niewielkiej liczebności naszego klanu. Tascela wydobędzie esencję życia z ciała Valerii i zakwitnie świeżym pięknem i nową energią.

— Bramy są zamknięte? — spytał Conan, próbując kciukiem ostrza swego miecza.

— Tak! Ale wiem, jak dostać się do Tecuhtli. Tylko Tascela i ja znamy tę drogę, a ona sądzi, że już się mnie pozbyła. Uwolnij mnie. Przysięgam,

że pomogę ci uwolnić Valerię. Bez mojej pomocy nie dostaniesz się do Tecuhltli, bo nawet gdybyś torturami zmusił mnie do wyjawienia tajemnicy, to sam nie potrafisz otworzyć drzwi. Pozwól mi iść z tobą. Podkradniemy się do Tasceli i zabijemy ją, nim zdąży użyć swojej magii — nim spojrzy na nas. Cios nożem w plecy dokona dzieła. Powinienem już dawno zrobić w ten sposób, ale bałem się, że bez jej pomocy Xotalancanie zwyciężą. Ona też potrzebowała mojej pomocy i tylko dla tego powodu pozwoliła mi żyć tak długo. Teraz nie potrzebujemy się już wzajemnie i jedno z nas musi umrzeć. Przysięgam, że kiedy zabijemy czarownicę, ty i Valeria odejdziecie nie niepokojeni. Moi ludzie posłuchają mnie, gdy Tascela umrze.

Conan pochylił się i przeciął więzy księcia. Olmec wysliznął się ostrożnie spod wielkiej kuli i wstał, potrząsając głową jak byk, mamrocząc przekleństwa i obmacując poszarpaną skórę na głowie. Stojąc ramię w ramię, dwaj mężczyźni prezentowali groźny obraz prymitywnej siły. Równy wzrostem Conanowi i bardziej krępy Olmec miał w sobie coś odpychającego, coś zwierzęcego i mrocznego, co niekorzystnie kontrastowało z czystymi liniami zwartej sylwetki Cymmeriani — na. Conan porzucił resztki swej podartej, przesiąkniętej krwią koszuli i został półnagi, ukazując imponującą muskulaturę. Jego olbrzymie barki były równie szerokie jak bary Olmeca lecz lepiej zarysowane, a potężna, wyżej sklepiona pierś przechodziła w twardy brzuch pozbawiony miękkiej wypukłości. Conan wyglądał jak wykuty w brązie posąg. O ile barbarzyńca mógł być wzięty za istotę z zarania czasu, o tyle Olmec przypominał ponury relikw z czasów jeszcze wcześniejszych.

— Prowadź — zażądał Conan — i trzymaj się z przodu. Nie ufam ci bardziej niż bykowi targanemu za ogon.

Olmec obrócił się i poszedł przodem, gładząc jedną ręką poszarpaną brodę. Nie poprowadził Conana przez mosiężne wrota, które jak mylnie przypuszczał, Tascela zamknęła, lecz do jednej z komnat na granicy Tecuhltli.

— Ten sekret był strzeżony przez pół wieku — powiedział. — Nawet nasz klan go nie zna, a Xotalancanie nigdy go nie odkryli. Sam Tecuhltli zbudował to ukryte wejście, zabijając potem niewolników którzy je zrobili. Obawiał się, że któregoś dnia Tascela, której miłość do niego szybko zmieniła się w nienawiść, zamknie przed nim bramy Tecuhltli.

Ona jednak odkryła tajemnicę i zabarykadowała ukryte drzwi, gdy wracał z nieudanego wypadu na Xotalancan. Pochwycili go i obdarli żywcem ze skóry. Śledziłem ją kiedyś. Zobaczyłem, jak wchodzi tą drogą do Tecuhtli — tak odkryłem sekret.

Nacisnął złoty ornament w ścianie i płyta odsunęła się odsłaniając wiodące w górę schody z kości słoniowej.

— Te schody wbudowano w ścianę — powiedział Olmec. — Prowadzą do wieży nad dachem, a stamtąd innymi schodami można dostać się do różnych komnat. Pospieszaj!

— Za tobą, przyjacielu! — odparł ironicznie Conan, kołyszając długim mieczem. Olmec wzruszył ramionami i wstąpił na schody. Conan natychmiast ruszył za nim. Drzwi same zamknęły się po ich przejściu. Umieszczone wysoko w górze kamienie ognia zamieniły klatkę schodową w studnię słabego, skupionego światła.

Mozolnie wspinali się po krętych stopniach, by w chwili, gdy Conan oszacował, że znajdują się powyżej trzeciego piętra, dotrzeć do owalnej komnaty o kopulastym suficie, w którym osadzono oświetlające schody kamienie ognia. Przez oprawione w złoto tafle z nietłukącego się kryształu — pierwsze prawdziwe okna, jakie widział w Xuchotl — Conan dostrzegł wysokie dachy, kopuły i wieże majaczące groźnie na tle rozgwieżdżonego nieba. Spoglądał na dachy Xuchotl.

Olmec nie patrzył przez okna, Ruszył pospiesznie jednymi z kilku schodów, które prowadziły z wieży w dół i gdy zeszli kilka stóp znaleźli się w wąskim, długim korytarzu. Na końcu korytarza czekały kolejne strome schody. Nagle Olmec przystanął. Gdzieś w dole zabrzmiał kobiecy krzyk strachu, wściekłości i wstydu, stłumiony przez grube mury, lecz mimo to wyraźny. Conan rozpoznał głos Valerii. Rozwścieczony do nieprzytomności Cymmerianin, zajęty myślą jakie to zagrożenie wyrwało taki wrzask z ust zuchwałej Valerii zapomniał na moment o Olmecu. Precisnął się obok księcia i ruszył w dół schodów. Instykt obudził się w nim w tej samej chwili, gdy Olmec uderzył swą wielką pięścią jak młotem. Gwałtowny i cichy cios wymierzony był w podstawę czaszki Conana. Barbarzyńca odwrócił się jednak w samą porę i przyjął uderzenie w nasadę karku. Siła ciosu złamałaby kręgi słabszego mężczyzny, lecz Conan tylko zachwiał się, upuścił miecz bezużyteczny przy walce z tak bliskiej odległości i padając złapał wyciągnięte ramię

Olmeca, pociągając księcia za sobą. Runęli ze schodów razem na łeb na szyję, jak splątany kłęb głów, nóg i rąk. Już spadając Conan odszukał byczy kark Olmeca i zacisnął na nim żelazne palce. Szyja i ramię barbarzyńcy zdrętwiały od uderzenia olbrzymiej pięści Tecuhltlanina, który uderzył jak kafar, wkładając w cios całą siłę masywnego przedramienia i potężnych bicepsów. Jednak uderzenie nie odebrało Conanowi siły. W czasie upadku trzymał gardło przeciwnika zaciekle jak buldog. Toczyli się, tłukąc i obijając o stopnie, aż w końcu rąbnęli na końcu schodów w drzwi z kości słoniowej z takim impetem, że rozbili je w drzazgi i wpadli do komnaty. Zanim to nastąpiło, Olmec już nie żył. Jeszcze na schodach żelazne palce Cymmerianina wydusiły mu zdradziecki dech i złamały kark.

Conan podniósł się otrząsając drzazgi z wielkich ramion, ocierając krew i kurz z twarzy. Znajdował się w Wielkiej Sali Tronowej. Oprócz niego było w niej piętnaście osób. Jako pierwszą zobaczył Valerię.

Przed podium z tronem stał dziwny, czarny ołtarz. Wokół niego siedem czarnych świec w złotych lichtarzach wysyłało wijące się spirale gęstego, zielonego dymu o niepokojącym zapachu. Spirale dymu łączyły się pod sufitem w chmurę, tworzącą dymną kopułę nad ołtarzem, na którym leżała zupełnie naga Valeria. Jej ciało wyglądało szokująco biało w porównaniu z błyszczącym hebanowo kamieniem. Leżała rozciągnięta na ołtarzu, z rękami nad głową. Nie była związana. U jednego końca ołtarza klęczał młody mężczyzna, trzymając mocno jej nadgarstki, a na drugim końcu młoda kobieta przytrzymywała ją za kostki nóg. Valeria nie mogła się podnieść ani nawet poruszyć.

Zgromadzeni Tecuhltlanie klęczeli w półokręgu, milcząco obserwując wydarzenia rozpalonymi, pełnymi żądzы krwi oczami. Tascela rozpierała się na tronie z kości słoniowej. Mosiężne czary z kadzidłem snuły wokół niej wstęgi dymu. Gęste pasma owijały się wokół jej nagich członków jak pieścące palce. Nie mogła usiedzieć spokojnie; wiła się i unosiła w zmysłowym zapamiętaniu, jakby znajdowała przyjemność w kontakcie z gładką kością słoniową. Trzask drzwi rozlatujących się pod uderzeniem dwóch spadających ciał niczego nie zmienił. Klęczący mężczyźni i kobiety spojrzeli tylko bez zainteresowania na zwłoki swego księcia oraz podnoszącego się z posadzki mężczyznę i z powrotem odwrócili łakome oczy ku białej postaci, przężącej się na czarnym ołtarzu. Tascela

popatrzyła na Cymmerianina bezczelnie i z drwiącym uśmiechem rozparła się w fotelu.

— Suka! — Conan zobaczył czerwone plamy przed oczami. Ruszył ku księżniczce zaciskając swe pięści ja żelazne młoty.

Po pierwszym kroku usłyszał metaliczny szczęk i zimne żelazo wbiło się w jego nogę. Powstrzymany w marszu, potknął się i prawie że upadł. Na jego nodze zatrzasnęły się szczęki żelaznej pułapki, głęboko wbijając zęby. Tylko naprężone mięśnie łydki ocaliły kość przed strzaskaniem. Przeklęty potrzask wyskoczył bez ostrzeżenia z czerwonej posadzki. Przyglądając się uważnie, Conan widział teraz doskonale zamaskowane zapadnie, kryjące inne sidła.

— Głupcze! — zaśmiała się Tascela. — Myślałeś, że nie spodziewam się twego powrotu? Każdych drzwi w tej sali strzegą takie pułapki. Stój tam i patrz, jak dopełni się przeznaczenie twojej pięknej przyjaciółki. Potem zadecyduję o twoim losie.

Conan instynktownie sięgnął ręką do pasa, tylko po to, by napotkać pustą pochwę. Miecz został na schodach, a sztylet w lesie, tam gdzie smok wydarł go ze swej paszczęki. Stalowe zęby wbite w nogę paliły jak rozżarzone węgle, lecz ból nie był tak straszliwy jak wściekłość, kipiąca w jego duszy. Schwymano go w pułapkę, jak wilka. Gdyby miał swój miecz odrąbałby sobie nogę i poczołgał się po posadzce by zabić Tascelę. Oczy Valerii pobiegły do niego z niemym błaganiem, a poczucie bezsilności powodowało, że czerwone fale szaleństwa przelewały się pod czaszką Conana. Przyklęknąwszy na swej wolnej nodze usiłował wcisnąć palce między szczęki potrzasku i rozewrzeć je. Krew trysnęła mu spod paznokci, ale stał otaczała ciasno łydkę pierścieniem o połowach tak zaciśniętych i tak dopasowanych, że między udręczonym ciałem a zębatym żelazem nie było najmniejszej szczeliny. Widok nagiego ciała Valerii podsycił jego wściekłość.

Tascela nie zwracała na niego uwagi. Wstała ociężale z fotela, omiotła badawczym spojrzeniem szeregi poddanych i spytała.

— Gdzie Xamec, Zlanath i Tichic?

— Nie wrócili jeszcze z katakumb, księżniczko — odpowiedział jeden z mężczyzn. — Tak jak my, znosili ciała zabitych do krypt, ale nie powrócili. Może zabrał ich duch Tolkmeca?

— Milcz, głupcze! — nakazała szorstko. — Duch to tylko wymysł.

Zeszła z podium bawiąc się cienkim sztyletem o złotej rękojeści. Jej oczy pałały piekielnym blaskiem. Zatrzymała się przed ołtarzem i przemówiła w napiętej ciszy.

— Twoje życie uczyni mnie znów młodą, biała kobieto! — powiedziała. — Oprę się na twojej piersi, położę moje wargi na twoich i wolno, och, wolno zatopię ostrze w twym sercu, tak że twoje życie uciekając ze sztywniejącego ciała wejdzie w moje i napełni je młodością i siłą.

Powoli, jak wąż zbliżający się do ofiary, pochylała się wśród snujących się dymów nad znieruchomiałą z przerażenia Valerią, wbijając w nią swe płonące, czarne oczy — coraz większe i głębsze, błyszczące jak dwa księżycy wśród wirujących kłębow kadzidła.

Kłęczący zacisnęli dłonie i wstrzymali oddechy wyczekując w napięciu krwawego finału i tylko wściekłe sapanie Conana, usiłującego wyrwać nogę z pułapki, przerywało ciszę. Oczy wszystkich patrzących skupiły się na ołtarzu i białej postaci rozciągniętej na nim. Wydawało się, że chyba tylko huk piorunów mógłby złamać czar. A jednak cichy okrzyk wstrząsnął widzami i sprawił, że wszyscy odwrócili się gwałtownie.

Spojrzeni na drzwi po lewej stronie podium i zobaczyli zjawę koszmarną, na widok której włosy stawały na głowie. W drzwiach stał mężczyzna o zmierzwionych, siwych włosach i postrzępionej, białej brodzie spadającej mu na piersi. Łachmany tylko częściowo okrywały wychudłą postać, odsłaniając półnagie członki o dziwnie nienaturalnym wyglądzie. Jego skóra nie była skórą normalnego człowieka. Wydawała się łuszczyć, jakby jej posiadacz przebywał długo w warunkach zupełnie odmiennych od tych, w jakich zwykle trwa ludzkie życie, a płonące wśród splątanej grzywy włosów oczy nie miały w sobie nic ludzkiego: wielkie, błyszczące dyski spoglądały nieruchomo, bez śladu normalnych uczuć czy rozsądku. Z rozdziawionych ust nie wydobywały się składane dźwięki, tylko piskliwy chichot.

— Tolkmec — szepnęła poszarzała ze strachu Tascela, podczas gdy pozostali kulili się w niemym przerażeniu. — Więc to nie wymysł, nie duch! Na Seta! Dwanaście lat ukrywałeś się w ciemnościach! Dwanaście lat wśród kości zmarłych! Jaką okropną strawą się żywiłeś? Jakie obłąkane życie wiodłeś w ciemnościach wiecznej nocy? Teraz wiem, dlaczego Xamec, Zlanath i Tachic nie wrócili z katakumb — i nigdy nie

wrócą. Tylko dlaczego czekałeś tak długo? Szukałeś czegoś w podziemiach? Wiedziałeś, że ukryto tam jakąś tajemną broń? I znalazłeś ją w końcu?

Jedyną odpowiedzią Tolkmeca był ohydny chichot. Wpadł do komnaty długim susem przeskakując ukryty przed drzwiami potrzask — przypadkiem, a może pamiętając o pułapkach Xuchotl. Tak długo przebywał z dala od ludzkości, że nie można było go nazwać obłąkanym człowiekiem — niewiele miał w sobie ludzkiego. Tylko słaba nić wspomnień wywołujących nienawiść i chęć zemsty łączyła go ze światem, z którego uciekł i utrzymywała go w pobliżu znienawidzonych ludzi. Tylko to powstrzymywało go przed zniknięciem na zawsze w czarnych korytarzach i salach podziemnego królestwa, które odkrył dawno temu.

— Szukałeś czegoś! — szepnęła Tascela kuląc się. — I znalazłeś! Pamiętasz o waśni! Po tych wszystkich latach w mroku — pamiętasz!

Chuda ręka Tolkmeca wymachiwała teraz dziwną laseczką koloru nefrytu, której jeden koniec wieńczyła jarząca się, czerwona gałka w kształcie jabłka granatu. Tascela uskoczyła w bok, gdy starzec uniósł ramię i z kulistego zakończenia trysnął promień szkarłatnego ognia. Chybił, lecz kobieta trzymająca nogi Valerii znalazła się na drodze promienia. Ognista Unia trafiła ją między łopatki i przeszła na wylot. Dał się słyszeć ostry trzask. Promień uderzył w czarny ołtarz sypiąc niebieskimi skrami. Kobieta upadła na posadzkę, pomarszczona i zeschnięta jak mumia. Valeria sturlała się na drugą stronę ołtarza i ruszyła na czworakach pod przeciwległą ścianę. W sali tronowej martwego Olmeca rozpętało się piekło.

Mężczyzna, który trzymał ręce Valerii umarł jako następny. Odwrócił się by uciec, lecz nim podbiegł pół tuzina kroków, Tolkmec ze zdumiewającą zręcznością zmienił pozycję, tak że uciekający znalazł się między nim a ołtarzem. Ponownie zabłysnął czerwony płomień i Tecuhltlanin potoczył się po podłodze, gdy błysk zakończył swą drogę uderzając w czarny kamień krzesząc snop błękitnych iskier.

Rozpoczęła się rzeź. Ludzie biegali po komnacie, wrzeszcząc obłąkańczo, zderzając się ze sobą, potykając i padając. Wśród nich skakał i płaśał Tolkmec, siejąc śmierć i zniszczenie.

Nie mogli uciec z sali, bo najwidoczniej metalowe portale, podobnie

jak poznaczony żyłami metalu kamienny ołtarz, zamykały obwód tej diabelskiej siły tryskającej jak błyskawice z magicznej laski starca. Każdy człowiek, który znalazł się między nim a ołtarzem lub drzwiami, umierał natychmiast. Tolkmec nie wybierał ofiar. Powalał każdego, kto mu się nawinął. Jego łachmany powiewały w dzikich płasach, a odrażający chichot wznosił się nad wrzawą ofiar. Tecuhltlanie padali przy ołtarzu i drzwiach, jak liście opadają z drzewa. Jeden zrozpaczony wojownik runął na prześladowcę wznosząc sztylet lecz zginał, nim zdołał uderzyć. Pozostali biegali jak stada oszalałych owiec, nie myśląc o oporze i bez szansy ucieczki.

Tascela dostała się do Conana i chroniącej się blisko niego Valerii w chwili, gdy padł ostatni z Tecuhltlan. Pochyliła się i dotknęła ornamentu na posadzce. Natychmiast żelazne szczęki uwolniły krwawiącą kończynę i schowały się z powrotem.

— Zabij go jeśli zdołasz! — dyszała księżniczka wciskając długi sztylet w dłoń Cymmerianina. — Nie znam takich czarów, by się z nim mierzyć!

Płonąc żądzą walki barbarzyńca z pomrukiem skoczył naprzód nie zważając na pokaleczoną nogę. Tolkmec zmierzał ku nim łypiąc niesamowitymi oczyma, ale zawahał się gdy dojrzał nóż błyszczący w dłoni Conana. Rozpoczęli ponure podchody — Tolkmec chciał, by Conan znalazł się na jednej linii z ołtarzem lub drzwiami, a barbarzyńca starał się tego uniknąć i pchnąć celnie. Obie kobiety przyglądały się temu w napięciu, wstrzymując oddechy.

W zalegającej ciszy rozlegały się jedynie szurania i tupot szybko przemieszczających się stóp. Tolkmec już nie płaszał i nie skakał. Zorientował się, że czeka go trudniejsze zadanie niż z ludźmi, którzy umierali wrzeszcząc i uciekając. W bystrych oczach barbarzyńcy wyczytał taką samą śmiertelną groźbę, jaka kryła się w jego własnym spojrzeniu. Kluczyli tam i z powrotem, a kiedy poruszał się jeden z nich, drugi ruszał się także, jakby łączyły ich niewidoczne więzy. Przez cały czas Conan zbliżał się coraz bardziej do przeciwnika. Właśnie stalowe mięśnie jego nóg zaczęły się prężyć do skoku, gdy Valeria krzyknęła przeraźliwie. Przez ułamek sekundy mosiężne drzwi znalazły się na jednej Unii z ciałem Cymmerianina. Z laski wystrzelił czerwony promień muskając lekko bok Conana, który zdążył się odchylić, jednocześnie

ciskając nożem. Stary Tolkmec upadł z rękojeścią sztyletu sterczącą z piersi, tym razem martwy naprawdę.

Tascela skoczyła — nie ku Conanowi, lecz ku lasce byłszczącej żywym blaskiem na podłodze. Jednak Valeria skoczyła za nią, ze sztyletem odebrany komuś z zabitych. Wbite całą siłą muskularnego ramienia ostrze przeszło księżniczkę, tak że koniec wystawał między jej piersiami. Tascela wrzasnęła i upadła nieżywa, a Valeria kopnęła nogą jej zwłoki.

— Musiałam to zrobić ze względu na szacunek dla ciebie! — wysapała Aquilonka spoglądając na stojącego nad bezwładnym ciałem czarownicy Conana.

— No, to załatwia sprawę waśni — mruknął. — Co za piekielna noc! gdzie ci ludzie trzymają jedzenie? Jestem głodny.

— Masz ranę w łydce — Valeria zerwała kawał jedwabnej draperii i zawiązała sobie wokół bioder, później oddarła kilka mniejszych pasów, którymi sprawnie owinęła pokaleczoną nogę barbarzyńcy.

— Mogę iść — zapewnił ją. — Chodźmy stąd jak najszybciej. Na zewnątrz już świta. Mam dosyć tego piekielnego Xuchotl. Dobrze, że się pozabijali. Nie chcę ich przeklętych klejnotów. Może leżeć na nich klątwa.

— Na świecie jest dość porządnych łupów dla ciebie i dla mnie — powiedziała Valeria prostując się.

Dawny błysk ponownie pojawił się w jego oczach i tym razem nie opierała się, gdy pochwycił ją gwałtownie w ramiona.

— Droga na wybrzeże jest długa — powiedziała wreszcie, odrywając swoje wargi od jego warg.

— Co z tego? — zaśmiał się. — Pokonamy, kogo będzie trzeba. Zanim Stygijczycy otworzą porty na sezon handlowy, staniemy na pokładzie i pokażemy światu, co znaczy plądrować.